MAGNAT TRUMPA BIERZE TVN

WIELKIE KŁAMSTWO MIAŁO POGRĄŻYĆ KOŚCIÓŁ

REKOMUNIZACJA. WAŻNA ROZMOWA Z PREZESEM IPN

ANTYAMERYKAŃSKA SZAJBA. LIBERALNO-LEWICOWE ELITY NARAŻAJĄ POLSKĘ

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
11 (693) 2026
9–15 marca 2026
CENA: 13,90 zł
(w tym 8% VAT)

WALDEMAR ŻUREK

JA TU MIESZKAM

RAZEM Z TELEWIZJĄ wPOLSCE24 UJAWNIAMY, GDZIE I ILE DOMÓW, DZIAŁEK, GOSPODARSTW, LASÓW I PASTWISK POSIADA MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI. ROBIMY TO, BO MAJĄTKI URZĘDNIKÓW PAŃSTWOWYCH MUSZĄ BYĆ JAWNE. A PUPIL TUSKA DRWI Z POLAKÓW, UKRYWAJĄC, CO MA

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269601 11
Numer w sprzedaży do 16 III 2026 r.

polsat box

Ponad 130 kanałów

z super sportem, filmami, serialami i rozrywką

już za 70 zł/mies.

przez 2 lata po rabacie

Cena uwzględnia rabat 10 zł/mies. za zgody marketingowe.
Umowa na min. 24 mies. na Pakiet L. Od 25. mies. 75 zł/mies. po rabacie.

Liczba kanałów uwzględnia kanały niegwarantowane. Pakiety: Polsat Sport Premium i Eleven Sports dostępne promocyjnie do 31.01.2028.
Szczegóły w cennikach i regulaminach dostępnych u Sprzedawców i na polsatbox.pl

Frustracja w Polsce Tuska

Zazdroszczę Amerykanom tego, że są pewne sprawy wagi państwowej, pewne zadania, o których się nie dyskutuje. Nie dlatego, że nie warto, że mają problem z porozumieniem. Wręcz przeciwnie – obowiązek państwa wobec obywatela, którego nie można zostawić bez pomocy, jest oczywisty.

Rząd Donalda Tuska, klucząc, zapierając się i zwlekając niemal do ostatniej chwili z wysłaniem samolotów po moich rodaków na Bliski Wschód, wpędza mnie w kompleks. Nakazuje mi pytać – choćbym nie chciał – dlaczego nie może tak być i u nas. Dlaczego ta sfera nie może nie być obciążona doraźną złośliwością polityczną?

Niestety małość Donalda Tuska (bo nic nie dzieje się poza wiedzą „kierownika") polega na tym, że nawet jeśli rakiem wycofuje się z pierwotnego postanowienia i w końcu chce wysłać wojsko na pomoc Polakom uwięzionym na terenach przywojennych, robi to tak, by przy okazji uszczypnąć prezydenta. Tusk pisze: „Podjąłem decyzję o wykorzystaniu samolotów będących w dyspozycji Sił Zbrojnych do wsparcia ewakuacji Polaków z Bliskiego Wschodu. Odpowiedni wniosek w tej sprawie trafił już do prezydenta". Gdyby chciał być precyzyjny, to by napisał, że „podjął decyzję o wystosowaniu wniosku do prezydenta" w tej sprawie. Bo to wyłącznie głowa państwa decyduje o użyciu polskiego wojska poza granicami kraju. W jakiejkolwiek formule.

Mam wrażenie, że reżyseria tej w sumie drobnej utarczki ma na celu zmycie poprzedniej winy, czyli idiotycznego uporu, by pomocy nie wysyłać. Najwyraźniej artykułował to rzecznik Ministerstwa Spraw Zagranicznych, niejaki Wewiór, nowa gwiazda resortu, dzielny kontynuator arystokratycznych metod ministra Radosława Sikorskiego. Bezczelnie wolał strofować dziennikarkę telewizji wPolsce24, niż zastanowić się, czy pomoc nie jest naprawdę potrzebna. Widocznie takie były wytyczne, a w tępym wykonawstwie akurat ta ekipa nie ma sobie równych.

Uruchomiliśmy w telewizji wPolsce24 specjalny adres e-mailowy: wojna@wpolsce24.tv, na który rodacy nadsyłali swoje relacje, apele i spostrzeżenia z krajów, w których próbowali doprosić się pomocy polskiego rządu. Owszem, słyszeliśmy wcześniej, że coś jest nie tak z tą opieką, ale po przeczytaniu setek listów jestem zdruzgotany. Brak kontaktu, w istocie fikcyjny numer interwencyjny, dziesiątki prób dodzwonienia się, długi weekend w konsulatach, a jednocześnie irańskie rakiety lecące na popularne kurorty i zapowiedzi, że niewierni nigdzie mają nie czuć się bezpiecznie. I jako podsumowanie wypowiedź wiceministra spraw zagranicznych Marcina Bosackiego, że problem polega na tym, że zbyt dużo ludzi próbuje się dodzwonić... Koszmar.

Jak czuć się bezpiecznie w takich warunkach? Jak liczyć na to, że moje państwo po mnie przyjdzie, przyleci, przypłynie? Przecież to obowiązek, by dbać o obywatela. Na tym polega nasza umowa z państwem. Że dbamy o siebie nawzajem. Ekipa Tuska chyba o tym zapomniała. W sumie to logiczne – oni o państwo nie dbają, więc nie liczą na rewanż. Ależ to kontrast z czasami rządów Zjednoczonej Prawicy, gdy decyzje o nawet ryzykownych operacjach zapadały natychmiast. Podczas pandemii COVID-19 dało się ściągać rodaków z całego świata, dało się polecieć do Izraela w czasie konfliktu w Strefie Gazy. Co więcej, Polska, priorytetowo dbając o swoich, wywoziła wtedy z zagrożonych terenów także obywateli innych państw.

W styczniu 1961 r. podczas inaugurującego prezydenturę przemówienia John F. Kennedy wygłosił słynne zdanie: „Nie pytaj, co twój kraj może zrobić dla ciebie, zapytaj, co ty możesz zrobić dla swojego kraju". Piękne wezwanie do patriotyzmu. Wypowiedziane bez kompleksu, za to z pewnością, że gdy będzie taka konieczność, to nie ma co się martwić, bo „twój kraj" zrobi dla ciebie wszystko, co będzie trzeba.

Marcin Wikło

Reklama | 10/0126/F

eprasa.pl a50cb05137

SIECI

spis treści

28 **Fałszywe amazonki Tuska**
Stanisław Janecki

38 **W polityce lekarzom jest łatwiej**
Ze Stanisławem Karczewskim rozmawia Dorota Łosiewicz

42 **Po co ta wojna?**
Jan Rokita

NA POCZĄTEK

5 **NA GLOBALNEJ WOJNIE**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **PRAWDA O DRAMACIE PANI IZY**
Dorota Łosiewicz

9 **IRAN W OGNIU, UNIA ŚPI, TUSK WYPOCZYWA. POLSKĘ RATUJĄ INWESTYCJE ZJEDNOCZONEJ PRAWICY**
Daniel Obajtek

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **BLOKADA CIEŚNINY ORMUZ I UE**
Jan Pietrzak

12 **JUŻ NIE CHODZI TYLKO O SAFE**
Samuel Pereira

13 **WOJNA A WYDOBYCIE**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA ALBERTA BOROWIECKIEGO**
Michał Korsun

16 **GALERIA SKANDALU I WULGARNOŚCI**
Arkadiusz Mularczyk

17 **HANNIBAL ANTE PORTAS**
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

18 **TO UKRYWA ŻUREK**
Łukasz Wróblewski

KRAJ

22 **ANTYAMERYKAŃSKIE WZMOŻENIE**
Piotr Gursztyn

25 **BRAUN ŻYWI SIĘ STRACHEM**
Konrad Kołodziejski

28 **FAŁSZYWE AMAZONKI TUSKA**
Stanisław Janecki

32 **KTO REKOMUNIZUJE POLSKĘ**
Z dr. hab. Karolem Polejowskim rozmawia Stanisław Płużański

36 **UCIEKINIER Z TITANICÓW**
Maciej Walaszczyk

38 **W POLITYCE LEKARZOM JEST ŁATWIEJ**
Ze Stanisławem Karczewskim rozmawia Dorota Łosiewicz

40 **WALCZYĆ NA WSZYSTKICH FRONTACH**
Z Danielem Nawrockim rozmawia Piotr Filipczyk

ŚWIAT

42 **PO CO TA WOJNA?**
Jan Rokita

45 **GEOPOLITYCZNE TSUNAMI**
Marek Budzisz

48 **PREZES WSZYSTKIEGO BIERZE MEDIA**
Aleksandra Rybińska

51 **GLOBALNY FAKE NEWS JAK PRAWDA OBJAWIONA**
Grzegorz Górny

OPINIE

54 **POLSKA UMIERA W BIAŁY DZIEŃ**
Jerzy Szmit

56 **KAŻDY OPÓR WOBEC KŁAMSTWA I ZŁA MA SENS**
Z Pawłem Nowackim rozmawia Jerzy Szmit

SIECI KULTURY

59 **DOMOWE DUCHY I DUSZE**
Jolanta Gajda-Zadworna

62 **STRATA BEZPOWROTNA**
Artur Kolęda

64 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

NATURA DLA LUDZI

66 **WIOSNA DO NAS LECI**
Przemysław Barszcz

KUCHNIA

68 **MOJE SMAKI: WENECKI ZAPACH KAWY I MORZA**
Jolanta Gajda-Zadworna

69 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

70 **HIGH-TECH DEMONIZM**
Robert Tekieli

72 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

73 **WOLĘ PUCHAR POLSKI NIŻ LIGĘ MISTRZÓW**
Ryszard Czarnecki

74 **MASZYNA PAROWA 2.0?**
Katarzyna Zybertowicz

eprasa.pl a50cb05137

BRONISŁAW WILDSTEIN

Na globalnej wojnie

Wypowiadanie się dziś o Iranie jest wielce ryzykowne. Czytelnik felietonu będzie bogatszy od autora o informacje zarówno na temat wypadków, które od momentu jego napisania się rozegrały, jak i o kolejne dane, które rozszerzają perspektywę analizy. Trudno nie pisać wszakże o najważniejszych wydarzeniach współczesnego świata, które już się dzieją, choć wiedza na ich temat jest siłą rzeczy ograniczona.

Pierwsze dni amerykańsko-izraelskiego uderzenia na Iran dowodzą niezwykłej sprawności armii tych krajów, co jest istotnym czynnikiem dominacji USA na świecie. Wyeliminowanie przywódców Iranu, którzy od jakiegoś czasu przygotowywali się na ten atak, demonstruje przede wszystkim techniczne możliwości połączonych armii. Skuteczność działania Amerykanów zdecydowanie przekracza nawet najbardziej optymistyczne przewidywania jej sympatyków.

Krytycy Donalda Trumpa lamentują nad łamaniem przez niego międzynarodowego prawa. W rzeczywistości już od dawna służy ono głównie ochronie reżimów, które depczą wszelkie normy postępowania wobec ludności własnej i innych państw. Próby przeciwstawienia się temu ze strony Zachodu są blokowane w imię konwencji, które sprawę każą przenieść na forum ONZ. Tam kraje bandyckie oraz ich poplecznicy są w stanie zablokować każdą inicjatywę. Obecny atak na Iran w imię prawa międzynarodowego szczególnie ostro potępił Władimir Putin.

Islamistyczny Iran to tyrania, ośrodek destabilizacji Bliskiego Wschodu i światowego terroryzmu, który bez względu na formalne negocjacje dążył do stworzenia broni jądrowej. Zgodnie z oficjalnymi deklaracjami ma ona służyć zniszczeniu „małego szatana", czyli Izraela, i zostać wymierzona w „wielkiego szatana" – Stany Zjednoczone. Aktem inicjalnym szyickiej rewolucji w 1979 r. było zajęcie ambasady amerykańskiej przez islamistyczne bojówki oraz uwięzienie jej personelu. Dyplomaci amerykańscy zostali zwolnieni dopiero po blisko 15 miesiącach, co było wielką kompromitacją Waszyngtonu.

Zamykanie przez państwa zachodnie oczu na działania Iranu było demonstracją ich słabości. W połowie lat 80. seria krwawych ataków terrorystycznych wstrząsnęła Francją. Szybko okazało się, że ich głównym organizatorem był pracownik ambasady irańskiej we Francji. Został on nawet wezwany na przesłuchanie do siedziby MSW w Paryżu, po czym... przez nikogo nie niepokojony opuścił Francję. To tylko przykład.

Iran stworzył międzynarodowe organizacje terrorystyczne, Hezbollach czy Huti, które mają na sumieniu wielką liczbę ofiar, a także finansował Hamas, zachęcając go do radykalnego działania. To z jego inspiracji została przeprowadzona masakra cywilnej ludności żydowskiej w październiku 2023 r. W odpowiedzi Izrael zadał klęskę wspieranym przez Teheran terrorystom, a w czerwcu ub.r. przy wsparciu amerykańskim 12 dni bombardował Iran. Nie zlikwidowało to zagrożenia.

Kryzys gospodarczy spowodował masowy protest mieszkańców Iranu, który rozpoczął się w grudniu ub.r. i został brutalnie spacyfikowany przez szyickie służby. Zabiły one co najmniej kilkanaście tysięcy osób. Trump ostrzegał Teheran przed zbrodniami na własnych obywatelach.

Klęska Iranu nie rozwiązuje problemu. Waszyngton liczy na wewnętrzny ferment i obalenie reżimu przez wystąpienia ludności lub wewnętrzne walki po dekapitacji rządu ajatollahów.

Czy po ostatniej masakrze Irańczyków będzie stać na kolejny akt buntu? I jak może się on zakończyć, biorąc pod uwagę spontaniczność wcześniejszych protestów? Zorganizowana mniejszość zawsze wygrywa z niezorganizowaną większością.

Jak by nie było, istotny uczestnik koalicji antyamerykańskiej i ośrodek destabilizacji Bliskiego Wschodu co najmniej na jakiś czas został spacyfikowany. Demonstracja siły Waszyngtonu nie tylko obezwładniła światowe centrum terroryzmu, lecz także każe Chinom zastanowić się nad próbą zagarnięcia Tajwanu, co byłoby zapłonem III wojny światowej. Pisałem już o tym wcześniej. Uderzenie na Iran może zapobiec globalnemu konfliktowi.

Amerykańska akcja to także pozbawienie Rosji istotnego sojusznika i przekreślenie związanych z nim geopolitycznych planów. W tym kontekście przedłużanie się wojny na Ukrainie prowadzi do coraz większego uzależnienia się Moskwy od Chin, a zatem okazuje się zaprzeczeniem imperialnych rachub, które stanowiły genezę rosyjskiej agresji.

Trump zajmował kolejne znaczące pola na światowej szachownicy i w globalnej rozgrywce, na przekór zaklęciom przeciwników, prezentował wyjątkową skuteczność. Uderzenie na Iran to najpoważniejszy konflikt, w jaki się dotąd zaangażował, a więc i ryzyko z nim związane jest największe. Wydaje się jednak, że niepodjęcie tego wyzwania wiązałoby się z jeszcze większym zagrożeniem. Czasy wojenne, w jakich się znaleźliśmy, zmuszają do podejmowania ryzyka, które z natury rzeczy niesie ze sobą niewiadome. Próba uniknięcia go za wszelką cenę skazuje na klęskę.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl a50cb05137

Sygnalista nadaje

Witajcie, zakute łby! „Niech na całym świecie wojna / Byle polska wieś zaciszna / Byle polska wieś spokojna”. A właściwie miasto zaciszne i spokojne, czyli Sopot. Może na Dubaj spadają rakiety, ale to w Sopocie dzieją się rzeczy ważniejsze. Odbyło się tam spotkanie na najwyższym szczeblu między premierem ***Donaldem Franciszkiem Tuskiem*** a jego wnukami oraz córką Kasią i zięciem Staszkiem Cudnym. Syna Michała vel Józefa Bąka nie zaproszono, bo znowu jest pokłócony z tatą. Jak widać, są sprawy ważne i ważniejsze. Robota nie zając, może poczekać do wtorku, czyli dnia, gdy premier rozpoczyna swój trzydniowy tydzień pracy. Tak trzeba żyć, zakute łby! Dotarło?

Przechodząc do spraw mniej ważnych: na Kremlu znów strzelają korki od szampana, bo ruski agent Trump zaatakował Iran. Tak samo strzelały wtedy, gdy Trump porwał Maduro z Wenezueli. No i będą strzelały, kiedy Trump zajmie Kubę. Skąd to wiemy? Z bardzo dobrego źródła. Od premiera Tuska. „Trump i jego zależność od rosyjskich służb dzisiaj już nie podlega dyskusji. Amerykańskie służby nie wykluczają, że Trump został zwerbowany przez rosyjskie służby 30 lat temu” – mówił przecież premier na wiekopomnym spotkaniu w Bytomiu. Tak à propos? Skoro zatrudnienie nastąpiło 30 lat temu, to Trumpowi przysługuje nagroda jubileuszowa, co nie? Powinien zapytać o to w kadrach.

Te rakiety na Dubaj to nie jest taka zła rzecz. Utknęło tam sporo osób z Ten Kraju, które teraz pyskują, iż rząd im nie pomaga. To dobry test na prawdziwych, odpowiedzialnych demokratów i roszczeniowych populistów. Od razu widać, kto głosował na PiS, więc dobrze im tak. Wyborcy KO, prawdziwi demokraci, w życiu by nie pojechali do Dubaju. Kogo na to stać? Poza tym jeździć do jakichś szmatogłowych i ciapatych?

Pamiętacie wiekopomne słowa ***Radka Tadka Sikorskiego*** o tym, że ten, kto trzyma z Ameryką, to frajer? Wydłużyła się lista frajerów. Podajemy nazwiska: Friedrich Merz, Emmanuel Macron, Ursula von der Leyen, Narendra Modi i kilku innych. Tylko Ten Kraj dumnie opiera się amerykańskim imperialistom i soldatesce znad Potomaku. Jak ostatnia wioska Galów – Donald Tusk w roli Asteriksa, Włodek Czarzasty jako Kakofoniks. No i Radek w roli Idefiksa. Czekamy na następne odcinki.

A Trump stale knuje. Tym razem czyha na nasze srebra rodowe, dorobek pokoleń, spółkę strategiczną, czyli TVN. Wielka finansjera kolejny raz udowadnia, że kapitał nie ma narodowości, więc sprzedała „Całą prawdę całą dobę” jakimś prawicowym kowbojom. „Najbardziej trzęsą się dziennikarze zajmujący polityką. Wiadomo, że rodzina Ellisonów sympatyzuje z Trumpem, to prawicowa ekipa” – czytamy doniesienia z ul. Wiertniczej. Zarząd uspokaja personel i obiecuje, że wszystko będzie dobrze. To jednak znaczy, że będzie źle. Monika będzie musiała kupować buty w CCC. To nieludzkie.

Teraz dobre wiadomości: Rafał wrócił! Wielki comeback! Powrót do gry w wielkim stylu. ***Rafał Trzaskowski*** poszedł do internetów i opowiedział o tym, jak prawie wygrał kampanię prezydencką (przypominamy, że

eprasa.pl a50cb05137

przeliczanie głosów trwa). Rafał opowiedział o tym, jak poszedł spać jako zwycięzca wyborów, a obudził się jako... no też zwycięzca, ale bardziej moralny niż realny. Zadał też ważne pytanie: „Na platformie X mógłbym być cztery razy bardziej błyskotliwy, wsadzać szpile tak że o Jezus! Tylko po co mi to?". No jak to po co? Po to, żeby było więcej odsłon i lepsza monetyzacja. Rafciu, niedługo przestaniesz być prezydentem Warszawy, a z czegoś musisz żyć. Może nie udało ci się zostać osobowością polityczną, więc zostaniesz osobowością internetową. A nawet celebrytą. Tylko pamiętaj: nie leć do Dubaju!

Była też rozrywająca serce opowieść o Papugu, ptaku o wybitnej inteligencji, który umarł. Rafał opowiadał, że żałuje, że spędził z Papugiem zbyt mało czasu. Teraz może to więc nadrabiać i spędzać czas z jakimś równie elokwentnym Chomikiem czy inną Świnką Morską. Oczywiście tylko do momentu, gdy dr Kontek skończy przeliczać głosy i Rafał wreszcie zostanie prezydentem.

Odwołany alert RCB. Można już bezpiecznie chodzić ul. Nowogrodzką w Warszawie. Łapanka na premiera technicznego PiS zakończona.

Ważne ogłoszenie personalne. Prawdziwy autorytet moralny, intelektualista i człowiek kompromisu został wytypowany przez ministra Waldka Żurka na przedstawiciela Ten Kraju w komisji weneckiej. To Wojciech Sadurski. Z zawodu profesor. Dobrze, że tam będzie, bo przypilnuje, aby komisja zajęła się tym, do czego została stworzona, czyli piętnowaniem zbrodni ziobrystowskich, a nie grzebaniem w reformach Waldka. W ostatnim czasie komisja zachowywała się niestosownie, krytykując działania demokracji walczącej w kierunku przywracania praworządności (tak jak my ją rozumiemy). Jedyne wątpliwości budzi to, czy Sadurski nie będzie zbyt miękki. Może inne autorytety prawnicze – np. Eliza Xero-Michalik i Wojtek Czuchnowski (człowiek z pierwszego piętra) – bardziej odpowiadałyby wyzwaniom chwili.

A tu dowód na to, że może być zbyt miękki, czyli słowa samego prof. Sadurskiego. „O to mam największe pretensje do Kaczyńskiego, że z cynicznych powodów dał nieoświeconemu plebsowi poczucie dostępu do władzy" – stwierdził pewnego razu nasz demokratyczny kandydat do komisji weneckiej. Prawactwo się wściekło po tym, jak zostało przez niego nazwane. My jednak mamy wątpliwości, że tylko z jednego powodu ma największe pretensje do Kaczyńskiego. A przecież jest jeszcze milion innych powodów do największych pretensji. Prawdziwy demokrata powinien być bardziej pryncypialny.

Minister zdrowia informuje: „Myślę, że z tego, co w tej chwili obserwuję, faktycznie chyba zaczynamy dojrzewać do tej decyzji, że edukacja zdrowotna jest nam w szkołach potrzebna jako przedmiot obowiązkowy. I oczywiście wyjąwszy te wszystkie spory, które dotyczą ideologii, natomiast jestem za tym, żebyśmy edukowali zdrowotnie". Na początek ważne wyjaśnienie. Okazuje się, że minister zdrowia istnieje i nawet ma imię oraz nazwisko. A dokładnie dwa nazwiska. Jolanta Sobierańska-Grenda. Prawda, że ładnie? Nie przegapcie tego komunikatu, bo to ważne dla każdego obywatela Ten Kraju. W związku z racjonalizacją sieci szpitali przez ich likwidację osoby zainteresowane przedłużeniem swojego życia powinny nabyć podstawowych umiejętności medycznych. Umożliwi to samodzielne leczenie pozaszpitalne (bo szpitali i tak nie będzie). Od teraz zobowiązuje hasło: „Pacjencie, ulecz się sam!".

„Nie damy się zjeść Tuskowi" – mocna deklaracja posła Śliza Pawła z Polski 20 łamane na 50. Z całym szacunkiem do posła Śliza, wybitnego męża stanu, nie wierzymy jednak w to, aby premier Tusk planował pożreć wspomnianą partię. To jest po prostu niemożliwe. Układ pokarmowy człowieka nie jest przystosowany do spożywania drobnoustrojów.

Indie mogą poczekać. Zwłaszcza że zdradziły i stanęły po stronie amerykańskiej (i żydowskiej) soldateski. Teraz na topie jest Iran. Bracia Kamraci i cała KaKaPe kibicują walce prawdziwych strażników wartości muzułmańskich z syjonistycznym reżimem z Waszyngtonu. Grzesiek Braun kolejny raz udowadnia, że potrafi dobrze obstawiać politycznie. Przenikliwy realizm – Putin, Maduro, Chamenei. Baszszar al-Asad też był dobry, ale gdzieś ostatnio zniknął. Jakbyście wiedzieli, gdzie jest, to dajcie znać Grześkowi.

Możecie się z nim kontaktować przez kuzyna Michała. Też Brauna. To wybitny apolityczny działacz partyjny Koalicji Obywatelskiej, który obecnie demokratyzuje i odpartyjnia NGO zawłaszczone przez PiS. Michał Braun jest szefem czegoś, co nazywa się Narodowy Instytut Wolności. Fucha godna pozazdroszczenia. Nie musi się użerać z plebsem tyle co kuzyn Grzesiek, media się nim nie interesują, a pensja i tak wpada co miesiąc.

PS Nic nie piszemy o tych Sejfach dla osób żołnierskich, bo nic z tego nie kumamy. Poza oczywistą sprawą: Tusk dobry, Nawrocki zły.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk

eprasa.pl a50cb05137

WIEŻA BAB

Prawda o dramacie pani Izy

W świecie mediów społecznościowych i permanentnej kampanii wyborczej tragedie przestają być tragediami. Stają się narzędziami mobilizacji elektoratu

Są historie, które powinny jednoczyć ludzi w elementarnym odruchu współczucia i powagi. Śmierć Izabeli z Pszczyny w 2021 r. była właśnie taką historią. Młoda kobieta w ciąży, matka kilkuletniej dziewczynki, umiera w szpitalu. Rodzina zostaje z niewyobrażalną stratą. Społeczeństwo z pytaniem, jak mogło do tego dojść.

Ale zanim zakończyło się jakiekolwiek rzetelne postępowanie, zanim przesłuchano wszystkich świadków i przeanalizowano dokumentację medyczną, na ulicach polskich miast wybuchła polityczna burza. I to nie była spontaniczna fala żałoby. To była starannie podsycana zbiorowa panika. Natychmiast ogłoszono wyrok – nie sądowy, lecz polityczny. Winne miało być prawo chroniące życie dzieci nienarodzonych.

Protesty pod hasłem „Ani jednej więcej" przetoczyły się przez cały kraj. W mediach społecznościowych i na demonstracjach powtarzano jedną tezę: kobieta zmarła, ponieważ lekarze bali się obowiązujących przepisów. W przestrzeni publicznej nie pozostawiano miejsca na wątpliwości, analizę czy chłodną refleksję. Najbardziej spektakularne oskarżenia padały z ust liderów ówczesnej opozycji. Donald Tusk mówił wprost: „Ja nie mam żadnych wątpliwości, kto odpowiada za to i inne wydarzenia tego typu. Nie da się zrzucić odpowiedzialności na lekarzy. Lekarze są ofiarami nieludzkiego prawa i tego nieludzkiego bardzo ideologicznego podejścia do kwestii ciąży, matki płodu. […] W przypadku pani Izy ta sprawa jest ewidentna". To była deklaracja kategoryczna. Bez „jeśli", bez „być może", bez „poczekajmy na ustalenia". Jak słyszeliśmy, sprawa była „ewidentna". Jeszcze dalej Tusk poszedł w czerwcu 2023 r. podczas wiecu w Poznaniu. W emocjonalnym wystąpieniu krzyczał: „Dzisiaj władza to są seryjni zabójcy kobiet; to oni odpowiadają za ich śmierć". To już nie była krytyka polityczna – to było oskarżenie o moralne współsprawstwo śmierci kobiet.

W atmosferze takich słów trudno się dziwić, że na ulicach pojawił się gniew. Trudno się dziwić, że wielu ludzi uwierzyło w prostą opowieść: złe prawo zabiło młodą kobietę. Ale fakty są inne.

Sąd Okręgowy w Katowicach, rozpoznając apelację od wyroku sądu w Pszczynie, podtrzymał zasadnicze ustalenia pierwszej instancji, ale zaostrzył wyroki i skazał lekarzy odpowiedzialnych za opiekę nad pacjentką na kary bezwzględnego więzienia – od roku do półtora roku – oraz wieloletnie zakazy wykonywania zawodu. Nie była to decyzja podjęta pod wpływem ulicznych emocji. To był wynik wieloletniego postępowania, analiz biegłych i badania materiału dowodowego.

Sąd uznał, że lekarze narazili pacjentkę na niebezpieczeństwo utraty życia, a jeden z nich nieumyślnie spowodował jej śmierć. Innymi słowy: odpowiedzialność została przypisana konkretnym ludziom i ich decyzjom medycznym. A co z prawem, które – jak przekonywano w 2021 r. – miało być bezpośrednią przyczyną tragedii?

Wyrok Trybunału Konstytucyjnego z października 2020 r. nie zmienił fundamentalnej zasady obowiązującej od 1993 r.: jeżeli życie lub zdrowie kobiety jest zagrożone, lekarz ma prawo – i obowiązek – podjąć działania ratujące jej życie, także poprzez przerwanie ciąży. Ta przesłanka pozostała w polskim prawie.

W świecie mediów społecznościowych i permanentnej kampanii wyborczej tragedie przestają być tragediami. Stają się narzędziami mobilizacji elektoratu. Najpierw buduje się gniew. Potem wzmacnia emocje. Na końcu pojawia się prosty przekaz: winny jest przeciwnik polityczny. Zresztą kilka miesięcy temu Donald Tusk w rozmowie z Kubą Wojewódzkim i Piotrem Kędzierskim przyznał to wprost: „W kampanii musiałem w wyborcach rozbudzić maksymalne emocje." Pewnie dlatego po wyroku premier nie miał odwagi, by przyznać: „Myliłem się". Bo on cynicznie wykorzystał tę sytuację, by wygrać wybory i dobrze o tym wie. Osobiście zamienił śmierć w narzędzie propagandy. Zbudował na tragedii polityczne emocje. Wydał wyrok, nim zrobił to sąd. Takiego mamy szefa rządu.

Dorota Łosiewicz

Iran w ogniu, Unia śpi, Tusk wypoczywa. Polskę ratują inwestycje Zjednoczonej Prawicy

Ekonomiści nerwowo zerkają na wykresy, a naiwniacy, którzy jeszcze niedawno wierzyli w stabilność dostaw z tego niestabilnego regionu, teraz mogą tylko żałować swojej krótkowzroczności. Światowe giełdy wpadły w drgawki. Niektóre kraje desperacko poszukują alternatywnych źródeł, eksperci z minami proroków zagłady wieszczą kolejną apokalipsę energetyczną. W Polsce mimo indolencji obecnych władz jakoś się trzymamy, ale głównie dzięki solidnym fundamentom położonym w czasach rządów Zjednoczonej Prawicy. Bo my traktowaliśmy bezpieczeństwo energetyczne nie jak modny slogan, lecz sprawę najwyższej wagi państwowej, budując system odporny m.in. na takie wstrząsy, jakie właśnie obserwujemy.

Bliski Wschód znów stoi w płomieniach. Atak na Iran wstrząsnął globalnymi rynkami energii z siłą trzęsienia ziemi. Ceny ropy poszybowały w górę jak rakieta na dopalaczach. Gaz drożeje z dnia na dzień w tempie, które przyprawia o zawrót głowy nawet najbardziej doświadczonych analityków

W 2015 r. z determinacją ruszyliśmy z projektem Baltic Pipe, dostarczającym gaz z Norwegii oraz rozbudową terminalu LNG w Świnoujściu, który dziś przyjmuje tankowce z Ameryki i Kataru, zapewniając nam dywersyfikację źródeł na poziomie, który w obliczu kolejnego kryzysu (tym razem irańskiego) znów okazuje się prawdziwym zbawieniem. Przeprowadzona przez mój zespół fuzja ORLENU z LOTOSEM i PGNiG stworzyła potężny koncern, który kontroluje cały łańcuch wartości od upstream, czyli wydobycia surowców, poprzez midstream, czyli transport i magazynowanie, aż po downstream – rafinację i sprzedaż na stacjach. To nie były jakieś tam korporacyjne gierki, lecz dalekowzroczna wizja, która pozwoliła negocjować z globalnymi gigantami na równych warunkach, zawierać długoterminowe kontrakty z Ameryką, Katarem czy Norwegią, gromadzić zapasy strategiczne na poziomie, który dziś chroni przed paniką, utrzymywać ceny benzyny na stacjach w rozsądnych ryzach i zapewniać nieprzerwany przepływ gazu z Norwegii i Arabii Saudyjskiej.

Krytycy mówili, że to monopol zły i niepotrzebny, ale teraz ten rzekomy monopol ratuje tyłki wszystkim – bez fuzji bylibyśmy w chaosie, ze słabymi firmami walczącymi o przetrwanie, uzależnionymi m.in. od kaprysów Rosji czy kryzysów na Bliskim Wschodzie. To fuzja dała nam siłę negocjacyjną, kapitał na inwestycje w nowoczesne technologie, jak SMR czy Olefiny. Polska zyskała zaś narodowego championa, który podczas kryzysu irańskiego pokazuje swoją wartość. Dostawy płyną bez zakłóceń, inni mogą nam tylko zazdrościć.

Obecny rząd, który z wielką pompą obiecywał niskoemisyjną rewolucję, po raz kolejny okazał się mistrzem wyłącznie PR. Ich plany są czystą fikcją: elektrownie jądrowe utknęły w biurokratycznym bagnie, a węgiel znów został ogłoszony wrogiem publicznym numer jeden – bez sensownego planu zastępczego to recepta na samobójstwo energetyczne.

Atak na Iran obnaża kruchość instytucji europejskich z brutalną szczerością. A oni dalej snują marzenia o federalizacji i unijnych zmianach w dyrektywach, zamiast działać konkretnie. Gdy wojna szaleje, a świat płonie, Bruksela tkwi w letargu. Von der Leyen, ta wielka liderka Unii, przespała cały weekend, zwołując jakieś tam spotkanie dopiero w poniedziałek. W Polsce niestety też mamy rząd, który traktuje atak na Iran jak odległą anegdotę z gazet. Premier spędza weekend w Sopocie, relaksując się nad Bałtykiem, jakby kryzys mógł grzecznie poczekać do poniedziałku.

Obecny chaos w polityce energetycznej Polski to nie przypadek, lecz efekt arogancji i lekceważenia lekcji z przeszłości. Rządzący udają, że wiedzą lepiej, a błądzą po omacku w ciemnościach własnej niekompetencji, marząc o zielonym raju, który okazuje się energetyczną pustynią.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl a50cb05137

Mięso jak papierosy

W Amsterdamie zostanie wprowadzony zakaz reklamowania mięsa i paliw kopalnych, dzięki czemu miasto umocni swoją pozycję wśród światowych stolic „postępu".

Od tegorocznych wakacji w Amsterdamie nie będzie reklam hamburgerów, podróży lotniczych, samochodów z silnikami spalinowymi i rejsów statkiem. O zakazie zdecydowała większość rady miejskiej, która znalazła się w rękach fanatycznej lewicy motywującej swoje pomysły walką o klimat i zdrowie publiczne. Zastępczyni burmistrza Melanie van der Horst apelowała o wprowadzenie rozsądnego okresu przejściowego. Bezskutecznie.

Stolica Holandii planowała wprowadzenie zakazu reklam paliw kopalnych już w 2020 r. Podobne restrykcje od jakiegoś czasu obowiązują w innych holenderskich miastach, m.in. w Utrechcie, Hadze i Nijmegen. Tam jednak zakazu reklamy mięsa jeszcze nie ma. Sprawa wywołuje sprzeciw i wpisuje się w systemowe zwalczanie hodowli zwierząt oraz stopniową likwidację rolnictwa. Wymiar sprawiedliwości stanął oczywiście po stronie fanatyków i w zeszłym roku sąd w Hadze odrzucił skargę operatorów wycieczek przeciwko zakazowi reklam uderzających w ich interesy.

Rzecz nie dotyczy wyłącznie Holandii. Walka z reklamą paliw kopalnych trwa również we Francji oraz we włoskiej Florencji. Francja jest pierwszym państwem europejskim, który w 2022 r. wprowadził ogólnokrajowe ograniczenia na mocy nowego prawa klimatycznego. Tamtejsza ustawa nie tylko zabrania reklamowania wszelkiego rodzaju produktów naftowych (w tym energii pochodzącej ze spalania węgla), lecz także za jej łamanie przewiduje grzywny od 20 tys. do 100 tys. euro. A za recydywę przewidziane są dubeltowe stawki. Forsowanie tych totalitarnych z ducha ograniczeń uzasadniane jest zapisami tzw. porozumienia paryskiego z 2015 r. Stojące za ich wprowadzeniem lobby domaga się, aby reklamy „klimatyczne" były ograniczane w taki sam sposób jak reklamy tytoniu i alkoholu.

Takich zakazów spodziewajmy się niedługo w Polsce. Użytkownik samochodu z silnikiem spalinowym jedzący kiełbasę popijaną piwem, a do tego palący papierosy, stał się dziś wrogiem publicznym numer jeden.

Maciej Walaszczyk

Wojna wisi na włosku

„Nasza cierpliwość osiągnęła swój kres" – powiedział Khawaja Asif, pakistański minister obrony, i wypowiedział faktyczną wojnę talibom. „Teraz mamy do czynienia z otwartą konfrontacją" – dodał. Kilka godzin po tych deklaracjach Pakistan rozpoczął operację „Sprawiedliwa Furia" i zaatakował cele w Kabulu i dwóch prowincjach Afganistanu, w tym w Kandaharze. Według władz pakistańskich w wyniku uderzeń lotniczych miało zginąć co najmniej 274 talibów, a ponad 400 zostało rannych.

Nie ulega wątpliwości, że w tej chwili mamy do czynienia z eskalacją konfliktu. O ile poprzednie uderzenia sił pakistańskich, które jesienią ub.r. zakończyły się chwiejnym zawieszeniem broni, były wymierzone przede wszystkim w znajdujące się w Afganistanie obozy islamistycznego ruchu TPP walczącego z rządem w Islamabadzie i wspieranego bronią przez talibów, o tyle teraz mamy do czynienia z bezpośrednim atakiem na koszary i infrastrukturę sił afgańskich.

Po ataku Sirajuddin Haqqani, minister spraw wewnętrznych talibów, ostrzegł Pakistan, że zapłaci „wysoką cenę" i zagroził ogłoszeniem dżihadu. Brytyjskie media, powołując się na nieujawnione źródła w Kabulu, poinformowały, że talibowie „przygotowują się do długotrwałej wojny". Miało też dojść do odwetowych uderzeń na pakistańskie posterunki graniczne, w wyniku których zginęło 55 pakistańskich żołnierzy.

Pakistan

Władze Pakistanu zaostrzają retorykę zwróconą przeciw talibom. Khawaja Asif, minister obrony Pakistanu, oskarżył talibów, że po zdobyciu władzy przekształcili swój kraj „w kolonię Indii". Powiedział też, iż ma „niezbite dowody" na to, że zamachowiec samobójca, który 6 lutego wysadził się w jednym z meczetów Islamabadu, zabijając 33 osoby i raniąc ponad 400, był wysłany przez talibów.

Stanowczość Islamabadu może wynikać z szoku, jakim dla pakistańskiej elity było zbliżenie między Afganistanem a Indiami – co ma oczywisty związek z atakami fundamentalistów inspirowanych przez Kabul – ale nie można też wykluczyć szerszego geostrategicznego kontekstu. Po tym, jak w czerwcu ub.r. Donald Trump ciepło przyjął premiera Pakistanu, relacje między Waszyngtonem a Islamabadem po latach napięć znacznie się poprawiły, kosztem zresztą amerykańskich stosunków z Indiami. Trudno w tym wypadku mówić o zmianie sojuszy, ale większa asertywność Pakistanu z pewnością jest wynikiem tych trendów.

Marek Budzisz

Rosja

Kłopoty z Telegramem

Władze na Kremlu wszczęły śledztwo w sprawie założyciela Telegramu Pawła Durowa. Jest on podejrzany o „współudział w działalności terrorystycznej". Telegram – powszechnie używany w Rosji komunikator internetowy – ma być wkrótce zakazany.

Kreml zaczął ograniczać ruch na Telegramie, twierdząc, że firma odmawia przechowywania danych użytkowników na terytorium Rosji i nie chce usuwać treści uznanych za nielegalne. Rosyjski regulator internetowy Roskomnadzor miał wysłać do Telegramu ponad 150 tys. wniosków o usunięcie różnych treści, ale „wszystkie zostały zignorowane".

Zarzuty wysuwane przez Kreml są grube. Zdaniem „Komsomolskiej Prawdy", która opiera swoje doniesienia na materiałach podsuniętych przez FSB, od czasu inwazji na Ukrainę w 2022 r. Telegram został użyty do zabójstwa dziewięciu rosyjskich generałów i jest powiązany z ponad 33 tys. incydentów, takich jak zamachy bombowe, podpalenia wojskowych centrów rekrutacyjnych i morderstwa. Rosyjskie media twierdzą też, że Ukraina wykorzystywała dane uzyskane za pośrednictwem platformy do przeprowadzania ataków w Rosji.

„Podczas specjalnej operacji wojskowej Telegram stał się głównym narzędziem agencji wywiadowczych NATO i reżimu w Kijowie do podżegania do protestów, radykalnej ideologii oraz przygotowywania i popełniania aktów sabotażu, przestępstw terrorystycznych i ekstremistycznych, a także oszustw" – napisała „Komsomolskaja Prawda". W efekcie platforma została oskarżona o zagrażanie bezpieczeństwu państwa. Andriej Swincow, członek parlamentarnej komisji ds. polityki informacyjnej, zagroził, że jeśli Telegram nie rozpocznie współpracy, zostanie uznany za „organizację ekstremistyczną". Co ciekawe, przeciwko zablokowaniu Telegramu zaprotestowali prokremlowscy blogerzy wojskowi, twierdząc, że aplikacja jest głównym komunikatorem wśród rosyjskich żołnierzy.

Durow założył Telegram w 2013 r., ale rok później wyjechał z Rosji po tym, jak Kreml zmusił go do sprzedaży udziałów w popularnym serwisie VK. Już raz próbowano zablokować Telegram w 2018 r., gdy firma odmówiła udostępnienia władzom kluczy szyfrujących.

W tej chwili Durow ma obywatelstwo francuskie i Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Biznesmen został aresztowany we Francji w 2024 r. po oskarżeniach, że jego komunikator ułatwia działalność przestępcom. W zeszłym roku pozwolono mu jednak wrócić do Dubaju, gdzie Telegram ma siedzibę.

Jak się podejrzewa, kłopoty Telegramu w Rosji mają związek z uruchomieniem przez Rosję koncesjonowanej platformy Max. Nowa aplikacja wzorowana na chińskich rozwiązaniach ma ułatwić inwigilację społeczeństwa.

Konrad Kołodziejski

Constitution
du Grand-Duché de Luxembourg.
Chapitre I.
Du territoire et du Roi Grand-Duc.
Art. 1er
Le Grand-Duché de Luxembourg forme un
Etat indépendant, indivisible et inaliénable.

Luksemburg

Aborcja w konstytucji

1 marca parlament w Luksemburgu przegłosował wpisanie do ustawy zasadniczej nowej wolności konstytucyjnej: prawa do aborcji. Opowiedziało się za tym aż 48 z 60 członków Izby Deputowanych, zaledwie 6 parlamentarzystów było przeciw, a 2 wstrzymało się od głosu. Jedynym ugrupowaniem, które sprzeciwiło się proponowanym zmianom, była Alternatywna Demokratyczna Partia Reform (wszystkich pięciu posłów tej konserwatywnej formacji zagłosowało przeciw).

Prawo w Luksemburgu przewiduje, iż zmiana konstytucji wymaga uzyskania większości dwóch trzecich głosów podczas dwóch głosowań w parlamencie przeprowadzonych w odstępie co najmniej trzech miesięcy. Kolejne głosowanie może się więc odbyć najwcześniej na początku czerwca. Przewaga zwolenników aborcji nad jej przeciwnikami jest tak duża, że projekt najprawdopodobniej zostanie przyjęty. Jeżeli do tego dojdzie, Luksemburg stanie się drugim państwem na świecie (po Francji), które uzna prawo do aborcji za wolność konstytucyjną.

Jeszcze dwie dekady temu każda ustawa, aby wejść w życie, wymagała podpisu wielkiego księcia. Luksemburg był bowiem monarchią parlamentarną, w której monarcha i parlament wspólnie uchwalali nowe prawa. Zmieniło się to w 2008 r. Wówczas wielki książę Henryk odmówił złożenia swego podpisu pod ustawą legalizującą eutanazję, nie chcąc jako katolik przykładać ręki do usankcjonowania zbrodniczego procederu. W tej sytuacji do akcji wkroczył ówczesny premier kraju Jean-Claude Juncker, stojący na czele Chrześcijańsko-Społecznej Partii Ludowej. Z jego inicjatywy deputowani przegłosowali ograniczenie uprawnień monarchy. Od tamtej pory podpis wielkiego księcia przestał cokolwiek znaczyć w procesie legislacyjnym, a państwo *de facto* zmieniło swój ustrój. Dziś nikt zatem nie będzie pytał o zdanie wielkiego księcia Wilhelma V.

Grzegorz Górny

Fot. Shutterstock, wikipedia

eprasa.pl a50cb05137

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Blokada cieśniny Ormuz i UE

Jan Pietrzak

Kiedy na tym naszym świecie dzieją się straszne rzeczy, reakcją są zmiany cen „wrażliwych" towarów. Bo wszystko, łącznie z wojnami, ma swoją cenę, a te są ze sobą powiązane siecią giełd, banków, interesów. Wojna w Iranie przyniosła natychmiastowy skok cen produktów ropopochodnych, zwłaszcza na stacjach benzynowych. To jest oczywiste, nie ma tu żadnej tajemnicy wojskowej. Natomiast bardziej tajemnicze i zaskakujące mogą być konsekwencje cenowe na naszym podwórku.

Konflikt w cieśninie Ormuz pojawił się w momencie bezprzykładnego ataku fiskalnego na Polaków dokonanego przez „nasz" rząd, którego głównym celem jest doprowadzenie społeczeństwa do nędzy. Zaprogramowano również bezrobocie oraz destrukcję rynku żywnościowego (Mercosur). Ceny energii pozanaftowej (gaz, prąd) od dwóch lat są celowo absurdalnie wysokie. Tania miała być energia z OZE. Mijająca zima zdemaskowała jednak marną wydajność niemieckich wiatraków na polskich polach. Taniego chleba z tej mąki nie będzie. W sumie skomasowany zabieg niszczenia stabilności ma na celu przymuszenie nas do bezwzględnego posłuszeństwa Brukseli. Nieraz padały tam urocze propozycje zagłodzenia Polaków. Właśnie są realizowane. Kiedyś od słów trzeba przejść do czynów. Dlatego kombinacja kredytowa SAFE jest reklamowana jako charytatywny cud dozbrojenia polskiego wojska, podczas gdy realnie ma wyciskać z polskich kieszeni ostatnie grosze przez następnych 40 lat. Jeżeli w tak dramatycznej sytuacji wewnętrznej pojawia się zewnętrzny czynnik grozy, czeka nas prawdziwy kryzys. W podobnej sytuacji ktoś mówił: „To nie kryzys, to rezultat". Według mojej pamięci był to Stefan Kisielewski w dniach upadku peerelu.

Na początku upadek przejawia się w pojedynczych incydentach. Mamy np. taki paradoks, że ceny ropy rosną dzień po dniu, a akcje naszego ORLENU spadają na łeb na szyję! Żaden ekspert by tego nie wymyślił. Poza upartym dołowaniem Polski Unia nie ma pojęcia, co robić, jak się zachować, gdy rutynowy, biurokratyczny rytm urzędowania sypie się na jej oczach. Przez pierwsze dni konfliktu władze UE sprawiały wrażenie obrażonych na USA. Widać, że są bezradne wobec amerykańskiego przywództwa, które porządkuje geopolityczny bałagan odziedziczony po lewackich administracjach.

Na razie oglądamy imponujący pokaz militarnej sprawności USA. Ze strony Unii słychać rojenia o euroarmii, którą zamierza dowodzić jakiś gefreiter – zgodnie z ich tradycją! Na razie mają ponownie wysłać 13 osób na Grenlandię, by wśród reniferów, piżmowołów i białych niedźwiedzi ćwiczyli pałowanie imigrantów, bo w Reichu bywa odwrotnie.

Polscy turyści od kilku dni nie cieszą się zainteresowaniem naszego rządu. Pewien ważniak z MSZ palnął nawet śmieszny tekst, że linie się blokują, ponieważ jest za dużo telefonów! On proponuje, by rodacy doczekali do końca wojny tam, gdzie są. A jak się nie uda, będzie im wszystko jedno. Po co te awantury? Teheran się awanturował i co z tego ma?

Uwaga! Już 15 marca o godz. 17.00 wasz felietonista zaprasza na spotkanie „WIOSNA NASZA" w sali Amicus, ul. Hozjusza 2 na Żoliborzu

Już nie chodzi tylko o SAFE

Samuel Pereira

Spór o program SAFE dawno przestał być tylko dyskusją o finansowaniu obronności. Stawką w tej sprawie nie jest wyłącznie bezpieczeństwo Polski, lecz także polityczna przyszłość obecnej władzy. A gdy w grę wchodzi utrzymanie władzy, rządzący potrafią grać bardzo ryzykownie.

Mechanizm jest prosty. SAFE ma się stać polityczną dźwignią – instrumentem, który pozwoli opowiadać Polakom prostą historię: pieniądze leżą na stole, wystarczy je wziąć, a jedyną przeszkodą jest opozycja i prezydent. Narracja jest wygodna, bo pozwala przykryć wszystkie pytania o koszty i ryzyko.

Tymczasem lista tych ryzyk jest długa. Po pierwsze, warunkowość. Po drugie, kurs złotego i koszt zadłużenia w długim horyzoncie. Po trzecie, realny wpływ Brukseli i Berlina na polską politykę obronną. Trudno mówić o pełnej suwerenności, gdy co pół roku trzeba meldować w Komisji Europejskiej, co, kiedy i od kogo chcemy kupić dla naszej armii. A wszystko to w sytuacji, gdy polski budżet już dziś jest mocno napięty.

Prawa ręka Donalda Tuska, komisarz UE ds. budżetu Piotr Serafin mówi wprost: „Proponujemy nowe środki własne, nowe źródła finansowania budżetu Unii Europejskiej". A gdy padło pytanie o podatki, doprecyzował: „Powiedzmy sobie tak: opłaty". Nazwa może być łagodniejsza, ale sens pozostaje ten sam – ktoś za to wszystko będzie musiał regularnie płacić.

Dlatego propozycja prezydenta i prezesa NBP, by rozmawiać o innych, tańszych i bezpieczniejszych narzędziach finansowania obronności, brzmi jak klasyczne „sprawdzam". Daje wybór drogi, która nie oddaje kolejnych obszarów decyzyjności poza Polskę.

Problem polega na tym, że polityczny pociąg już ruszył. Narracja została ustawiona, a tempo jest tak duże, że każda próba chłodnej analizy będzie przedstawiana jako blokowanie pieniędzy dla armii.

W tym sensie sprawa SAFE rzeczywiście przestała być tylko sprawą SAFE. Stała się testem tego, czy w polskiej polityce wciąż jest miejsce na rachunek ryzyka. Bo jeśli nie – może się okazać, że honor stracimy, rubla nie zarobimy, a na koniec zostanie tylko polityczna opowieść o pieniądzach, bez zastanowienia się nad tym, ile one naprawdę „kosztują".

eprasa.pl a50cb05137

Wojna a wydobycie

Marta Kaczyńska-Zielińska

Iran odgrywa rolę geograficznego hubu w chińskiej Inicjatywie Pasa i Szlaku, stanowiąc dla Pekinu bramę do Bliskiego Wschodu, a także do Europy. Wymienione państwa łączy zawarta w 2021 r. umowa o 25-letnim partnerstwie strategicznym. Chińskie inwestycje w irańską infrastrukturę mają opiewać na kwotę 400 mld dol. Pekin jest największym importerem ropy na świecie. Irańska ropa stanowi ok. 13 proc. chińskiego zapotrzebowania na ten surowiec.

Według informacji dostępnych w mediach handel Chin z Iranem bazuje na rozliczeniach bezdolarowych i rozbudowanych systemach barterowych, mających na celu ominięcie amerykańskich sankcji. Pekin korzystał z tajnego kanału finansowania zwanego Chuxin, dzięki któremu dostawy irańskiej ropy naftowej zamiast transferów gotówkowych finansowały wspierane przez Pekin projekty infrastrukturalne. Równoległa przemysłowa sieć barterowa umożliwiała chińskim producentom wymianę eksportu pojazdów na irańskie metale. Chińskie rafinerie regulowały pozostałe salda ropy w juanach za pośrednictwem objętych sankcjami kanałów, omijając amerykański system finansowy.

Amerykańsko-izraelskie uderzenia na cele w Iranie wywołały natychmiastową reakcję Pekinu. Chiny potępiły operację jako naruszenie suwerenności Iranu i podstawowych norm prawa międzynarodowego, ale strategia polityczna Państwa Środka nie przewiduje zaangażowania militarnego, a zatem nie należy się spodziewać podjęcia przez Chińczyków jakichkolwiek działań zbrojnych. Z informacji publikowanych w lutym br. na portalu Military Watch Magazine wynika jednak, że Chiny, dysponujące ok. 500 satelitami, przekazywały Irańczykom dane wywiadowcze na temat lokalizacji amerykańskich wojsk, a także rozmieściły w Zatoce Perskiej niszczyciel oraz urządzenia szpiegujące.

W związku z zablokowaniem przez strażników rewolucji kluczowej dla transportu surowców cieśniny Ormuz Pekin wywierał presję na Teheran, aby ten utrzymał cieśninę otwartą – jest nią transportowane ponad 50 proc. chińskiego importu ropy naftowej i 30 proc. LNG z Kataru i ZEA. 4 marca br. Irańczycy zaczęli przepuszczać chińskie tankowce.

Analitycy twierdzą, że chińskie zapasy ropy naftowej szacowane na pokrycie trzymiesięcznego zapotrzebowania i rosnąca krajowa produkcja gazu pokrywająca 60 proc. zapotrzebowania oraz traktowanie węgla jako kluczowego źródła energii elektrycznej łagodzą bezpośrednie skutki zakłóceń w przepływach energii z Iranu i innych krajów regionu Zatoki Perskiej. Jeśli niestabilność w Zatoce Perskiej okaże się jednak długotrwała i rafinerie, takie jak choćby ta największa, należąca do Saudi Aramco, nie wznowią pełnej produkcji, Chiny – które ostatnio utraciły już barterowy dostęp do wenezuelskiej ropy – będą zmuszone do przyspieszenia działań na rzecz dalszej dywersyfikacji dostaw i regulowania zakupu surowców w dolarach amerykańskich. A to oddali tak pożądaną przez Pekin perspektywę wyparcia tej waluty z międzynarodowych rozliczeń.

Według analityków źródłami zaopatrzenia mogą się stać Rosja, Azja Środkowa oraz Afryka. Arktyczne szlaki handlowe, przetarte kilka miesięcy temu przez chiński kontenerowiec (który zawinął do portu w Gdańsku), umożliwiłyby szybszy i tańszy transport ropy naftowej przez Europę oraz zwiększyłyby wolumeny wydobycia z Rosji. Pekin może też przyspieszyć realizację planów budowy gazociągu Siła Syberii 2, który miałby dostarczać gaz ziemny z północno-zachodniej Rosji przez Mongolię do Chin. Powstanie gazociągu planowano dotąd na początek lat 30. XXI w.

Czy można sobie wyobrazić, że w związku z uwarunkowaniami gospodarczymi Chin, które eksportują przede wszystkim na szeroko pojęty Zachód, i goniącymi je Indiami, stabilizatorem rynku energii stałyby się Stany Zjednoczone – największy eksporter LNG na świecie – które zwiększają sprzedaż tego surowca?

REKLAMA

220226/F

eprasa.pl a50cb05137

Walizka Alberta Borowieckiego

krawca szyjącego garnitury na zamówienie, ekonomisty

Od dziecka obserwowałem mamę, jak szyje. Po szkole często pomagałem jej w pracach krawieckich, więc od najmłodszych lat byłem obeznany z igłą, żelazkiem i maszyną. Już jako starszy chłopak często kupowałem ubrania w second-handach, żeby po przeróbkach i poprawkach osiągnąć efekt, który mnie zadowalał. Mimo tej pasji ukończyłem studia ekonomiczne. Swoją przyszłość wiązałem z giełdą, na której zacząłem odnosić sukcesy, jednak krawiectwo upomniało się o mnie... Dziś kursy akcji nadal mnie interesują i inwestuję pewne środki, ale traktuję to bardziej jako hobby. Moim głównym źródłem utrzymania jest krawiectwo: firma, w której szyję pod moim nazwiskiem Albert Borowiecki i sklep internetowy 4Gentleman.pl z gotowymi garniturami, które sprzedaję w całej Europie. Mam klientów w Niemczech, Szwecji, Hiszpanii, we Włoszech. Jeżeli chodzi o szycie na miarę, nie stawiam na ilość, tylko na jakość. Stale się dokształcam i rozwijam zainteresowania, ponieważ przychodzący do studia klienci reprezentują różne branże. Podczas zdejmowania miar poświęcam klientowi do 1,5 godziny, a trzeba mieć o czym rozmawiać, żeby wspólnie spędzony czas był interesujący i wnosił coś wartościowego oprócz nowego garnituru. W ten sposób buduje się zaufanie, które procentuje podczas przyszłej współpracy. Nie bez powodu mówi się, że każdy mężczyzna powinien mieć swojego barbera i krawca.

PRÓBNIKI TKANIN

Korzystam wyłącznie z materiałów włoskich producentów. Są to renomowane firmy z wielopokoleniową tradycją, specjalizujące się w produkcji tkanin wysokiej jakości, np. Loro Piana, Piacenza, Delfino, Carnet i Marlein.

eprasa.pl a50cb05137

KSIĄŻKA

Napisałem poradnik na temat mody męskiej, żeby ułatwić życie panom. Zawarłem w nim wszystkie zasady noszenia garniturów i kompletowania garderoby dla mężczyzn. W książce jest ponad 200 zdjęć, które mogą być cenną inspiracją.

TORBA

Skórzana. Spełnia wymogi bagażu podręcznego. Jestem w stanie spakować w niej rzeczy na 3–4 dni podróży: garnitur, zapasową parę spodni, koszulę, bieliznę i kosmetyki.

ACQUA DI PARMA OUD

Moja ulubiona woda perfumowana pojawiła się na rynku w 2012 r. Zawiera nuty drzewa sandałowego, piżma, pomarańczy i cedru, a skomponował je François Demachy.

AKCESORIA KRAWCA

Bez dużych precyzyjnych nożyc krawieckich nie mógłbym funkcjonować w swoim studiu. Poduszeczkę zakładam na nadgarstek, żeby mieć pod ręką szpilki i móc zaznaczać poprawki na garniturach. Elastyczny centymetr pozwala na precyzyjne zdejmowanie miar z sylwetki klienta, mierzyć obwody i krzywizny.

KRAWATY

Wszystkie w mojej ofercie są wykonane z jedwabiu. Są to krawaty ręcznie szyte w rodzinnej manufakturze w Como we Włoszech.

POSZETKA

Tę chusteczkę wkładamy do kieszonki piersiowej w marynarce, tzw. brustaszy. Do zestawów formalnych wybiera się białą, z kolei do zestawów smart casualowych używamy kolorowej, jedwabnej, z ręcznie rolowanym rantem. Najczęstszym błędem jest wybieranie poszetki z wzorem identycznym jak ten na krawacie.

NOTES I NOTES

Jestem zdania, że pisanie na tablecie, laptopie czy w komórce tworzy psychologiczną barierę i podejrzenie, że zamiast pracować, gram w Małysza, dlatego wszystkie notatki, uwagi dotyczące garnituru sporządzam przy klientach ręcznie.

SZAL

Pochodzi od włoskiego producenta Calabrese, który rozpoczął działalność w 1924 roku! Pakowany w eleganckie firmowe pudełko stanowi świetny prezent.

DYPLOM MAMY

Jej dyplom czeladniczy z 1982 r. wisi u mnie w studiu jako symbol kontynuacji rodzinnej tradycji.

BUTY

Wykonane metodą szycia ramowego, tzw. goodyear welted, polegającej na tym, że pas skóry (welt) jest ramą łączącą cholewkę, wyściółkę oraz podeszwę. Gdy podeszwa się zużyje, można ją po prostu wymienić. Buty ze zdjęcia mają 10 lat.

BIBLIA

Wiara jest dla mnie ważna, a Biblia przypomina mi, kim jestem i dokąd zmierzam. Jasno nakreśla fundamenty moralności, daje wskazówki etyczne, odpowiada na dzisiejsze dylematy.

ZEGAREK

Męska biżuteria. Marki Atlantic z mechanizmem kwarcowym. Ten model nie jest już dostępny na rynku.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Fot. Michał Korsun, prywatne archiwum Alberta Borowieckiego, materiały marketingowe Acqua di Parma

eprasa.pl a50cb05137

Galeria skandalu i wulgarności

W gmachu europarlamentu można było zobaczyć wystawę, która przypomina polityczną prowokację na niespokojne czasy. Jej inicjatorką jest Marie-Agnes Strack-Zimmermann, niemiecka europosłanka i przewodnicząca Komisji Bezpieczeństwa i Obrony. Właśnie to czyni całą sprawę jeszcze bardziej zastanawiającą. Pomyślą państwo, że wystawa podnosiła jakiś ważny aspekt z jakże gorącego dziś tematu obronności i bezpieczeństwa? No właśnie nie. Bo co właściwie na niej pokazano?

Wystawa prezentuje wiele pseudoartystycznych prac, które według zamysłu ich autora mają ośmieszać klasę polityczną. Problem w tym, że w tej satyrze wszystko zostaje wrzucone do jednego worka: zbrodniarze są zestawiani z demokratycznymi politykami, a dyktatorzy fałszujący wybory z przywódcami, którzy oddają władzę, gdy obywatele zdecydują o tym w uczciwych wyborach.

Jedna z prac zestawia w tym samym szeregu polityków takich jak Jarosław Kaczyński czy Donald Trump obok Władimira Putina, człowieka odpowiedzialnego za brutalną wojnę i śmierć tysięcy ludzi na Ukrainie, w Gruzji i w samej przecież Rosji. Politycy są przedstawiani jako pasożyty czy robactwo – w formie, która bardziej przypomina projekcję nienawiści niż polityczną satyrę. Nie zabrakło także motywów religijnych. Jedna z prac przedstawia Jezusa Chrystusa brutalnie okładanego pięściami przez Donalda Trumpa. A gdyby tego było mało, na wystawie znajdują się również grafiki o charakterze czysto obscenicznym: męskie genitalia z ludzkimi twarzami czy twarz zamieniona w pośladki.

I dopiero w tym momencie pojawia się pytanie, którego nie sposób uniknąć. Czy naprawdę tym powinna się zajmować przewodnicząca komisji obrony europarlamentu? Bo Europa nie żyje dziś w spokojnych czasach. Na Wschodzie trwa wojna rozpętana przez Putina. Na Bliskim Wschodzie wrze. Państwa europejskie dyskutują o wzmacnianiu armii, zwiększaniu wydatków na obronność i pogłębianiu współpracy w ramach NATO. To są sprawy, którymi powinna zajmować się komisja obrony. Tymczasem jej przewodnicząca organizuje wystawę pełną wulgarnych obrazów, politycznych porównań i ideologicznych prowokacji.

Przy okazji pojawia się jeszcze jedno pytanie: czy niemiecka europosłanka właśnie w ten sposób chce pokazywać swoje podejście do sojuszników? Zestawiając demokratycznych przywódców z mordercami? Jeśli tak, jest to sygnał co najmniej niepokojący – zwłaszcza gdy Europa bardziej niż kiedykolwiek potrzebuje rozwagi w polityce bezpieczeństwa. W związku z tą wystawą złożyłem formalną skargę do przewodniczącej Parlamentu Europejskiego i oczekuję na jej stanowisko.

Arkadiusz Mularczyk

Poddaję się ocenie widzów

Z Alicją Majewską, damą polskiej piosenki, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Kolejna edycja programu „The Voice Senior" za nami. Co dał pani jurorski udział w tym muzycznym show? Czy pojawiła się jakaś inspirująca perspektywa?

Alicja Majewska: Każde doświadczenie nowej sytuacji – poznanie nowych ludzi, ich nierzadko ekscytujących życiorysów, towarzyszenie im w muzycznych zmaganiach i emocjach, w spełnianiu marzeń – jest niezwykle interesujące i cenne. A perspektywa? Zawsze mogę wziąć udział w takim programie, bo spełniam warunek „60+" [śmiech]. Dzięki Bogu na razie poddaję się jednak ocenie nie jurorów, a widzów, którzy kupują bilety na moje koncerty. I to w dużych salach.

Telewizyjne show pokazuje Alicję Majewską w okolicznościach i relacjach innych niż sceniczne. Chwilę wcześniej podziwialiśmy książkowo-koncertowy tercet z Włodzimierzem Korczem i Arturem Andrusem. Dużo się u pani dzieje?

Kalendarz mamy wypełniony – powtarzamy trasę jubileuszową, pojawiają się też nowe rzeczy. Szczęśliwie współpracuję z Włodzimierzem Korczem, który jest ewenementem. Nieustająco w kreacji, pisze dla mnie płytę po płycie. I niezmiennie zaskakuje inwencją oraz talentem, które – odstukać – nie przemijają.

Będą nowe przeboje?

To nie ten rodzaj piosenek. Na szczęście jest spora grupa odbiorców doceniających utwory, w których muzyka łączy się z pięknym i znaczącym tekstem. Jesteśmy z Włodzimierzem Korczem zdziwieni i zarazem szczęśliwi, że mimo iż media nie kształtują specjalnie wrażliwości odbiorców na piosenkę bardziej wysublimowaną, tak wielu słuchaczy na nią czeka.

eprasa.pl a50cb05137

Hannibal ante portas

„Epicka furia”, specjalna operacja wojskowa USA i Izraela przeciwko Iranowi, może się zmienić w znacznie poważniejszy konflikt: III wojnę światową o podłożu religijnym. Wbrew tytułowi tego felietonu barbarzyńcy wcale nie stoją u naszych bram. Dzięki gościnności Angeli Merkel & consortes oni już tutaj są! Miliony młodych mężczyzn jawnie okazuje pogardę i wrogość krajom, które wbrew zdrowemu rozsądkowi i na szkodę własnych obywateli wzięły ich na swoje utrzymanie.

Od tysięcy lat każdy kraj bronił swoich granic albo popadał w niewolę czy zagładę – zależnie od swych zdolności adaptacyjnych. Zapoczątkowany w VII w. zwycięski marsz muzułmanów przez północną Afrykę dotarł aż do Hiszpanii. Próbę zajęcia Francji powstrzymał dopiero król Franków Karol Młot w bitwie pod Poitiers (732 r.). Odzyskanie Półwyspu Iberyjskiego przez chrześcijan zajęło ponad 700 lat! Dziś lewacka europosłanka Irene Montero rzuca ojkofobiczne hasło: „Obyśmy mogli wymieść faszystów i rasistów [czyli zwykłych Hiszpanów – przyp. red.] z pomocą migrantów”. Krew jej przodków poszła w piach.

W obliczu „Epickiej furii” państwa, takie jak Francja, Niemcy, Szwecja czy Belgia (40 proc. mieszkańców Brukseli nie posiada belgijskiego obywatelstwa), stoją dziś w rozkroku. Opowiedzenie się po jednej ze stron konfliktu grozi im fatalnymi następstwami: utratą najważniejszego sojusznika albo wybuchem „świętej wojny dżihadu” w sercu UE. Trwające od lat hybrydowe potyczki między USA, Rosją i Chinami przemienią się w międzynarodową, religijną rzeź: „islam kontra reszta świata”. Na Stary Kontynent ruszą kolejne tabuny wojennych uciekinierów.

Czy w obliczu fizycznej zagłady ginące kraje UE zdobędą się na desperacki akt samoobrony? To iście hamletowskie pytanie o tzw. cohones. Stawiam na masowe migracje Europejczyków do chwilowych oaz spokoju. Piszę „chwilowych”, bo konflikty nabrzmiewają nawet w „ziemskich rajach” (*vide* Tajlandia, Kambodża). A zatem: bon voyage!

Lech Makowiecki

Fot. Natasza Mludzik/TVP

ZDJĘCIE TYGODNIA Kubiczne domy w Rotterdamie

Fot. Robin Utrecht/HOLLANDSE HOOGTE/East News

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁĄBEK, JERZY SZMIT, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT: MONTAŻ STUDIO GRAFICZNE FRATRIA: PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS, GEO-GRAFIKA/SHUTTERSTOCK
ANDRZEJ WIKTOR x3, MIKOŁAJ BUJAK/IPN, EB ADVENTURE PHOTOGRAPHY/SHUTTERSTOCK

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	366 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl a50cb05137

Bibice

To ukrywa

To, że minister sprawiedliwości dużego europejskiego państwa utajnia przed opinią publiczną swój majątek, jest gigantycznym skandalem i wyrazem pogardy dla obywateli. Pisaliśmy o tym na łamach tygodnika w jednym ze styczniowych numerów. Teraz, działając w imię interesu publicznego, wraz z telewizją wPolsce24 postanowiliśmy pokazać to, co skrzętnie ukrywa przed Polakami Waldemar Żurek

ŁUKASZ WRÓBLEWSKI

Waldemar Żurek jest przeciwnikiem jawności w życiu publicznym, przynajmniej jeśli chodzi o jego samego i jego majątek. Ma nawet autorską teorię w tej sprawie.

„Jawność oświadczeń majątkowych wbrew obiegowym twierdzeniom polityków nie ogranicza ryzyka korupcji.

eprasa.pl a50cb05137

Smerek

Żurek

To mit. Takie oświadczenie majątkowe to także idealny poradnik np. dla kidnaperów, którzy analizując majątek rodziców, ich oszczędności, mogą planować przestępstwa" – przekonywał w 2016 r.

Jako sędzia Żurek nie chciał upubliczniać swojego oświadczenia. Zdaje się, że miał to być gest sprzeciwu wobec „zamachu" Zbigniewa Ziobry na święty spokój pań i panów w togach poprzez wprowadzenie obowiązku ich publikacji. Oświadczenia za 2016 i 2017 r. odtajniono dopiero decyzją ministra sprawiedliwości. Ostatnie dostępne oświadczenie zostało złożone w 2023 r. i opisuje stan majątkowy na 2022 r. Potem już nic nie trzeba było pokazywać, bo przyszła nowa władza. A jeszcze później – tym bardziej, bo sam Żurek, wchodząc w ubiegłym roku do rządu Donalda Tuska, stał się tą władzą.

DLACZEGO ŻUREK NIE CHCE POKAZAĆ?

Jak Żurek tłumaczy niewątpliwy skandal, jakim jest utajnianie swojego majątku przez członka rządu odpowiedzialnego m.in. za organy ścigania? Mówi o „względach bezpieczeństwa".

A o co chodzi naprawdę? Możliwe odpowiedzi są dwie. Pierwsza: nie chce odpowiadać na pytania, w jaki sposób zgromadził środki na swoje nieruchomości – konkretne działki i domy, o które można pytać, gdy ma się przed sobą jawne oświadczenie. Sędziowie i ministrowie zarabiają dobrze, przy oszczędnym gospodarowaniu i wspieraniu się kredytami można spokojnie inwestować w ziemię i domy. Majątek Żurka był kontrolowany przez CBA za rządów PiS. Polityk powtarza, że „niczego nie znaleziono" – ma to świadczyć o legalnym pochodzeniu wszystkiego, co posiada. Warto jednak przypomnieć, że służby stwierdziły wówczas „wątpliwości natury skarbowej", a Waldemar Żurek mimo obowiązku prawnego nie podpisał protokołu z kontroli i nie wyjaśnił na piśmie, dlaczego odmawia tego aktu.

Druga możliwość jest taka: Żurek uważa się za kogoś lepszego od np. dyrektorki wiejskiego przedszkola (która co roku musi złożyć i opublikować oświadczenie), swoich kolegów z rządu (minister sprawiedliwości to jedyny członek gabinetu Donalda Tuska, którego oświadczenie majątkowe jest zastrzeżone), posłów i samorządowców wszystkich szczebli. Dziesiątki tysięcy Polaków pełniących rozmaite funkcje – od kluczowych dla państwa po najzwyklejsze stanowiska kierownicze – w zgodzie z podstawowymi zasadami przejrzystości ujawniają swój majątek,

eprasa.pl a50cb05137

Janówek Pierwszy

Hucisko Nienadowskie

Korlino

Naćmierz

minister Żurek – nie. I tyle. Tłumaczyć się z czegoś zwykłym Polakom? To pewnie poniżej godności wielkiego demokraty i niedawnego członka „nadzwyczajnej kasty".

Oczywiście może być też tak, że działają oba czynniki. Żurek nie chce pytań, a przy okazji jest tak pyszny i nadęty, że ma gdzieś niewątpliwe straty wizerunkowe, jakie ponosi, chowając majątek przed opinią publiczną.

DLACZEGO POKAZUJEMY?

Dla nas jednak sprawa jest jasna. Majątek ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego, a więc człowieka (teoretycznie) walczącego z przestępczością, z mafiami, musi być jawny. Tutaj nie ma żadnej dyskusji, żadne żurkowe zaklęcia tego nie zmienią.

Wraz z telewizją wPolsce24 decydujemy się pokazać, co posiada minister i gdzie. Odrzucamy przy okazji argumenty, że np. wskazanie miejscowości, w której mieszka polityk, jest „wystawieniem go na cel". Nie jest. Pamiętajmy też, że Waldemar Żurek ma do dyspozycji rządową, opłacaną przez podatników ochronę. W razie konieczności może być ona wzmocniona. Jest sto razy bardziej chroniony i bezpieczny niż przeciętny obywatel.

Pozostaje też kwestia standardów. A te powinny być jednolite, takie same dla wszystkich. Nikt nie krępował się, by wskazać, gdzie mieszka Jarosław Kaczyński. Ludzie ze środowiska politycznego ministra Żurka wznosili i wznoszą pod domem na Żoliborzu nienawistne hasła, „je...ią PiS". Największa gazeta w kraju relacjonuje remont prowadzony u sąsiadów Kaczyńskiego. Największe telewizje pokazywały dom i działki Mateusza Morawieckiego. Pod domem Zbigniewa Ziobry w Jeruzalu stały wozy transmisyjne – cała Polska mogła zobaczyć, gdzie on mieszka. W mediach pokazywano dom Donalda Tuska i innych polityków obecnej władzy.

Dlaczego Żurek ma być wyjątkiem? No właśnie. Nie można się tu zgadzać na szantaż i głodne kawałki o „zagrożonym bezpieczeństwie", zwłaszcza gdy opowiada je polityk nieszanujący podstawowej zasady życia publicznego, jaką jest jawność majątkowa, i niepublikujący swoich oświadczeń.

W jaki sposób ustaliliśmy, co według stanu na początek 2026 r. zgromadził minister sprawiedliwości? Przejrzeliśmy księgi wieczyste nieruchomości, w których pojawia się nazwisko Waldemara Żurka. Skonfrontowaliśmy te informacje z jego ostatnim jawnym oświadczeniem majątkowym, złożonym przez ówczesnego sędziego w 2023 r. i dotyczącym stanu z 2022 r. Wzięliśmy pod uwagę ustalenia innych mediów, m.in. Wirtualnej Polski, która we wrześniu 2025 r. pisała o majątku Żurka. A na koniec pojechaliśmy do wszystkich ustalonych w ten sposób miejsc i rozmawialiśmy z mieszkającymi tam ludźmi.

CO CHOWA MINISTER?

Według ostatniego jawnego oświadczenia majątkowego, a więc tego za 2022 r., Żurek miał 120 tys. zł oszczędności i samochód Suzuki S4 z 2007 r. Jak jest z pieniędzmi i samochodami dzisiaj? Tego nie sposób ustalić, tu trzeba polegać wyłącznie na dokumencie z 2023 r. Kolejne oświadczenia ministra są zastrzeżone.

eprasa.pl a50cb05137

Łomna

Rzeplin

Żubracze

Żubracze

Można za to – właśnie dzięki księgom wieczystym – pokusić się o wskazanie nieruchomości posiadanych przez Waldemara Żurka w lutym 2026 r. Oczywiście mogło być tak, że, dajmy na to, miesiąc temu minister coś sprzedał albo kupił i nie odnotowano tego jeszcze w księdze.

Dopełniliśmy dziennikarskiej rzetelności, dwukrotnie prosząc w Ministerstwie Sprawiedliwości o ujawnienie elementów obecnego majątku Waldemara Żurka. Mimo że daliśmy na to urzędnikom ponad miesiąc, nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi.

Ale *ad rem* Minister Żurek mieszka w Rzeplinie, w gminie Skała, niedaleko Krakowa. Ma tam dom o powierzchni ok. 110 m² postawiony na działce o powierzchni ok. 0,2 ha. Dodatkowo w tej samej miejscowości minister posiada – według ksiąg wieczystych – 3,3 ha gruntów rolnych.

Drugi dom Żurka – o powierzchni ok.200 m² – znajduje się w Bibicach, w gminie Zielonki, na działce o powierzchni 0,072 ha. Dwukondygnacyjny budynek znajduje się w stanie surowym zamkniętym, na podwórku widać ślady trwających prac. Niedawno zamontowano np. panele fotowoltaiczne na dachu.

> W jaki sposób ustaliliśmy z telewizją wPolsce24, co według stanu na początek 2026 r. zgromadził minister sprawiedliwości? Przejrzeliśmy księgi wieczyste nieruchomości, w których pojawia się nazwisko Waldemara Żurka

Trzeci dom, letniskowy, ok. 100-metrowy, minister posiada niedaleko morza, w urokliwym Naćmierzu w powiecie sławieńskim. Dodatkowo jest właścicielem działki o powierzchni 1,1 ha w pobliskim Korlinie.

Czwarty dom – drewniane, ale bardzo solidne i ładne letnisko o powierzchni ok. 100 m² – znajduje się w Bieszczadach, konkretnie w Smerku w gminie Cisna. Tylko tam i w Rzeplinie, a więc w miejscu zamieszkania, Żurek jest rozpoznawany przez sąsiadów. W innych włościach nie bywa, a przynajmniej niezbyt często. To prawdopodobnie w Smerku minister nagrał żenujący filmik, na którym wymachiwał siekierą i opowiadał, jaki to z niego twardy drwal.

W województwie podkarpackim, w Żubraczach w powiecie leskim i Hucisku Nienadowskim, powiat przemyski, Waldemar Żurek posiada – wedle wpisów w księgach wieczystych – lasy, grunty zadrzewione i zakrzewione o łącznej powierzchni blisko 10 ha, do tego gospodarstwo rolne o powierzchni 0,49 ha (w Żubraczach). Na spacer po własnym lesie (o powierzchni 0,31 ha) minister może się również wybrać w Łomnej w powiecie bocheńskim (województwo małopolskie). A gdy znudzi mu się las, zostają ryby – Waldemar Żurek posiada łąki i grunty orne nad Narwią w miejscowości Janówek Pierwszy w gminie Wieliszew.

Taki to pożyje.

eprasa.pl a50cb05137

W exposé Sikorskiego żaden kraj NATO ani UE nie był adresatem tak nieprzyjaznych zarzutów jak USA

Antyamerykańskie wzmożenie

Antyamerykańska szajba liberalno-lewicowych elit w Polsce przechodzi w skalę groźną dla bezpieczeństwa kraju. W momencie ataku na Iran agresywne tyrady premiera Tuska, ministra Sikorskiego i marszałka Czarzastego przestały być tylko elementem wewnątrzkrajowej nawalanki politycznej, ale degradują pozycję Polski na arenie międzynarodowej. A inni przywódcy uprawiają w tym czasie prawdziwą politykę

PIOTR GURSZTYN

Można zestawić dwa obrazki, które najlepiej ukazują skalę problemu. Pierwszy to wizyta kanclerza Niemiec Friedricha Merza w Białym Domu. W samym środku wydarzeń o epokowym znaczeniu dla całego globu. Kanclerz Niemiec przytakujący we wszystkim prezydentowi USA. Łącznie z tym, że otwarcie poparł ostre słowa Donalda Trumpa pod adresem Hiszpanii i jej premiera Pedra Sáncheza. W bardzo ważnym kontekście, czyli ostentacyjnym odcięciu się Sáncheza od działań Trumpa na Bliskim Wschodzie, łącznie z zakazem korzystania z baz wojskowych na terenie Hiszpanii.

Drugi obrazek to sesja zdjęciowa w jednym z tabloidów, ukazująca premiera Donalda Tuska hasającego z wnuczkami. W sobotę, gdy trwała już akcja zbrojna przeciw reżimowi ajatollahów, premier brał udział w PR-owej ustawce. On jako dobry dziadek w „czaderskich butach" (jak opisywał to „Super Express"), szczęśliwe wnuczki. Sesja fotograficzna była zapewne umówiona od dawna, ale zdjęcia ukazały się w poniedziałek, więc premier i jego otoczenie mieli czas, aby zablokować ich publikację. Dlaczego na to nie wpadli? Nie znamy odpowiedzi, ale naprawdę mogło to wyniknąć z czystej amatorszczyzny, bo taka jest także obecnie polska polityka zagraniczna.

Gdy do Polski niespodziewanie dotarły informacje o ataku, widać było szok polskich polityków, zwłaszcza tych ze strony rządowej. Wspomniana sesja fotograficzna premiera oraz kilka innych zdarzeń plus późniejsze informacje wskazują, że Waszyngton nie uprzedził nikogo w Europie (z wyjątkiem Brytyjczyków, którzy byli proszeni o wsparcie i możliwe, że prezydenta Karola Nawrockiego, o czym mógłby świadczyć jego pierwszy komentarz po ataku). Prawie wszyscy politycy zamilkli i ograniczyli się do zdawkowych komentarzy. Ze znaczącym wyjątkiem Anny Marii Żukowskiej, która oburzyła się na „złamanie prawa międzynarodowego" i „odnowienie pobudek imperialnych USA". Wspominamy o niej, bo można założyć, że ekspresyjna szefowa klubu parlamentarnego Lewicy mówi to, co myśli, ale woli nie wyjawiać Włodzimierz Czarzasty. Oraz spora część liberalno-lewicowych elit politycznych, co było widać po antyamerykańskim wzmożeniu w mediach społecznościowych dużej grupy dziennikarzy, komentatorów i internetowych celebrytów militarnych, których poglądy są tożsame z linią obecnego rządu.

Fot. Adam Burakowski/East News

eprasa.pl a50cb05137

PODWAŻYĆ SOJUSZ Z USA

Antyamerykańska szajba polskiego lib-leftu ujawniła się w szczególnym momencie. Trwają amerykańsko-izraelskie działania przeciwko jednemu z najbardziej odrażających reżimów świata. Tymczasem według wyobrażeń liberałów i lewicowców tym najbardziej złym jest Trump. Mimo że prezydent USA eliminuje jednego z najważniejszych sojuszników putinowskiej Rosji. To przecież Iran dostarczył tanie drony Szached, które stały się zmorą mieszkańców Ukrainy.

Na polskich krytyków Trumpa nie wypłynęła reakcja prezydenta Ukrainy, który pozytywnie ocenił działania przeciw reżimowi ajatollahów. „Iran postanowił wspierać Rosję, choć Kijów nigdy nie zagrażał Teheranowi" – napisał z satysfakcją Wołodymyr Zełenski i nawet on nie przekonał ludzi ogarniętych antyamerykańską fobią, chociaż na co dzień wycierają sobie usta hasłami pomocy Ukrainie.

Rozbudzona obecną sytuacją antyamerykańska szajba ściśle wiąże się z kampanią podważania wartości sojuszu militarnego z USA. Trwa ona już od dłuższego czasu, a teraz mocno się splotła z negatywnymi ocenami działań Ameryki na Bliskim Wschodzie. Trafnie skomentował to dr Sławomir Dębski, wieloletni dyrektor Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, skądinąd wyrzucony z pracy w ramach czystki dokonywanej w instytucjach publicznych przez PO w 2024 r.: „To jednak fascynujące jak łatwo podrzucić do polskiej debaty publicznej tezę, że Stany Zjednoczone są niewiarygodnym sojusznikiem, ich odstraszanie to bluff, a Polska byłaby bezpieczniejsza, gdyby nie musiała się na takich sojuszników oglądać. Taki wariant rosyjskiej narracji sprzed kilkunastu lat w odniesieniu do Ukrainy – »najbezpieczniejszy kraj na świecie, nawet armii nie potrzebuje«. »Przeciw komu chcecie do NATO, przecież Rosja to pokojowy kraj«".

Tuskowi, a także Radosławowi Sikorskiemu udało się zaindukować antyamerykanizm – bo nie tylko o Trumpa tu chodzi – sporej części swoich wyborców. Naprawdę można uwierzyć w popularną na prawicy teorię, która dzisiaj przestaje brzmieć spiskowo. Głosi ona, że Tusk bierze na siebie rolę tego złego w konflikcie z Ameryką, podczas gdy kanclerz Merz, a także prezydent Francji Emanuel Macron, będą prowadzić bardziej przyjazną politykę wobec USA. I efekt tego będzie taki, że to Polska poniesie koszty antyamerykanizmu, a nie Donald Tusk, który zostanie za to wynagrodzony jakąś kolejną europejską posadą lub po prostu skorzysta z sowitej emerytury.

Antyamerykańska kampania jest rozbudzana nie tylko w Polsce, ale to my jesteśmy krajem frontowym i to my możemy ponieść jej koszty. Bo nie jest tak, że po drugiej stronie oceanu nikt jej nie widzi. Prof. Andrew Michta zauważył niedawno: „Śledzę dyskusję na temat polityki bezpieczeństwa narodowego w różnych europejskich mediach i niepokoi mnie rosnący rozdźwięk między tzw. opinią publiczną ekspertów a rzeczywistością, w jakiej znalazła się Europa w wyniku trzech dekad zaniedbywania kwestii obronności. W europejskich mediach głównego nurtu i podcastach internetowych nieustannie rozbrzmiewa antynatowska retoryka, jakby kraje te chciały teraz przewodzić odłączaniu się Europy od Ameryki. Europejscy eksperci od strategii i obronności z YouTube i telewizji zdają się przewodzić tej zmianie. Emocje nie są dobrym źródłem porad, jeśli chodzi o kwestie bezpieczeństwa narodowego, a publiczne twierdzenia, które stale podważają wartość NATO i sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi, przygotowują grunt pod scenariusz, w którym narażone państwa frontowe mogą znaleźć się w sytuacji, w której same będą musiały stawić czoło Rosji".

Znakomitym przykładem jest świeży wywiad z „Gazety Wyborczej" ze znanym internetowym celebrytą militarnym. „GW" zadaje mu wiele pytań o wiarygodność sojuszniczą Ameryki. Pytań z tezą, bo nie padło ani jedno analogiczne pytanie o wiarygodność krajów europejskich w tej roli. Oto przykład: „Niektórzy eksperci podnoszą, że dodatkowym ryzykiem stawiania wszystkiego na jedną, amerykańską kartę, jest tzw. kill switch – umowny przycisk w Waszyngtonie, który mógłby unieruchomić nasz sprzęt. To mit? Brzmi jak teoria spiskowa, ale z drugiej strony nie byłoby dziwne, gdyby Amerykanie, mając jako największa zbrojeniówka świata świadomość, że nigdy nie ma pewności, dokąd wycieknie i w jakie ręce dostanie się ich zaawansowany sprzęt, jakoś się nie zabezpieczyli". Dzisiaj ta narracja jest sączona bardzo intensywnie, ale w ściśle określonej formie: „kill switch" mogą wyłączyć tylko Amerykanie, a wszyscy inni nigdy nam tego nie zrobią.

Kolejne pytanie „GW", a właściwie twierdzenie: „Ale są części zamienne i mechanicy, których Amerykanie mogą odmówić". Także słowa o tym, że Waszyngton może uziemić polskie F-35. I wszystko po to, aby opowiedzieć, że Europa buduje alternatywne wobec USA systemy obronne, które przy tej okazji są reklamowane jako równorzędne pod względem technicznym ze sprzętem amerykańskim.

To jawna manipulacja, nie tylko dlatego, że techniczne i militarne możliwości państw europejskich są daleko za amerykańskimi. Można stawiać pytania o wiarygodność sojuszniczą USA, ale oszustwem jest pomijanie postawy innych państw sojuszu. A fakty wskazują, że najmniej pewnym członkiem NATO są Niemcy. To one w 2022 r. zamknęły swoją przestrzeń powietrzną dla brytyjskich samolotów dostarczających pomoc militarną dla Ukrainy. To Niemcy odmawiają Ukrainie pocisków Taurus i przez lata nie potrafią skompletować 4-tysięcznej brygady do obrony Litwy. A teraz z wielką zaciekłością ścigają ukraińskich komandosów, którzy wysadzili gazociąg Nord Stream. Bogata RFN jest na dole stawki wydatków militarnych. Ledwo doczłapała do minimum 2 proc. PKB, zajmując przedostatnie miejsce w Sojuszu. Francja podobnie. Ze swoją niezbyt liczną jak na tak duży kraj armią dobiła do poziomu wydatków... 2,05 proc. PKB.

A to nie koniec europejskich nieszczęść. Właśnie pojawiły się informacje, że Francja wycofuje się z projektu wspólnej europejskiej korwety. Negocjuje także wycofanie się z programu Eurodrone. Kompletną klapą okazały się projekty europejskiego czołgu przyszłości MGCS i wspólnego myśliwca FCAS.

TUSK Z FRANCUSKIM PARASOLEM

Gdy niemal każdy dzień przynosi wiadomości o tym, że nic nie wychodzi z tzw. budowania europejskiej autonomii strategicznej, Donald Tusk ogłasza pomysł o jawnie antyamerykańskim wydźwięku. „Polska prowadzi rozmowy z Francją i grupą najbliższych europejskich sojuszników w sprawie zaawansowanego programu

eprasa.pl a50cb05137

odstraszania nuklearnego. Zbroimy się z przyjaciółmi, aby wrogowie nie ośmielili się nas zaatakować" – obwieścił. I tym razem chyba przeszarżował w podżeganiu antyamerykańskiego hejtu, bo masy internautów rzuciły się sprawdzić oczywistą rzecz: jak mocny jest ów francuski parasol. Prawda okazała się rozczarowująca – niecałe 400 głowic wobec 4 tys. rosyjskich i potencjału amerykańskiego porównywalnego liczbowo z rosyjskim.

PR-owe błazenady Tuska są tym bardziej niebezpieczne, że amerykańska doktryna użycia broni jądrowej zakłada ochronę nie tylko USA, lecz także sojuszników. Francuska natomiast ogranicza się do obrony własnego kraju.

Czas, w którym Tusk ogłosił komunikat o francuskim parasolu, jest wyjątkowo nieszczęśliwy. Właśnie w tym momencie wszyscy europejscy przywódcy próbują podtrzymywać relacje z Trumpem. Wyjątkiem jest nieszczęsny premier Hiszpanii i to w jego towarzystwie trzeba lokować Tuska. Bo widzieliśmy przebieg wizyty kanclerza Merza w Białym Domu. Premier Wielkiej Brytanii najpierw odmówił pomocy Amerykanom, ale szybko pojął, że nie opłaca mu się kłótnia z Trumpem i zmienił część swoich decyzji. Francja wysyła swój jedyny lotniskowiec w rejon konfliktu, a prezydent Macron – dodając kilka nieistotnych zastrzeżeń – ogłosił, że stoi po stronie USA. Faktem jest, że prezydent Trump dość obcesowo potraktował Europę, nie informując jej o rozpoczęciu operacji „Epicka furia", czego groteskowym w sumie efektem okazało się to, że dwóch europejskich ministrów spraw zagranicznych było w tym czasie na prywatnych urlopach w krajach Zatoki Perskiej. Mimo wszystko najważniejsi liderzy państw europejskich uznali, że to nie czas na fochy i żale, bo niestety obcesowość Trumpa wynika z oceny realnej siły militarnej krajów naszego kontynentu.

MANIPULACJE SIKORSKIEGO

Wskutek wcześniejszej i obecnej polityki obecnego rządu Polska jest jeszcze bardziej „nigdzie" – trawestując frazę ze słynnej sztuki teatralnej. Administracja prezydenta Trumpa systematycznie odbiera nieprzyjazne sygnały z Warszawy. Była przecież nieprzypadkowa szarża marszałka Czarzastego. Co gorsza, wsparta przez premiera Tuska, bo przecież ambasador Tom Rose próbował „wypreparować" Czarzastego z „doskonałych" stosunków z rządem Tuska. Premier ostentacyjnie odrzucił ten gest, a na dodatek zezwolił na kampanię hejtu przeciw przyjaznemu Polsce i osobiście sympatycznemu ambasadorowi.

A dwa dni przed atakiem na Iran mieliśmy kuriozalne exposé Sikorskiego (któremu zresztą Rose przysłuchiwał się osobiście). Skądinąd termin jego wygłoszenia pokazuje, że szef polskiej dyplomacji nic nie wiedział o ataku, co też jest znakiem międzynarodowej pozycji rządu Tuska.

PR-owe błazenady Tuska są tym bardziej niebezpieczne, że amerykańska doktryna użycia broni jądrowej zakłada ochronę nie tylko USA, lecz także sojuszników. Francuska natomiast ogranicza się do obrony własnego kraju

W exposé żaden kraj NATO ani UE nie był adresatem tak nieprzyjaznych zarzutów jak USA. Sikorski sięgnął nawet do historii: „Pamiętamy też o Jałcie. Po upadku nazistowskich Niemiec prezydent Franklin Roosevelt chciał pozyskać pomoc Stalina do walki z Japonią. Uzyskał ją, ale kosztem wolności tej części Europy. Amerykański interes narodowy zrealizowano. My zapłaciliśmy cenę" – mówił i nie zająknął się słowem, że Jałta była konsekwencją zniszczenia Europy przez Niemcy. Ani o tym, że państwo niemieckie wywołało obie wojny światowe i to Ameryka musiała „sprzątać". Jego manipulacja jest tym silniejsza, że nie wspomniał o wypełnieniu zobowiązań sojuszniczych przez Francję we wrześniu 1939 r. Tak samo nie dodał, że w okresie Jałty to Francja pierwsza pospieszyła się z uznaniem PKWN i całkowicie akceptowała sowietyzację powojennej Polski. Przemilczenia nie są przypadkiem. Służą jasnej narracji: trzeba wzmacniać centralizację UE, bo to rzekomo – według sensu jego wypowiedzi – znacznie pewniejsza gwarancja bezpieczeństwa niż sojusz z USA. „Byliśmy i będziemy lojalnym sojusznikiem Ameryki. Ale nie możemy być frajerami" – rzucił jeszcze w swym stylu Sikorski. Słowa o frajerach – w wulgarnej angielskiej formie „suckers" – były jedynym echem exposé, które zostało odnotowane w świecie.

ZASŁUGI TRUMPA

Propaganda polskich liberałów starannie pomija najważniejsze fakty. Przecież to Donald Trump wyrządził najwięcej wymiernych szkód Władimirowi Putinowi. Całkowicie zniszczył rosyjską strefę wpływów – od Wenezueli po Armenię i Azerbejdżan. Drugi już potężny atak na Iran zdemolował prestiż Putina jako kogoś, kto nie może pomóc swym przyjaciołom. Przy okazji to całkowita kompromitacja rosyjskiego sprzętu wojskowego, zwłaszcza systemów OPL. To Trump sparaliżował rosyjski eksport ropy naftowej i gazu ziemnego, doprowadzając do tego, że dochody Kremla z eksportu rok do roku spadły nawet o 50 proc. A to jest główne źródło finansowania rosyjskiej machiny wojennej.

Mdłe chińskie reakcje na atak na Iran, ważnego dostawcę ropy do Chin, pokazują też, jak potężnym hegemonem w istocie jest Trump. Uderzeniem na Iran przywrócił jednobiegunowy porządek polityczny na świecie. „Bezsilni Europejczycy są skazani na przychylność Waszyngtonu" – napisała jedna z niemieckich gazet w pierwszym komentarzu na wieść o ataku na Iran. Zauważyła też, że kolejny raz „Europy nikt nie pytał o zdanie". Takich głosów w niemieckich mediach jest więcej. Są zaskakująco przytomne na tle szajby polskiego lib-leftu i współgrają z wyrachowaną polityką kanclerza Merza. Niemcy nie lubią Ameryki, ale postępują całkowicie inaczej niż Tusk, Czarzasty i Sikorski. Czyżby nie posłuchali naszego złotoustego szefa dyplomacji i chcą być frajerami? Niestety antyamerykańska polityka obecnego rządu prowadzi do tego, że największym frajerem będzie Polska.

eprasa.pl a50cb05137

Braun żywi się strachem

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Jedną z pierwszych reakcji Konfederacji Korony Polskiej na wybuch wojny z Iranem był atak na Karola Nawrockiego. Prezydent ujawnił, że został poinformowany przez amerykańskich sojuszników o planowanej akcji zbrojnej w Zatoce Perskiej. W odpowiedzi na te słowa płocki oddział partii Grzegorza Brauna zarzucił Nawrockiemu... nielojalność wobec Iranu. „Karol Nawrocki wiedział o ataku Stanów Zjednoczonych na Iran i nie uprzedził o tym Irańczyków? To skandaliczna wypowiedź polskiego prezydenta. Wstyd!" – mogliśmy przeczytać w poście umieszczonym na platformie X.

W pierwszej chwili trudno było zrozumieć tę logikę. Iran jest teokratycznym reżimem, bardzo brutalnym wobec własnych obywateli i prowadzącym agresywną politykę na Bliskim Wschodzie. Przede wszystkim pozostaje jednak sojusznikiem Rosji. Działacze partii Brauna chcieli więc najwyraźniej, żeby polski prezydent zdradził Amerykanów i stanął po stronie Moskwy. Zamieszczony przez nich post wzbudził setki negatywnych reakcji i w końcu został usunięty.

Usunięcie wpisu nie oznacza jednak, że ludzie Brauna skorygowali swoje poglądy. Ich błąd polegał na tym, że poczuli się zbyt pewnie. Owszem, jak dowodzą liczne badania, Polacy obawiają się wojny, ale nie do tego stopnia, aby ze strachu wywieszać na swoich domach białe flagi. A właśnie to chciałaby im zaproponować formacja Brauna.

FAŁSZYWE ŚWIATEŁKO

Konfederacji Korony Polskiej nie należy jednak lekceważyć. Partia od dawna żeruje na różnych lękach społeczeństwa i umiejętnie je podsycając, osiąga coraz wyższe notowania.

Ciekawe spostrzeżenia na ten temat przedstawił niedawno Marcin Pieńkowski w „Przekanale" w serwisie YouTube. Otóż momentem przełomowym dla Brauna miał być wybuch pandemii. Brak rzetelnej wiedzy na temat źródeł koronawirusa oraz walki z nim wywołał kryzys zaufania do instytucji publicznych, co pchnęło część społeczeństwa w stronę domysłów i samodzielnego poszukiwania informacji. Było to o tyle łatwe, że w warunkach nieustannych lockdownów życie przeniosło się do sieci, gdzie pozbawieni wiedzy przestraszeni internauci masowo padali ofiarą manipulacji i dezinformacji. To właśnie

Fot. European Union 2025 - Source : EP, Shutterstock

eprasa.pl a50cb05137

wtedy Grzegorz Braun wypłynął na szersze wody.

Braun łapał punkty na strachu przed zarazą. Jego zwolennicy rekrutowali się spośród ludzi przekonanych o szkodliwości szczepień i poszukujących alternatywnych metod leczenia. Byli też tacy, którzy w ogóle kwestionowali pandemię, uważając ją za spisek liberalnych elit zmierzający do zniewolenia społeczeństwa. Jeszcze inni krytykowali zbyt represyjny reżim higieniczny. Wszystkich zaś połączył internet, gdzie algorytmy sprytnie podsuwały im pożądane treści.

Manipulacja i dezinformacja mają to do siebie, że zawsze zawierają trochę prawdy umiejętnie zmieszanej z fałszem. Wielu ludzi nie jest w stanie wychwycić tej różnicy, dlatego tego rodzaju kampanie bywają bardzo skuteczne. Z pewnością byli tacy, którzy chcieli zarobić na pandemii, na pewno były też rojenia o wzięciu niesfornych społeczeństw pod but. Przede wszystkim jednak na początku pandemii wszyscy poruszali się po omacku. I to właśnie w tych ciemnościach zaczęły pojawiać się fałszywe światełka – dziś nie powinno ulegać żadnej wątpliwości, że źródłem wielu z nich były rosyjskie i chińskie kanały dezinformacyjne, które szykowały się do obecnego starcia z Zachodem. Jakaś część zwolenników Brauna dała się na to nabrać, a on sam – podsycając ich lęki – korzystał na tym politycznie.

Warto bowiem zauważyć, że celem ataków Brauna od samego początku było PiS. Żerując na strachu przed pandemią, uderzał przecież w Mateusza Morawieckiego. Działo się to w momencie, gdy ówczesny rząd zacieśniał współpracę ze Stanami Zjednoczonymi, a Rosja szykowała się do wojny na Ukrainie.

IGRANIE Z OGNIEM

Wszyscy zapewne pamiętają najsłynniejszy występ Brauna, jakim była akcja z gaśnicą w grudniu 2023 r. Ale to stanowiło tylko zwieńczenie jego wcześniejszej działalności, która nieustannie zaogniała i tak już fatalne relacje polsko-żydowskie.

Żeby było jasne – osobiście jestem zdania, że za obecny stan stosunków z Żydami odpowiada przede wszystkim Izrael, którego nacjonalistyczna polityka uniemożliwia jakikolwiek kompromis. Nie zmienia to jednak faktu, że wyczyny Brauna pozwalają naszym wrogom na budowanie wizerunku Polski jako antysemickiego rezerwatu.

Po przyjęciu polskiej ustawy antydefamacyjnej w 2018 r., a więc czasie największego zaognienia stosunków z Izraelem, środowiska wspierające Brauna kolportowały tezę o możliwej restytucji mienia pożydowskiego w Polsce na mocy amerykańskiej ustawy 447 (tzw. JUST Act). Wywołało to obawy przed wywłaszczaniem ludzi. I choć środowiska żydowskie rzeczywiście dążyły do wypłaty odszkodowań przez Polskę, sprawa wkrótce przycichła. Dla braunistów był to jednak kolejny powód, aby grając na zadawnionych resentymentach, uderzyć w sojusz z Ameryką. Później zaś Grzegorz Braun i Roman Fritz podawali w wątpliwość istnienie komór gazowych w Auschwitz.

Tymczasem korzyści z zaogniania relacji polsko-żydowskich odnoszą głównie Niemcy, które za wszelką cenę chcą się podzielić z Polską odpowiedzialnością za Holokaust, a także Rosja, która bardzo dobitnie akcentuje antysemityzm Polaków, aby pozbawić nasz kraj sojuszniczego wsparcia w razie konfliktu. Kto bowiem chciałby pomagać „polskim nazistom" i „antysemitom"?

Warto mieć świadomość, że polityczna gra Brauna – jego odwoływanie się do często uzasadnionych emocji Polaków – to w istocie bardzo cyniczne i niebezpieczne igranie z ogniem.

HIPOKRYCI

Prawdziwym politycznym eldorado dla Brauna stała się jednak wojna na Ukrainie. Dopiero w jej trakcie jego partia zaczęła się liczyć na polskiej scenie politycznej. Głównym paliwem był tu strach przed rozlaniem się konfliktu na Polskę oraz niechęć do ukraińskich uchodźców, częściowo zawiniona przez nich samych i politykę rządu w Kijowie, a częściowo umiejętnie podsycana przez środowiska Konfederacji i Brauna.

To zjawisko było najbardziej widoczne w tradycyjnych bastionach PiS na ścianie wschodniej, gdzie pod wpływem okoliczności związanych z wojną na Ukrainie nastroje przesunęły się bardziej w prawo, co było jednym z najważniejszych czynników, które zdecydowały o odsunięciu PiS od władzy w 2023 r. Chodzi przede wszystkim o zalew ukraińskiego zboża, który wpędził w poważne tarapaty miejscowych rolników oraz o uchodźców zza wschodniej granicy. Słyszałem o mieście na Lubelszczyźnie, w którym jedyny zakład przemysłowy został kupiony przez Ukraińca. Po wybuchu wojny zaczął on zatrudniać w swojej firmie wyłącznie ukraińskich pracowników, skazując miejscowych Polaków na bezrobocie. Na takim gruncie rosły notowania Brauna. Wszystko to odbywało się ku uciesze Tuska, kosztem PiS oskarżanego o brak asertywności wobec Ukrainy i Unii Europejskiej.

W przypadku Brauna było to wyjątkowo cyniczne zagranie, bo przecież jeszcze w 2014 r. przekonywał, że trzeba wspierać Ukrainę na jej drodze do UE. „Niech do tego dojdzie, że Polacy wykupią pół Lwowa, połowę kamieniczek przy lwowskim rynku, a w tym samym czasie niech Ukraińcy tak się wzbogacą, żeby wykupić połowę kamieniczek w Przemyślu i ćwierć rynku krakowskiego" – mówił.

Teraz jednak Braun uważa, że od Ukrainy i wojny w tym kraju powinniśmy trzymać się jak najdalej. Bo – jak można wywnioskować – jeśli nie będziemy wchodzili w drogę Rosji, to Moskwa nas oszczędzi, a może nawet się zaprzyjaźnimy. W tym fałszywym ujęciu Rosja jest ostatnią zaporą przed zgnilizną zachodniego świata, która zabezpieczy nas przed nieuchronnym upadkiem cywilizacji. Co ciekawe, w taki sam sposób przedstawia siebie Putin. Trudno zrozumieć, że są w Polsce ludzie gotowi w to uwierzyć. Ale wiele wyjaśnia strach. Zarówno przed wojną, jak i przed upadkiem Zachodu – najazdem imigrantów i antykulturową rebelią, która wywołuje poczucie zagrożenia. Przy czym nikt ze zwolenników Brauna nie przyzna, że w tym wszystkim ma udział Moskwa, która przez lata po cichu stymulowała i sponsorowała najazd imigrantów na Europę. Dowodów nie trzeba zresztą szukać daleko – mamy przecież przy-

eprasa.pl a50cb05137

kład wojny hybrydowej na naszej granicy z Białorusią.

Stosunek braunistów do imigracji jest zresztą dość złożony. Bo choć protestują oni przeciwko Ukraińcom w Polsce i oskarżają rząd Morawieckiego o ściąganie cudzoziemców do pracy, to nie mają obiekcji przed przyjmowaniem imigrantów z Indii. Podczas niedawnego spotkania z delegacją indyjską w siedzibie Parlamentu Europejskiego w Brukseli poseł Fritz miał wyrazić nadzieję, że „Polska stanie się bardziej atrakcyjna dla indyjskich pracowników".

Jak to pogodzić z rzekomą obroną polskości przez braunistów? Niektórzy twierdzą, że Braun postanowił postawić na Indie, bo to ważny członek BRICS – antyzachodniego porozumienia kierowanego przez Chiny i Rosję. On sam odpowiada, że to po prostu „biznes". I pewnie coś jest na rzeczy. Bo wśród zwolenników Korony Polskiej nie brakuje przecież drobnych przedsiębiorców, którzy chętnie przygarnęliby tanich hinduskich pracowników.

Tak czy inaczej nagłe zamiłowanie braunistów do indyjskich imigrantów nieco nadwerężyło ich wiarygodność w oczach wyborców. Okazało się bowiem, że co innego mówią, a co innego robią. Ale dla wprawnego obserwatora nie jest to przecież nowością.

SZEROKIM FRONTEM

Gdyby przyjrzeć się działalności Brauna, znaleźć można wspólny mianownik. Jest nim strach. Strach o zdrowie, o swoją przyszłość, bezpieczeństwo, majątek, lęk przed wybuchem wojny. Tu nie ma żadnego programu, żadnego pomysłu na Polskę – są tylko emocje.

Wielokrotnie pisałem na tych łamach, że strach ogłupia ludzi, pozwala nimi sterować i manipulować. Podobną taktykę przyjął przecież Donald Tusk i w tym sensie wyborcy Brauna oraz Tuska są na swój sposób podobni.

Jedni i drudzy żyją w szczelnie zamkniętych bańkach i dlatego niewiele rozumieją z otaczającego ich świata. Nic więc dziwnego, że szukają autorytetu, który im wszystko wyjaśni i za którym mogą podążać. W tym sensie przypominają sektę. Z tego powodu trudno się też spodziewać, aby wpadka braunistów z hinduskimi imigrantami mogła im mocniej zaszkodzić. To tak samo jak z Tuskiem, który może sobie pozwolić na dowolną manipulację i brak konsekwencji, bo przecież jego wyborcy i tak go z nich nie rozliczą.

Jest też jeszcze jedno podobieństwo, zwykle rzadko dostrzegane – zarówno Braun, jak i Tusk (podobnie Mentzen i tzw. Nowa Lewica) są w istocie liberałami, tyle że zajmują dwa przeciwstawne skrzydła tego obozu. Nic zatem zaskakującego, że wspólnie tworzą jeden szeroki front antypisowski, choć posługujący się różnymi argumentami i sięgający po skrajnie różne grupy wyborców.

> Konfederacja Korony Polskiej uwielbia przedstawiać się jako „formacja antysystemowa". Tymczasem Braun i Tusk tworzą w istocie jeden szeroki front antypisowski, choć posługujący się różnymi argumentami i sięgający po skrajnie różne grupy wyborców

Braun i jego ludzie uwielbiają się przedstawiać jako „formacja antysystemowa". To chyba największa manipulacja, bo w istocie są częścią systemu – dość zakamuflowaną, ale istotną, narzędziem dywersji skierowanej przeciwko jego rzeczywistym przeciwnikom.

PRZEJAW CHOROBY

W tej chwili formacja Brauna może liczyć na ok. 10 proc. głosów. To ogromny skok od sierpnia 2025 r., gdy w badaniach preferencji partyjnych brauniści nie przekraczali zwykle 3 proc. poparcia. Wzrost Konfederacji Korony Polskiej odbywa się głównie kosztem PiS, w tym samym bowiem czasie – od sierpnia 2025 r. do dziś – Prawo i Sprawiedliwość straciło ok. 7 proc. zwolenników.

Do podobnej konkluzji doszedł niedawno Łukasz Pawłowski z pracowni OGB, który zauważył podobną prawidłowość, tyle że w przypadku sympatii do Karola Nawrockiego. Według jego badań prezydent stracił blisko 10 proc. ocen pozytywnych w dwóch dość istotnych grupach wyborców – na wsi (spadek z 61,7 proc. w grudniu do 53,3 proc. w lutym) oraz wśród osób o najniższych dochodach (w tej grupie poparcie obniżyło się z 60 proc. do 49,8 proc.). Może to prowadzić do wniosku, że ci sami ludzie w większości wsparli teraz formację Brauna.

Wspomniany wcześniej Marcin Pieńkowski widzi w tym następstwo rewolucji internetowej, która podczas pandemii wypromowała skrajne poglądy. Jego zdaniem z internetu zaczęli szerzej korzystać ludzie starsi i ubożsi, w tym wielu mieszkańców wsi, którzy pod wpływem zamieszczanych tam treści odwrócili się od PiS i wsparli Konfederację oraz Brauna. Podczas wyborów prezydenckich oddali głos na Nawrockiego, ale wkrótce potem znowu się od niego odwrócili.

Nie należy jednak sądzić, że wyborca Brauna to po prostu – posługując się językiem liberalnych mediów – człowiek starszy, najsłabiej wykształcony, niezamożny i ze wsi. Jak bowiem wynika z niedawno opublikowanego raportu CBOS, aż 22 proc. wyborców Korony Polskiej to ludzie o miesięcznych dochodach powyżej 9 tys. zł. Starszych również jest jak na lekarstwo – większość (72 proc.) to wyborcy w przedziale wiekowym 34–65 lat. Co więcej, aż 30 proc. elektoratu Brauna to osoby niepraktykujące i niewierzące. Mamy tu więc do czynienia nie tyle z zagubionymi tradycjonalistami, ile raczej z poważnym kryzysem zaufania i dezorientacją społeczeństwa. W tym sensie rosnąca popularność Brauna jest przejawem choroby, a nie powrotu do zdrowia.

eprasa.pl a50cb05137

Fałszywe amazonki Tuska

W Koalicji Obywatelskiej działa kobieca kompania szturmowa, stworzona na wzór jednostki wojskowej. Jej cel – zniszczyć wroga

STANISŁAW JANECKI

Miał to wymyślić Igor Ostachowicz, zastępczy mózg Donalda Tuska, nazywany przez niektórych oryginalnym mózgiem premiera. Tak przynajmniej twierdzą osoby z otoczenia szefa rządu i przewodniczącego Koalicji Obywatelskiej. Miał to być szach-mat wobec Prawa i Sprawiedliwości, którego politycy mogą nie lubić premiera, ale przecież nie wystąpią otwarcie przeciwko kobietom. Zwłaszcza że prezes Jarosław Kaczyński znany jest ze swojej trochę staroświeckiej, wzorowej grzeczności i kurtuazji wobec kobiet.

Zaczęła się więc jazda. Sprzyjające było to, że żadnej z wytypowanych do tego zadania kobiet nie trzeba było specjalnie namawiać. Większość zwietrzyła dla siebie szansę. Dlaczego? Bo mogą się wykazać większym zaangażowaniem od partyjnych koleżanek. I zasłużyć na lepsze traktowanie, a nawet awanse i nagrody.

W KO stworzono coś w rodzaju kobiecej kompanii szturmowej, nazywanej „amazonkami Tuska". Tylko że to fałszywe amazonki. Dlaczego? Bo dostały zadanie, aby były maksymalnie agresywne, a nawet chamskie. Ich ataki i zaczepki mogą być prostackie, byle irytowały. I mogą być nieprawdziwe bądź zmanipulowane, jeśli tylko ich wpisy w mediach społecznościowych bądź wypowiedzi będą uderzały w Prawo i Sprawiedliwość, w rządy Beaty Szydło i Mateusza Morawieckiego, w każdego w PiS, kto wyróżnia się w debacie publicznej. Mogą też atakować Konfederację i Koronę Brauna, ale powinny wiedzieć, że to raczej zbędne rozpraszanie sił. „Amazonki" skrzyknięto do atakowania wroga numer jeden i najpoważniejszego przeciwnika, a tym jest Prawo i Sprawiedliwość. A z Konfederacją nie wiadomo. Nie jest wykluczone, że być może po wyborach parlamentarnych w 2027 r. będzie potrzebna i pomocna.

Kobiety wytypowane do kompanii szturmowej nie mogą zostawić „pisowcom" ani chwili wytchnienia. Kanonada obelg, epitetów, oskarżeń, insynuacji, a także straszenia i drwin ma trwać bez przerwy. Wymyślono, że jeśli będą to robić kobiety, przecież znacznie łagodniej traktowane przez oponentów, to może niektórym zadrży język, jeśli zechcą im mocno odpowiedzieć. I dzięki temu parasolowi z wyidealizowanej kobiecości tworzone przez nie treści przenikną do społecznego obiegu i się utrwalą.

W PIERWSZYM SZEREGU

Tworząc kobiecą kompanię szturmową, zwaną „amazonkami Tuska", w pierwszym rzędzie postawiono na posłanki, które zasiadają w Sejmie po raz pierwszy, więc można używać argumentu, iż są radykalne z powodu braku doświadczenia i codziennej znajomości z politycznymi przeciwnikami, które tępią ostry język i brutalne zachowanie. Wybrano te, które w przeszłości przegrywały różne wybory, żeby miały powód i motywację do odgryzania się. Widzimy wśród nich też te, które nie są w Sejmie nowicjuszkami, ale albo wcześniej przegrywały, albo nie osiągnęły tego, co zamierzały. Chciano wykorzystać ich złość lub kompleksy

eprasa.pl a50cb05137

i ukierunkować je przeciw politycznym rywalom. Zasugerowano też, że jeśli będą dostatecznie ostre, chamskie i zaczepne, mogą liczyć na dobre miejsca na listach KO na wybory parlamentarne jesienią 2027 r., a także na większą pomoc w kampanii, w tym na większe pieniądze.

Macherzy od Donalda Tuska wykorzystują to, że debiutujące w Sejmie posłanki mało wiedzą o bezwzględności swego szefa albo po prostu w nią nie wierzą. I zanim staną się sceptyczne bądź nieufne, zrobią swoje. Nawet struktura tej kompanii szturmowej została pomyślana tak jak w wojsku – stworzono pododdział dowodzenia, pluton zasadniczego rodzaju wojsk, czyli liniowy, oraz pluton wsparcia. Pododdział dowodzenia tworzą: Maria Janyska, Dorota Łoboda, Katarzyna Osos, Karolina Pawliczak, Elżbieta Polak, Agnieszka Pomaska i Monika Wielichowska. Najwyżej w hierarchii stoją Pawliczak, Polak i Wielichowska.

Karolina Pawliczak to kobieta po partyjnych przejściach. Jest posłanką po raz drugi, wcześniej była wiceprezydentem Kalisza. Należała do SLD, została nawet wiceprzewodniczącą zarządu krajowego partii. Była też szefową SDPL w Kaliszu, czterokrotną radną tego miasta. W 2004 r. nie dostała się do Parlamentu Europejskiego, a w 2007 i 2011 r. – do Sejmu. W 2023 r. przeszła z Lewicy do KO. Od początku 2026 r. regularnie oskarżała polityków Prawa i Sprawiedliwości o „działanie skrajnie antypolskie" i „zdradę kraju". W maju 2024 r. ostro zaatakowała swoich byłych koalicjantów, nazywając Partię Razem „koniem trojańskim PiS". W czerwcu 2025 r. zasugerowała Adrianowi Zandbergowi, by ten „od razu zapisał się do PiS". W styczniu 2026 r. w studiu Marcelina Zawisza zapytała: „Pani mi grozi?" – po sugestii Pawliczak dotyczącej odpowiedzialności politycznej za rozbijanie koalicji. Podczas wystąpienia sejmowego w listopadzie 2024 r. nazwała kierownictwo PiS „centrum zła", zarzucając tej partii systemowe złodziejstwo i demoralizację państwa.

W pododdziale dowodzenia coraz mocniejsza jest Elżbieta Polak, pierwszy raz w Sejmie, była marszałek województwa lubuskiego i burmistrz Małomic, radna powiatu żagańskiego. W 2010 r. przegrała walkę o prezydenturę Zielonej Góry, w 2019 r. nie dostała się do europarlamentu. Podczas katastrofy ekologicznej na Odrze jako marszałek województwa lubuskiego ogłosiła, że niemiecki minister Axel Vogel poinformował ją o „ogromnych ilościach rtęci" w rzece. Gdy informacja ta okazała się fałszywa, nic sobie nie robiła z tego, że siała dezinformację i panikę. Prowadziła ostre spory sądowe i medialne z „Gazetą Lubuską" w związku z tekstami dotyczącymi mobbingu w gorzowskim WORD. Aż Rzecznik Praw Obywatelskich stwierdził, że władze powinny się powstrzymać od tłumienia krytyki.

Kimś w rodzaju chorążego sztabowego jest Monika Wielichowska – w Sejmie po raz piąty, obecnie jego wicemarszałek, była radna powiatu kłodzkiego, starosta kłodzki. Jako wicemarszałek Sejmu wielokrotnie wchodziła w ostre spory z posłami PiS. Krzyczała na posłów, pytając m.in.: „Chce pan jeszcze ze mną dyskutować?". Nazwała głosowanie przeciwko programowi SAFE działaniem „skrajnie antypolskim" i „zdradą kraju". Po powodzi w 2024 r. przypomniano jej wcześniejsze poczynania, gdy protestowała przeciwko budowie zbiorników retencyjnych, co było skrajnie nieodpowiedzialne w obliczu katastrofy. Publicznie zaatakowała kandydata na prezydenta Karola Nawrockiego, zarzucając mu „szerzenie dezinformacji i puszczanie oka do antyszczepionkowców" oraz mylenie pojęć medycznych z markami aut. W przeszłości zasłynęła m.in. zawieszaniem w Sejmie bombek choinkowych z napisem „Konstytucja", co zostało wyśmiane jako zachowanie infantylne.

PLUTON LINIOWY

Pluton zasadniczego rodzaju wojsk, czyli liniowy, w kompanii szturmowej fałszywych amazonek Tuska tworzą: Sylwia Bielawska, Joanna Frydrych, Iwona Karolewska, Katarzyna Kierzek-Koperska, Aleksandra Kot, Iwona Krawczyk, Katarzyna Królak, Bożena Lisowska, Alicja Łepkowska-Gołaś, Jolanta Niezgodzka, Weronika Smarduch, Anna Sobolak, Aleksandra Uznańska-Wiśniewska i Anna Wojciechowska.

Zaciekłością, a także popadaniem w groteskę wyróżnia się Sylwia Bielawska – po raz pierwszy w Sejmie, była wiceprezydent Wałbrzycha. W obecnej kadencji zasłynęła wypowiedzią

Fot. Andrzej Wiktor x3, Adrian Grycuk/wikipedia x4, Kancelaria Sejmu x2, Mateusz Gieryga/wikipedia, Klub Lewicy, European Union 2024 – Source: EP x3, Liudmyla Skwarczyńska

eprasa.pl a50cb05137

z 22 marca 2025 r.: „W zasadzie dzisiejsza debata tak naprawdę dotyczy paranoi i lęku, które mają przedstawiciele Prawa i Sprawiedliwości, a zwłaszcza Konfederacji, przed obcokrajowcami. Czego wy się tak naprawdę boicie? Boicie się tego, że ktoś, kto pochodzi z innego kraju, ma inny kolor skóry, mówi z innym akcentem, nauczy was np., jak używa się curry albo kardamonu? Tego się boicie? Wasze uprzedzenia do obcokrajowców oparte są na prostych stereotypach. Dla was obcy to jest ten, kto nie odróżnia kopytek od pierogów".

Sylwii Bielawskiej depcze po piętach Katarzyna Kierzek-Koperska, pierwszy raz w Sejmie, była wiceprezydent Poznania. W 2015 r. z listy Nowoczesnej nie dostała się do Senatu. Od początku 2026 r. wielokrotnie używała w mediach społecznościowych hasztagu #ZdrajcyPiS. Najgłośniejsza sprawa z udziałem Kierzek-Koperskiej dotyczyła jej odwołania w 2020 r. z funkcji wiceprezydenta Poznania. Zarzuciła wtedy prezydentowi Jackowi Jaśkowiakowi (również z KO), że „nie lubi kobiet" i nie potrafi z nimi współpracować. W sierpniu 2025 r. domagała się ukarania prezesa PiS za jego słowa o Obywatelach RP, co było próbą cenzurowania debaty publicznej. W swoich mediach społecznościowych regularnie publikuje nagrania, w których używa bardzo mocnych sformułowań, twierdząc m.in., że „PiS was okłamał i kłamie nadal".

O palmę pierwszeństwa wśród fałszywych amazonek w plutonie liniowym walczą Anna Sobolak z Aleksandrą Uznańską-Wiśniewską. Sobolak jest w Sejmie po raz pierwszy. W 2014 r. nie dostała się do rady powiatu wrocławskiego, w 2019 r. – do Sejmu. W sierpniu 2024 r., komentując piosenkę „Je...ać PiS" podczas Campus Polska, powiedziała: „Och jak dobrze słyszeć kwik prawicy po zastosowaniu »J...ać PiS«". Na początku 2026 r. wywołała oburzenie, komentując doniesienia o pracy swojego męża słowami: „Mój mąż ma ugruntowaną pozycję [...], przepraszam, czy on ma być cieciem na parkingu?". Słowa te zostały uznane za pogardliwe wobec osób wykonujących prace fizyczne. Chodziło o aferę śmieciową we Wrocławiu, w którą zamieszany miał być jej mąż. Używała sformułowań takich jak „prezydent jest podnóżkiem Kaczyńskiego" oraz regularnie nazywała PiS „zorganizowaną grupą przestępczą".

Aleksandra Uznańska-Wiśniewska jest chyba pierwszą celebrytką wśród fałszywych amazonek. Przede wszystkim z powodu karykaturalnego zaangażowania w lot swego męża, Sławosza Uznańskiego-Wiśniewskiego po ziemskiej orbicie. Zachowywała się tak – szczególnie po wylądowaniu męża na Ziemi – jakby to ona była najważniejsza w tym przedsięwzięciu. Słynie też z trywialnych wystąpień sejmowych, wygłaszanych tonem wielkiego odkrywcy. W Sejmie zasiada po raz pierwszy. W 2019 r. pracowała w sztabie Janiny Ochojskiej, była pełnomocniczką prezydent Łodzi Hanny Zdanowskiej ds. zaangażowania obywatelskiego. We wrześniu 2025 r. skrytykowała poziom opanowania języka angielskiego przez Karola Nawrockiego, co spotkało się z ostrą ripostą ze strony polityków prawicy. Paweł Jabłoński (PiS) wypomniał jej wówczas, że sama popełnia błędy w języku polskim. A gdy chodzi o jej angielski, to powszechny śmiech wywołuje jej karykaturalna wymowa – bardziej angielska niż u Anglików. W czerwcu 2025 r. opublikowała wpis, w którym ostrzegała przed „demonami przeszłości": nacjonalizmem, szowinizmem i homofobią. Jej stwierdzenie, że Polska może się stoczyć w „mafijną satrapię", zostało uznane za głupią obelgę. W lipcu 2025 r. w emocjonalnym wpisie na platformie X stwierdziła, że „faszyzm już tu jest", oskarżając środowiska prawicowe o sianie dezinformacji i nienawiści.

PLUTON WSPARCIA

W kompanii szturmowej fałszywych amazonek Tuska pluton wsparcia tworzą eurodeputowane: Magdalena Adamowicz, Kamila Gasiuk-Pihowicz, Mirosława Nykiel i Marta Wcisło.

Gasiuk-Pihowicz zasłynęła histerycznym, wpadającym w groteskę tonem swych wystąpień. W 2024 r. byłego ministra sprawiedliwości nazwała „Don Ziobro" i insynuowała, że stał na czele „mafijnej rodziny". 7 czerwca 2024 r. w kontekście zatrzymania i konwojowania w kajdankach polskich żołnierzy na granicy polsko-białoruskiej stwierdziła: „To mi śmierdzi pisowską prowokacją". Wywołała skrajne zdziwienie, gdy w czerwcu 2022 r. mówiła o Władimi-

eprasa.pl a50cb05137

rze Putinie: „Musimy sobie zdać sprawę z tego, że Putin to jest człowiek, który wyszedł z bardzo ciężkiego środowiska. To jest człowiek, który wychował się na ulicy, żył z dziećmi bezdomnymi, w Rosji, tuż po II wojnie światowej. Tam była prosta decyzja – albo przeżyjesz ty, albo przeżyją oni. Tam nie było przestrzeni na rozmowę, na dialog. Z takiego środowiska trafił w ręce służb specjalnych. Myślę, że tam twarde życie było jeszcze trudniejsze". Powszechnie uznano to za usprawiedliwienie satrapy mającego na koncie zbrodnie przeciw ludzkości. Potem tłumaczyła, że jej słowa zmanipulowano, bo mówiła, iż „Putin ugnie się tylko przed jednością UE i siłą, a dialog traktuje jako słabość". W 2025 r. w Parlamencie Europejskim atakowała eurodeputowanych Konfederacji, oskarżając ich o powielanie rosyjskiej propagandy i atakowanie polskiego wojska. W styczniu 2026 r. w obrzydliwy sposób zaatakowała posła Prawa i Sprawiedliwości Dariusza Mateckiego, przekręcając jego nazwisko i nazywając go „Szmateckim". Gdy w 2018 r. była przewodniczącą Klubu Poselskiego Nowoczesnej, odmówiła wyrobienia klubowych przepustek do Sejmu dla asystentów Ryszarda Petru, którego wcześniej obaliła (razem z Katarzyną Lubnauer) jako szefa ugrupowania. Twierdziła, że liczba przepustek pozostawała ograniczona, co było nieprawdą, bo nie ma limitów. Niektórzy klubowi koledzy oskarżyli ją o stosowanie „bolszewickich metod".

Wyjątkową postacią w plutonie wsparcia jest eurodeputowana Marta Wcisło. Jej wpisy w mediach społecznościowych i tzw. rolki najczęściej wzbudzają śmiech, a także zażenowanie, choć chce ona uchodzić za osobę mającą najlepsze intencje i służącą wszystkim pomocą. W maju 2024 r. w rozmowie z Robertem Mazurkiem w RMF FM stwierdziła: „Nie żałuję, że głosowałam przeciwko murowi na granicy" (polsko-białoruskiej). We wrześniu 2024 r. oskarżyła niektórych polityków PiS i Konfederacji o to, że „mówią językiem Kremla". W 2024 r. w kampanii do Parlamentu Europejskiego stwierdziła, że „kandydaci PiS kandydują do Parlamentu Europejskiego po to, żeby ten parlament od środka rozwalać". W listopadzie 2024 r. w europarlamencie oskarżyła rząd PiS o doprowadzenie do wysokich cen energii, co była premier Beata Szydło skomentowała słowami, że Wcisło „nie przestała wygadywać bzdur". W październiku 2025 r. ostro skrytykowała minister Katarzynę Pełczyńską-Nałęcz, mówiąc: „wstydziłam się za nią w Parlamencie Europejskim". W czerwcu 2024 r. wyszła ze studia telewizyjnego, mówiąc: „Nie będę brała w tym udziału". Stało się tak po sprzeczce z politykami opozycji.

> Kobiety wytypowane do kompanii szturmowej nie mogą zostawić „pisowcom" ani chwili wytchnienia. Kanonada obelg, epitetów, oskarżeń, insynuacji, a także straszenia i drwin ma trwać bez przerwy. Wymyślono, że jeśli będą to robić kobiety, przecież znacznie łagodniej traktowane przez oponentów, to może niektórym zadrży język, jeśli zechcą im mocno odpowiedzieć

* * *

Funkcjonowanie kompanii szturmowej fałszywych amazonek Tuska wciąż jest udoskonalane, bo zostało uznane za skuteczne. Dlatego ma dojść do rozszerzenia jego składu. Kandydatki przechodzą intensywne szkolenie, przede wszystkim z zakresu wystąpień w mediach oraz wpisów, głównie na platformie X oraz Facebooku. Na razie jeszcze aktywne w kompanii posłanki nie mają stopni wojskowych, ale wszystko przed nimi.

eprasa.pl a50cb05137

Kto rekomunizuje Polskę

Rozwój ruchów neonazistowskich w Niemczech budzi powszechne oburzenie i słusznie uznawany jest za zagrożenie. Tymczasem analogiczne zjawiska związane z odradzaniem się ideologii komunistycznej w Polsce bywają traktowane znacznie łagodniej, choć stanowią podobne niebezpieczeństwo dla naszej wolności

Z dr. hab. Karolem Polejowskim, zastępcą prezesa Instytutu Pamięci Narodowej, kierującym obecnie tą instytucją, rozmawiał Stanisław Płużański

Jak oceniać plany upamiętnienia w Zamościu?

Karol Polejowski: Mam nadzieję, że jest to jedynie próba, z której władze Zamościa ostatecznie się wycofają. Uważam ten pomysł za kuriozalny i haniebny. I przede wszystkim – nielegalny. Polskie prawo zakazuje propagowania ideologii komunistycznej oraz upamiętniania związanych z nią osób.

Trudno patrzeć na Różę Luksemburg inaczej niż jako na przedstawicielkę i propagatorkę ideologii komunistycznej. Przedstawianie jej wyłącznie przez pryzmat wybranych wątków biografii jest tak naprawdę fałszowaniem jej życiorysu. Róża Luksemburg była programowo przeciwna polskiej niepodległości i suwerenności, pozostawała w ostrym konflikcie z działaczami lewicy nie-

Róża Luksemburg

Fot. Mikołaj Bujak/IPN, domena publiczna

eprasa.pl.a50cb05137

podległościowej, takimi jak Józef Piłsudski czy Ignacy Daszyński.

Czasem wskazuje się na jej krytyczny stosunek do bolszewików i bolszewickiego puczu, wynikał on jednak ze sporów wewnątrz ruchu komunistycznego. Cel pozostawał wspólny: rewolucja światowa i budowa dyktatury proletariatu kosztem niepodległości Polski. Z czasem zaakceptowała działania bolszewików w Rosji. Z perspektywy prawnej, historycznej i moralnej inicjatywa jej upamiętnienia nie da się obronić.

Jakie działania można podjąć, gdy samorząd ignoruje opinię Instytutu Pamięci Narodowej w tej sprawie?

Należy poważnie traktować obowiązujący porządek prawny. Jeśli ustawa wprost zakazuje promowania komunizmu, tak jak wszystkich ideologii totalitarnych oraz osób i związanych z nimi wydarzeń, nie ma tu pola do swobodnej interpretacji. W mojej ocenie realizacja takiego upamiętnienia oznaczałaby łamanie prawa. Spodziewam się w pierwszej kolejności protestów społecznych, a także złożenia zawiadomienia do prokuratury o możliwości popełnienia przestępstwa przez władze miasta. Nie ukrywam, że będę rozważał taki krok.

Czy mamy dziś do czynienia z próbą rekomunizacji przestrzeni publicznej i rehabilitacji postaci związanych z ruchem komunistycznym w Polsce?

Rehabilitowanie komunizmu i związanych z nim osób jest faktem. W opublikowanym oświadczeniu skierowanym do władz Zamościa wskazaliśmy wprost, że tego typu działania wpisują się w szerszy proces przywracania pozytywnej narracji o systemie komunistycznym. Dotyczy to zarówno upamiętnień, jak i debaty historycznej.

Powracają argumenty znane z okresu PRL, zwłaszcza te wymierzone w żołnierzy podziemia niepodległościowego. Nie jest to dziełem przypadku. Równolegle w Sejmie procedowana jest ustawa o wypłatach odszkodowań rzekomym ofiarom żołnierzy wyklętych. Te zjawiska tworzą obraz, który określam mianem neokomunizmu.

Warto zauważyć, że rozwój ruchów neonazistowskich w Niemczech budzi powszechne oburzenie i słusznie uznawany jest za zagrożenie. Tymczasem analogiczne zjawiska związane z odradzaniem się ideologii komunistycznej w Polsce bywają traktowane znacznie łagodniej, choć stanowią podobne niebezpieczeństwo dla naszej wolności.

Poza sprawą Róży Luksemburg pojawiają się też inicjatywy upamiętniające króla Prus Fryderyka Wielkiego, jak ta z Kostrzyna.

To odrębna, choć również niepokojąca kwestia. Oprócz zjawiska, które określam jako rekomunizację, obserwujemy proces germanizowania lub regermanizowania przestrzeni publicznej, często na poziomie samorządowym. Związanych z tym inicjatyw jest niestety bardzo dużo. Przykład stanowi gloryfikowanie Fryderyka II Hohenzollerna, współodpowiedzialnego za rozbiory Polski. W różnych regionach pojawiają się inicjatywy odwołujące się do pruskiego czy niemieckiego dziedzictwa w sposób bezkrytyczny, niekiedy z pominięciem szerszego kontekstu historycznego. Oddział Muzeum Warmii i Mazur w Morągu przemianowano na Muzeum Prus Górnych. Wszystko to odbywa się przy całkowitej akceptacji polskich instytucji państwowych – poza Instytutem Pamięci Narodowej, który oficjalnie protestuje przeciwko temu.

Przypadek Róży Luksemburg jest szczególny, ponieważ łączy oba te zjawiska – rekomunizację i regermanizację. W Niemczech jest ona przedstawiana jako niemiecka działaczka komunistyczna, była obywatelką Rzeszy. Co więcej, moim zdaniem ten proces z uznaniem przyjmuje się na Kremlu, gdzie postacie takie jak Stalin wciąż cieszą się estymą. Jeżeli intencją władz Zamościa było poprawienie nastrojów na Kremlu, to można powiedzieć, że ten cel został osiągnięty.

W Sejmie procedowana jest ustawa o wypłatach odszkodowań rzekomym ofiarom żołnierzy wyklętych. Te zjawiska tworzą obraz, który określam mianem neokomunizmu

Wspomniał pan o poselskim projekcie ustawy o zadośćuczynieniu ofiarom i rodzinom ofiar przestępstw popełnionych na tle narodowościowym, religijnym lub rasowym w latach 1945–1946. Czy treść tego projektu w jakimkolwiek stopniu broni się merytorycznie?

W żadnym wypadku, jest to inicjatywa o charakterze politycznym. Proszę zwrócić uwagę na jej wybiórczość. Projekt obejmuje bardzo wąski przedział czasowy, a jednocześnie otwiera szeroką drogę do dochodzenia odszkodowań przez rzekome ofiary podziemia niepodległościowego. Tymczasem mówimy o żołnierzach, którzy działając w imieniu państwa polskiego, ścigali kolaborantów i osoby współpracujące z aparatem narzuconej władzy. Tak należy rozumieć kontekst ich działań.

Uzasadnienie projektu koncentruje się w dużej mierze na postaci Romualda Rajsa „Burego", co ma na celu ucięcie wszelkich dyskusji. Tymczasem sprawa została przedstawiona w sposób całkowicie jednostronny. Jego działalność była przecież przedmiotem badań historycznych. W uzasadnieniu projektu pomija się ustalenia zawarte m.in. w monografii autorstwa Michała Ostapiuka, które nie wpisują się w przyjętą z góry tezę. Ignoruje się także uniewinniający wyrok z 1995 r., w którym sąd zrehabilitował Romualda Rajsa „Burego". Dlatego uważam, że jest to zły projekt, uderzający w pamięć o tych, którzy walczyli o niepodległość Polski.

eprasa.pl a50cb05137

Podobną narrację można było zauważyć przy okazji Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych. Lewica kierowana przez Włodzimierza Czarzastego 1 marca opublikowała wpis określający samo pojęcie „żołnierzy wyklętych" jako historyczną manipulację, próbującą wrzucić do jednego worka bohaterów, takich jak rtm. Witold Pilecki, i zbrodniarzy, jak „Bury" czy „Ogień". To brzmi jak próba reinterpretacji historii.

Ten wpis jest dokładnym powtórzeniem tez znanych z propagandy okresu PRL. Wystarczy sięgnąć do publikacji z lat 60. XX w., takich jak „Front bez okopów" –jeden z jej z autorów, Jan Babczenko, był funkcjonariuszem UB i osobiście walczył z żołnierzami wyklętymi. W tej książce oddziały podziemia niepodległościowego przedstawiano w analogiczny sposób. Nie mamy więc do czynienia z nową interpretacją, lecz z powrotem do PRL-owskiej narracji. To element szerszego procesu, wspomnianej przeze mnie rekomunizacji debaty historycznej.

Z czego wynika chęć wybielania komunistycznych życiorysów przy jednoczesnej krytyce żołnierzy wyklętych?

Celem jest zatarcie granicy między dobrem a złem oraz przedstawienie wszystkich stron jako równorzędnych uczestników sporu ideowego. Nie neguję, że komuniści kierowali się własnymi przekonaniami, jednak były to idee sprzeczne z polską tradycją niepodległościową. Osoby, które przyszły do Polski razem z Armią Czerwoną i budowały system komunistyczny, działały w interesie państwa sowieckiego, a nie suwerennej Rzeczypospolitej. Ci ludzie mieli na rękach krew polskich patriotów, mordowali tych, którzy nie zgadzali się z tą zbrodniczą ideologią. Próba ich wybielania prowadzi do relatywizowania odpowiedzialności za represje i zbrodnie popełnione w czasie komunizmu. Nie możemy przyjmować narracji, która sprowadza tamten okres do „sporu dwóch wizji Polski". Ci, którzy dzisiaj próbują bronić zbrodniarzy, akceptują przemoc i terror stosowany wobec przeciwników tego systemu.

W ostatnich dniach premierę miała książka, która ukazała się nakładem wydawnictwa Agora – „Stygmat. Helena Wolińska i Włodzimierz Brus. Biografia".

Słyszałem o tej publikacji. Jej premierę tuż przed 1 marca, a dzień po rocznicy zamordowania gen. Augusta Emila Fieldorfa „Nila", trudno uznać za przypadkową. Z relacji medialnych wynika, że autorka próbuje ukazać złożoność losów prokurator Heleny Wolińskiej. Nie można jednak abstrahować od faktu, że była ona aktywną funkcjonariuszką systemu komunistycznego. Wolińska w niezwykle krwawy sposób zaznaczyła się w dziejach Polski, m.in. przyczyniła się do skazania na śmierć gen. Augusta Emila Fieldorfa.

Trudno mówić wyłącznie o „trudnych wyborach życiowych", gdy chodzi o osobę odpowiedzialną za decyzje skutkujące śmiercią polskich patriotów. Gen. „Nil" nie jest postacią budzącą wątpliwości wobec swej drogi życiowej i zasług dla państwa polskiego. Podczas rocznicy jego stracenia w Muzeum Żołnierzy Wyklętych mówiłem, że w chwili wykonania wyroku w więzieniu mokotowskim symbolicznie zawisł majestat wolnej Rzeczypospolitej. Ci, którzy doprowadzili do tej śmierci, ponoszą za nią historyczną odpowiedzialność.

Czy widzi pan zagrożenie, że te działania mogą doprowadzić do relatywizowania postaw, a nawet odwrócenia proporcji w ocenie między bohaterami i ofiarami systemu komunistycznego a zbrodniarzami?

Jeśli spojrzymy na to zjawisko w dłuższej perspektywie, widać kilka niepokojących elementów. Po pierwsze, nie są to działania przypadkowe. Po drugie, brakuje zdecydowanej reakcji państwa na próby rehabilitowania komunizmu i nadawania mu nowej, łagodniejszej formy. Równocześnie obserwujemy zmiany w nauczaniu historii, w których ogranicza się obecność postaci uznawanych dotąd za bohaterów walki o niepodległość. Uderza się też w środowiska i instytucje dbające o pamięć historyczną, usuwając niewygodne treści z wystaw w muzeach. Instytut Pamięci Narodowej jest regularnie atakowany zarówno poprzez ograniczenia finansowe, jak i krytykę medialną. Chcę jednak podkreślić, że IPN będzie konsekwentnie realizował swoją ustawową misję, niezależnie od okoliczności.

Jak wobec takiej sytuacji można reagować na próby reinterpretowania historii?

IPN pozostaje instytucją, która w sposób systematyczny broni pamięci o naszych bohaterach. Nie zgadzamy się na podważanie ich zasług czy relatywizowanie postaw. Kluczowe jest także wsparcie, jakie otrzymujemy od różnych środowisk społecznych: fundacji, stowarzyszeń i nauczycieli. Współpracujemy z dużą grupą pedagogów zaangażowanych w edukację historyczną. Naszym wspólnym celem jest dotarcie do młodego pokolenia i budowanie świadomości historycznej opartej na faktach. To młodzież będzie później nieść ideały wolnej, niepodległej Rzeczypospolitej. Realizujemy ogólnopolskie projekty edukacyjne, takie jak „Silni Polską", w których uczestniczą tysiące uczniów z całego kraju. Będziemy je kontynuować i rozwijać.

Czy można powiedzieć, że spór o pamięć o żołnierzach wyklętych jest elementem szerszej debaty o tożsamości narodowej?

To pytanie o fundamenty naszej wspólnoty. Jeśli budujemy świadomość narodową, musimy sobie odpowiedzieć, jakie wzorce uznajemy za istotne. Żołnierze podziemia niepodległościowego wywodzili się z Wojska Polskiego, wielu z nich rozpoczęło walkę we wrześniu 1939 r. i kontynuowało ją po wojnie. Dla nich najwyższą wartością była niepodległa ojczyzna.

Dzisiejsza debata dotyczy więc nie tylko interpretacji wydarzeń historycznych, lecz także tego, na jakich wartościach chcemy opierać współczesną tożsamość. Czy akcentujemy postawy służby i poświęcenia, czy też relatywizujemy odpowiedzialność za budowę systemu represji? W moim przekonaniu jest to spór o kształt pamięci historycznej, a w konsekwencji o świadomość przyszłych pokoleń.

Reklama | 031125/F/ZAL

eprasa.pl a50cb05137

FUNDACJA STEFCZYKA

Współczesna spółdzielczość w praktyce

Spółdzielczość to przyszłość budowana wspólnie, każdego dnia.

Wspieramy polski sport, kulturę, edukację i lokalne działania społeczne, bo siła wspólnoty tkwi w tym, jak potrafimy dzielić się dobrem.

www.fundacjastefczyka.pl

eprasa.pl a50cb05137

Uciekinier z Titaniców

Leszek Miller jest notorycznym uciekinierem. Z PZPR, z SLD, z socjalizmu i neoliberalizmu, a teraz być może nawet z Unii Europejskiej. To zbieg z politycznych Titaniców, światów, które zniknęły lub zaraz zatoną. Teraz orbituje blisko prawicy

MACIEJ WALASZCZYK

Absolwent Wyższej Szkoły Nauk Społecznych przy KC PZPR, a potem pracownik Komitetu Centralnego. W końcu lat 80. ub.w. został jednym z jego sekretarzy i współpracowników Mieczysława Rakowskiego. Uczestniczył w obradach okrągłego stołu, a potem został sekretarzem generalnym SdRP – partii założonej za 1,2 mln dol. pożyczonych od KPZR, w czym brał aktywny udział. Był ministrem pracy, szefem MSWiA, w końcu liderem potężnego SLD, które w 2001 r. tryumfalnie zdobyło władzę, a jego wyniosło na stanowisko premiera. Za swój największy sukces uważał wprowadzenie Polski do UE.

Ogólnie człowiek z jądra systemu, doświadczony gracz. Choć nie potrafił w porę uciec od konsekwencji afery Rywina, w którą wplątał się wraz ze swoim środowiskiem. Dziś jest bohaterem konfederackiego komentariatu, z entuzjazmem wychwytującego jego komentarze, ironiczne bon moty wycelowane w liberalny establishment i lewicę. Miller krytykuje wszystko, w czym sam uczestniczył lub czemu nie stawiał oporu. Dziś za nacjonalistyczny zwrot, antyliberalny lans płaci się niewygórowaną cenę. Przeciwnie – przynosi to spore profity, a przyjmowanie politycznie niepoprawnej pozy dodaje uroku, szczególnie takim postaciom jak on. Jest jak czuła chorągiewka, znakomicie wskazująca, skąd wieją nowe wiatry, jak czujnik rejestrujący siłę, w pobliżu której warto stanąć jak najbliżej. A że to jest kompletnie niespójne? Gdy w latach 90. ub.w. spytano go, czy gdy brał ślub kościelny, ktoś w PZPR miał o to do niego pretensje, odpowiedział: „Wtedy nie byłem jeszcze w partii".

Te wszystkie manewry i wolty świadczą o tym, że Leszek Miller to notoryczny uciekinier – z PZPR i SLD, z socjalizmu, z neoliberalizmu, a teraz być może nawet z UE. Jest zbiegiem z Titaniców – światów, które zniknęły lub zaraz zatoną.

WYCIECZKA DO „CIEMNOGRODU"?

Były premier ujawnia swoje opinie w mediach społecznościowych i podczas licznych wizyt w mediach. To, co pisze i udostępnia, jest bardzo interesujące. Zaczęło się od fali informacji o kryminalnych ekscesach z udziałem imigrantów i bezradności zachodniej policji. Miller popierał jednak pakt migracyjny, sprowadzanie imigrantów do pracy, mówił, że każdy z nich może się stać Polakiem. Ale potem puszczał oko do publiki, wyrażając oburzenie z powodu m.in. pobłażania przestępcom będącym w Europie tyko gośćmi. Nagłaśniał m.in. pobicia, których dopuszczali się Ukraińcy w Polsce. Po śmierci Brigitte Bardot oddał jej hołd jako tej, która będąc symbolem przemian obyczajowych w latach 60., wraz z Orianą Fallaci proroczo przestrzegała przed skutkami imigracji z krajów muzułmańskich i „erozją europejskiej tożsamości kulturowej". A potem m.in. wziął w obronę Martę Nawrocką, brutalnie atakowaną po wywiadzie, którego udzieliła TVN – a dokładnie to, co mówiła na temat swej roli jako żony i matki. Miller osta-

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl a50cb05137

tecznie stanął w obronie kobiet przed współczesnymi feministkami, które przecież lewica tak skwapliwie hodowała.

Wiatry zmian wieją niemiłosiernie. Ćwierć wieku temu nawet prawicę spod znaku AWS uważał za „ciemnogród", który, aby na pełnych prawach wejść na zachodnie salony (pełnych feministek, zwolenników imigracji), powinien przejść „okres wychowawczy". „Prawicowy skansen do Europy nie pasuje" – grzmiał w 1999 r. Teraz niedawna jeszcze przynależność do Grupy Postępowego Sojuszu Socjalistów i Demokratów w Parlamencie Europejskim nie przeszkadza mu w złośliwym komentowaniu wszelkich postępowych ekscesów. A to pochwali Arynę Sabalenkę za odmowę założenia tęczowej opaski na korcie tenisowym, a to odnajdziemy go w gronie kapituły Wawrzynu Kisiela pomiędzy Januszem Korwin-Mikkem, Łukaszem Warzechą a Sebastianem Pitoniem.

„Myślę, że rozmowa z nim byłaby interesująca" – deklarował przed rokiem, przyznając, że chętnie spotkałby się z liderem Konfederacji Korony Polskiej. Można odnieść wrażenie, że Miller znalazł się już w orbicie politycznego cyrku Grzegorza Brauna, pełnego klaunów, akrobatów, iluzjonistów, który postanowił zagospodarować wyborcę rozczarowanego liberalizmem. Stąd pochwała politycznego sznytu Donalda Trumpa. „Podobnie jak ja uważa, że są tylko dwie płcie", a poza tym – jak podkreślał w jednym z wywiadów – „skończył z przebieraniem się w armii i udawaniem transwestytów".

Nie wiadomo jednak, jaki jest obecnie stosunek byłego szefa SLD do konkordatu i Kościoła katolickiego. Oczywiście od początku stał na gruncie świeckości państwa. Jednak im mniej był w opozycji, a bliżej władzy, tonował swój radykalizm, np. ministerialną wizytą w ośrodku opiekuńczym prowadzonym przez siostry zakonne czy wręczając kwiaty pierwszej „konkordatowej" parze małżeńskiej.

SOCJALIZM NIEUDANY, NEOLIBERALIZM SZKODLIWY

Jak pamiętamy, na wypominanie mu sprawy moskiewskiej pożyczki na rozruch SdRP zawsze reagował nerwowo. To stąd przecież zrodziło się hasło „SLD–KGB", wykrzykiwane podczas akcji organizowanych przez Ligę Republikańską. Dzisiaj Miller sugeruje jednak, że również takie inicjatywy jak Akcja Demokracja, Otwarty Dialog, Campus Polska – a więc organizacje finansowane z zagranicy – nie powinny mieć wpływu na krajową politykę. Kto pamięta lata 90. i początek XXI w.? Bezrobocie, nieustanne likwidacje i restrukturyzacje, znakomite wskaźniki gospodarcze kontrastujące z biedą i brakiem stabilizacji. Dziś wrócił do socjaldemokratycznej wrażliwości. Na temat podatku liniowego, wprowadzenie którego kiedyś proponował, milczy, a z troską pochyla się nad kłopotami pracowników. Jako szef rządu firmował radykalnie proamerykański kierunek polityki wobec Iraku i Afganistanu. Polscy żołnierze brali udział w misjach, które faktycznie są przyczyną słabości supermocarstwa. Dziś przyznaje, że były to dla USA „kosztowne wojny asymetryczne", a to, co robi Trump, nie jest już polityką z czasów George'a W. Busha. „W polityce międzynarodowej umiejętność zakończenia wojny bywa trudniejsza niż jej rozpoczęcie" – pisze Miller. Jak widać, wciąż ważne jest, jak kończymy, a nie, jak zaczynamy. No to przez lata SLD konsekwentnie szło według linii wytyczanej przez niemieckich socjaldemokratów. „Nasza droga do Europy wiodła przez Niemcy" – podkreślał. W 2003 r. był przekonany, że wchodzimy do elitarnego klubu, który jest „przedmiotem zawiści wielu państw na świecie". Unia miała być lekiem na wszystko, gwarantem rozwoju, nowoczesności. Dziś – zgodnie z tym, przed czym przestrzegali sceptycy – kończy jako utopia rujnująca narody i prowadząca samą siebie na margines światowej polityki. Dawne zachwyty zastąpiła więc gorzka ironia. Obrazek, na którym odwiedzający Pekin kanclerz Friedrich Merz obserwował pokaz nowoczesnej robotyki, skomentował gorzko: „Patrzy na chińskie roboty, myśląc, ile lat Europa pozostaje z tyłu...".

W podobnym tonie przyjął obecność rakotwórczego mięsa z Brazylii na półkach polskich sklepów, które pojawiło się za sprawą nieszczęsnej umowy z Mercosur. Opisujący fiasko neoliberalnego porządku ekonomista Branko Milanović tłumaczy, że neoliberalizm podobnie jak komunizm został pokonany przez rzeczywistość. Taki jest też los jego wyznawców i popleczników. Neoliberalizm, będąc uniwersalnym i kosmopolitycznym, był niezwykle wygodną platformą ideologiczną, m.in. dla byłych funkcjonariuszy PZPR. Dziś, by nie stać się jego epigonami, znów muszą odnaleźć się w nowej rzeczywistości – postliberalnej.

DLA UKRAINY – „NIET"!

Miller jako pierwszy Polak wziął udział w obradach klubu wałdajskiego. Gromadził on ważnych z punktu widzenia putinowskiej Rosji rozmówców, w tym polityków. Tam były premier rozmawiał kiedyś m.in. z ówczesnym szefem Gazpromu na temat genezy Nord Streamu. Miller głosił potem, że jego budowa była dla Polski „karą za solidarność z Ukrainą". Zresztą wyrażał wówczas żal, że Polska ostatecznie nie przyłączyła się do inicjatywy kierowanej przez byłego kanclerza Niemiec Gerharda Schrödera.

Ostro szarżuje na proukraińską politykę, zarówno rządów PiS, jak i ekipy Tuska. Stoi na stanowisku, że granica UE jest na Bugu i nie będzie żadnej szybkiej akcesji Ukrainy, celnie studząc deklaracje, jakie w Kijowie złożył jego dawny polityczny rywal z SLD Włodzimierz Czarzasty. Wypomina nierozliczone krzywdy i zbrodnie na Polakach, obecność nacjonalistycznej symboliki w ukraińskiej polityce, twierdząc, że w tym akurat przypadku historyczne rachunki powinny być częścią aktualnej polityki. Odnotowuje wzrost przestępstw dokonywanych przez Ukraińców w Polsce czy informacje, że Ukraina jest największym producentem narkotyków w Europie. Ogólnie ukraińską niewdzięczność, korupcję, fasadowość państwa. To, co głosi – choć słuszne – wielokrotnie jest zbieżne z narracją Kremla.

* * *

Dziś Leszek Miller zajmuje stanowisko, które w latach 90. dawałoby postkomunistycznej formacji status Vladimíra Mečiara na Słowacji, a w dzisiejszych realiach Roberta Ficy czy Andreja Babiša. Takiej roli SLD nigdy jednak nie przyjął, usiłując za wszelką cenę stać się „nowoczesną europejską lewicą", dziś skompromitowaną i szkodzącą narodom europejskim. Nadeszła jednak polityczna emerytura, nie ma już pod ręką politycznego wehikułu, którym mógłby jeszcze pokierować. A potem znów z niego uciec.

eprasa.pl a50cb05137

W polityce lekarzom jest łatwiej

Od moich mentorów nauczyłem się spokoju i wysokiej kultury osobistej. Tam nigdy nie było nerwów, przekleństw, nie fruwały narzędzia, a to zdarzało się na innych oddziałach chirurgicznych

Ze Stanisławem Karczewskim, politykiem PiS, wicemarszałkiem Senatu, chirurgiem, współautorem programu w telewizji wPolsce24 „Strefa zdrowia" rozmawia Dorota Łosiewicz

Kiedy zdecydował pan, że chce być lekarzem?

Stanisław Karczewski: Podjąłem decyzję w wakacje pomiędzy trzecią a czwartą klasą liceum. Chodziłem do LO im. Joachima Lelewela w Warszawie. Tak na marginesie powiem, że do tej szkoły uczęszczali też Lech i Jarosław Kaczyńscy. Co prawda oni byli w wyższej klasie, ale czasami wspominamy z prezesem Kaczyńskim prof. Annę Radziwiłł, która uczyła nas historii i była fenomenalnym pedagogiem. W tamtym czasie mój serdeczny przyjaciel trafił do szpitala, często go odwiedzałem. I bardzo spodobał nam się szpital, atmosfera, praca lekarzy. Obaj wybraliśmy medycynę. Przyjaźnimy się zresztą do dziś.

A dlaczego jako specjalizację wybrał pan chirurgię?

To akurat było dzieło przypadku. Marzyłem o położnictwie. Uwielbiałem odbierać porody, to fantastyczne przeżycie. Radość matki, rodziny, personelu z przyjścia człowieka na świat jest niebywała. Wtedy był też świetny podręcznik do położnictwa i ginekologii. Uczyłem się z niego z wielką przyjemnością. Gdy wybierałem miejsce pracy, zdecydowaliśmy się z żoną na szpital w Nowym Mieście nad Pilicą. Okazało się, że asystentów na oddziale położniczym pracowało tam tak wielu, że nie było dla mnie miejsca. Szef chirurgii zachęcał, żeby przyjść do niego, bo to bardzo ciekawa specjalizacja, a tam akurat brakowało rąk do pracy. Zdecydowałem się więc na chirurgię i nie żałuję, bo to piękny zawód. Dobrze trafiłem, miałem wspaniałych nauczycieli z wielkim doświadczeniem chirurgicznym, którzy perfekcyjnie operowali. Najwięcej nauczył mnie dr Kazimierz Sobkiewicz. On był artystą. Pewnie gdyby pracował w dużym ośrodku, byłby profesorem. Od moich mentorów nauczyłem się spokoju i wysokiej kultury osobistej. Tam nigdy nie było nerwów, przekleństw, nie fruwały narzędzia, a to się zdarzało w innych oddziałach chirurgicznych.

Co jest najtrudniejsze w pracy chirurga? Presja czasu, odpowiedzialność, zmęczenie?

Powikłania. Nieprzewidziane sytuacje. Ale odpowiem cytatem z jednego z programów telewizyjnych. Prowadząca zapytała trzech profesorów, przez kogo chcieliby być operowani, gdyby zaszła taka konieczność. Jeden odpowiedział, że chciałby być operowany przez swojego ucznia, bo wie, jak operuje. Drugi powiedział, że najlepsi lekarze to tacy, którzy pracują w szpitalach prowincjonalnych, bo muszą robić wszystko. I tak faktycznie jest. Trzeci powiedział, że przez wyspanego lekarza. I wszyscy mieli rację.

Czy jacyś pacjenci szczególnie zapadli panu w pamięć?

Tak. To był jedyny zgon na stole operacyjnym, jaki przeżyłem. Kobieta po wypadku. Miała olbrzymią liczbę urazów w jamie

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl a50cb05137

brzusznej. Nie mogliśmy zatrzymać krwotoku. Jej śmierć była wstrząsem także ze względu na okoliczności. W tym wypadku zginęło dwoje jej dzieci. Potem poszedłem zbadać jej męża, też miał wskazania do pilnej operacji – miał uszkodzoną przeponę, zapadnięte płuco. Wiedząc, że przed chwilą zmarła jego żona, musieliśmy zachować spokój i zimną krew. Ten mężczyzna przeżył. Przeżyło jeszcze ich jedno dziecko. Pamiętam też szczególnie jeszcze jednego pacjenta, nawet z imienia i nazwiska. Robiliśmy embolektomię tętnicy udowej. Gdy się przygotowywaliśmy, przyszła salowa i powiedziała, że zmarł Jan Paweł II. Dokładnie pamiętam ten moment zadumy i refleksji. Na szczęście zabieg się powiódł.

Jak radzić sobie z emocjami w sytuacjach, gdy pacjent umiera?

To bardzo trudne. Pomaga spokój, którego się nauczyłem. Ważna jest też pokora, nie można być pewniakiem, który zjadł wszystkie rozumy, bo zawsze coś może zaskoczyć. Trzeba umieć poprosić o pomoc. A jak zupełnie nic nie idzie, to trzeba się modlić. Bo odwołanie się do wiary i Boga daje duże wsparcie.

Zdarzały się sytuacje, że pacjentowi trzeba było przekazać trudną prawdę?

Na co dzień. Taka jest ta rzeczywistość. Pacjenci często zgłaszają się do szpitala już w zaawansowanym stanie choroby. Często operowaliśmy chorych z bardzo zaawansowanymi zmianami, np. nowotworowymi. I trzeba było powiedzieć o tym pacjentom i rodzinie. Tu też potrzebne są spokój, kultura, nie można tego robić w biegu, na korytarzu. Widziałem w innych szpitalach sytuacje, że pacjenci i rodziny bardzo długo czekali na spotkanie z lekarzem. Tu trzeba być do pełnej dyspozycji. Mówić rzeczowo i otwarcie. Trzeba mówić prawdę, a także pozostawić nadzieję. Łatwiej rozmawiać z rodzinami, trudniej z samym pacjentem. W tym podejściu wiele się zmieniło. Na początku mojej pracy często nie mówiło się pacjentom prawdy, nierzadko umierali w nieświadomości. Od wielu lat mamy zwyczaj, że mówimy i piszemy prostym językiem i zawsze prawdę.

Co znaczy powołanie w zawodzie lekarza?

To miłość do zawodu i bezwzględne oddanie pacjentowi. Na początku jest impuls, który popycha do decyzji, potem – służba ludziom. Cały czas trzeba się też kształcić, zdobywać wiedzę, doskonalić umiejętności, by być jak najbardziej sprawczym. Powołanie w medycynie jest też tym, co dojrzałem w książce – wspomnieniach z II wojny światowej – mojego wujka. Przeżył gehennę kilku obozów koncentracyjnych, śmierć wielu przyjaciół. Po wojnie komendant obozu został skazany na śmierć i powieszony w obecności więźniów. A jeszcze kilka dni wcześniej jeździł konno i strzelał do ludzi. Uniewinniony został tylko jeden esesman – lekarz, który w obozie udzielał pomocy wszystkim, każdemu więźniowi. Zachował się jak człowiek, nawet w tak ekstremalnych warunkach. W mojej ocenie to był lekarz z powołania.

Odczuwał pan stres przed operacją?

Nie. Raczej skupienie, zaangażowanie, pewne emocje. A te są zawsze, kiedy walczy się o zdrowie i życie ludzkie.

Czy ten zawód bardzo utrudnia życie rodzinne?

Bardzo! Często mówiłem, że szpital to mój drugi dom, ale zdarzały się okresy, kiedy był pierwszym. Więcej czasu spędzałem w szpitalu niż w domu. Gdy byłem młodym, niedoświadczonym lekarzem, wołano mnie o każdej porze dnia i nocy, bym trzymał haki, asystował. Gdy już nabyłem umiejętności, wzywano mnie na konsultację i do operacji. Zawsze byłem do dyspozycji. Nigdy nie wyłączam telefonu. Gdy nie było komórek, przed położeniem się sprawdzałem, czy telefon stacjonarny jest sprawny, czy słuchawka jest dobrze odłożona. Znamy się z żoną 50 lat, za nami 47 lat małżeństwa. Pierwszy okres małżeństwa był trudny, bo cały czas bardzo dużo pracowałem. Żona wzięła na siebie ciężar wychowania dwóch córek, potem pomagała im w wychowywaniu wnuków. Rzadko wyjeżdżaliśmy na długie wakacje, to były raczej krótkie wypady.

Jest pan lekarzem, a także politykiem. Co pana ciągnęło do polityki i czym te światy się różnią, a co je łączy?

Oba są ciekawe, oba wciągają. W latach 80. XX w. w szpitalu działałem w Solidarności. Zaskoczeniem i powodem do dumy było dla mnie to, że w wyborach na przewodniczącego zagłosowali na mnie wszyscy pracownicy. To był impuls, że trzeba działać społecznie, nie tylko pracować przy stole operacyjnym, a także szerzej spojrzeć na świat i rzeczywistość, na problemy nie tylko pacjentów, lecz także pracowników. I z taką troską o personel zostałem przewodniczącym Solidarności. Tak się zaczęło. Później przyszła propozycja startu do Rady Powiatu Grójeckiego. Nie wahałem się, miałem bardzo dobry wynik. Potem koledzy politycy zaprosili mnie do startu do Sejmiku Województwa Mazowieckiego. Z szóstego miejsca osiągnąłem najlepszy wynik, a to znaczyło, że miałem niezłą opinię wśród mieszkańców. Pewnie wybrali mnie moi pacjenci i ich rodziny. W medycynie i chirurgii trzeba podejmować szybkie i nieodwołalne decyzje. W polityce decyzje zapadają dłużej, czasem późno. Nieraz przydałoby się większe tempo. Wtedy bylibyśmy bardziej sprawczy, moglibyśmy zrobić więcej. Czasem jednak decyzje odsuwane w czasie okazują się najlepsze z najlepszych. Lekarze, a szczególnie chirurdzy, cały czas muszą podejmować decyzje i dokonywać wyborów. Może dlatego w polityce lekarzom jest łatwiej, bo są bardziej stanowczy.

W telewizji wPolsce24 współprowadzi pan program „Strefa zdrowia”. Nie boi się pan, że pojawią się pytania, na które nie będzie pan znał odpowiedzi?

Na pewno takie będą, bo medycyna jest zbyt obszerna, żebym mógł znać odpowiedzi na wszystkie pytania. Jeśli nie będę znał odpowiedzi, to się przyznam i postaram się ją poznać. Z redaktor Martą Kielczyk będziemy zapewne zapraszać ekspertów w danych dziedzinach. Nasz program będą kształtować widzowie wPolsce24. Na pewno nie możemy stawiać diagnoz. Od tego jest gabinet lekarski. Ale będziemy dużo mówić o profilaktyce i aktywności fizycznej, zdrowym odżywianiu, unikaniu nałogów, bo to są te elementy dobrostanu, na które mamy wpływ. Wielu chorób można uniknąć mądrym działaniem. Naszym celem jest zwiększenie świadomości społecznej tego, jak ważna jest profilaktyka, a w razie choroby, jak uzyskać prawidłową diagnozę i postępować w procesie leczenia.

eprasa.pl a50cb05137

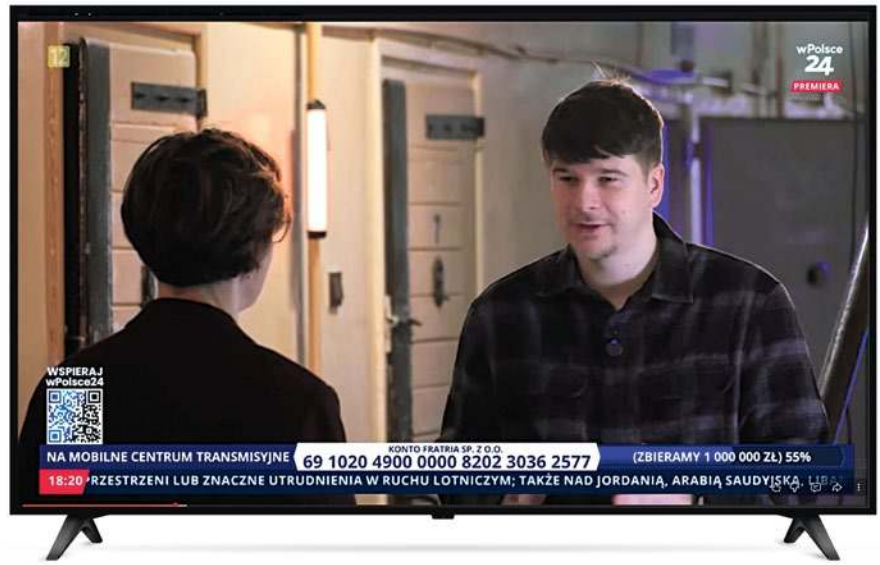

Walczyć na wszystkich frontach

Z ***Danielem Nawrockim***, autorem programu „Nawrocki w Polsce”, o telewizji, nowych projektach na YouTube, pasji i walce o medialny pluralizm w Polsce rozmawia Piotr Filipczyk

W ostatnim wydaniu pańskiego programu obejrzeliśmy poruszającą wizytę w areszcie przy ul. Rakowieckiej, miejscu kaźni polskich patriotów, przesłuchiwanych tam i zabijanych przez komunistów.

Daniel Nawrocki: To bez wątpienia jeden z najważniejszych odcinków programu „Nawrocki w Polsce”. Materiał o żołnierzach niezłomnych był dla mnie i całego zespołu ważnym punktem do zrobienia, który moim zdaniem wyszedł świetnie.

Dlaczego?

Mimo mojego wieku jako kilkuletni obserwator uczestniczyłem w walce o przywracanie pamięci o żołnierzach wyklętych w Gdańsku i uważam to za wielki sukces. Polacy mieli milczeć o tej historii. A ludzie tacy jak Adrianna Garnik, która jest szefową muzeum na Rakowieckiej, zrobili dla nich wiele. Żołnierze wyklęci oraz ich piękna, heroiczna historia dają nam dziś coś niezwykle cennego. Dumę z tego, jacy potrafią być Polacy. I wzór do naśladowania, jakby to banalnie nie brzmiało. Takie wzory są nam niezwykle potrzebne.

Pański program w telewizji wPolsce24 to jednak zazwyczaj nieco inne tematy. Rozmawia pan ze sportowcami, muzykami, nawet internetowymi influencerami. Mało konserwatywnie.

Nikt nie mówił, że ma być konserwatywnie [śmiech]. Uważam, że w telewizji jest również miejsce dla twórców internetowych. Ostatecznie nasze drogi kończą się tak samo – i my, jako autorzy programów telewizyjnych, i oni, twórcy internetowi, kończymy na ekranach przed oczami widzów. To oni nas oceniają. Rozmawiam z każdym. W programie wystąpili m.in. prezydent Andrzej Duda, Filip Chajzer, Dariusz „Tiger” Michalczewski czy Sergiusz „Nitrozyniak” Górski. Czy coś ich łączy? Nie. Mamy prezydenta, byłą gwiazdę TVN, mistrza świata w boksie oraz streamera, który gra w gry! Nie interesują mnie przy tym poglądy – zakładam, że każdy z nich ma inne spojrzenie i perspektywy na świat. Jestem otwarty na innych i szukam takich ludzi, którzy mają coś ciekawego do powiedzenia. Podczas poszukiwań gości to właśnie jest mój klucz.

Na ekranie emanuje z pana pogoda ducha, bardzo pozytywne nastawienie do rozmówców. Szybko nauczył się pan telewizji...

Tu nie ma nic sztucznego. Lubię ludzi, lubię z nimi rozmawiać, a co za tym idzie... poznawać. Zawsze podchodzę do swoich gości z szacunkiem, jestem grzeczny – tak mnie wychowano. Wydaję mi się, że nie odnalazłbym się w ostrych formatach, gdzie mam się konfrontować i przekrzykiwać z moimi rozmówcami. Jednocześnie jest we mnie dużo pokory. Wciąż uczę się zawodu – zresztą człowiek uczy się całe życie.

Nie zabraknie bohaterów do kolejnych programów?

Nie, spokojnie [śmiech]. Polska jest pełna świetnych ludzi, ciekawych postaci. Praca wre, staramy się poprawiać z odcinka na odcinek, idziemy do przodu.

Z pewnością jest jednak wielu takich, którzy z panem, czy szerzej – z konserwatywną telewizją, jaką jest wPolsce24 – nie chcą rozmawiać.

Szczerze? Nikt nie odmówił mi wzięcia udziału w programie. Jeśli są jednak tacy, którzy nie chcieliby w nim wystąpić ze względów politycznych, ideologicznych czy innych, to ich strata. Powtórzę: Polska jest pełna świetnych ludzi, a tematów jest wiele, dlatego przed nami jeszcze wiele wydań „Nawrockiego w Polsce”. Zwłaszcza że mamy bardzo pozytywny oddźwięk od widzów. Chcą nas oglądać,

Autopromocja

eprasa.pl a50cb05137

dopingują do dalszej pracy. Więc idziemy do przodu!

Mam też wrażenie, że „Nawrocki w Polsce" wychodzi poza pewne bańki informacyjne.

Staramy się je przebijać, docierać także do ludzi, którzy inaczej patrzą na świat albo po prostu nie oglądają mediów tradycyjnych. Od początku powtarzam sobie jedno: widz nie jest klientem, tylko partnerem. Jeśli decyduje się poświęcić nam pół godziny swojego życia, to znaczy, że wierzy w to, że potraktujemy go poważnie. Dlatego staram się, by mój program był miejscem uczciwej rozmowy.

Ale trudno zaprzeczyć, że media wciąż są zdominowane przez stronę liberalno-lewicową. I potrafi ona wymusić wiele rzeczy. Np. zaszczuć kogoś, że chodzi do „złej" telewizji. Albo wpłynąć na reklamodawców. Albo zaszkodzić w jakiś inny sposób....

Jeśli tak jest, to nie pozostaje nam nic innego, jak robić swoje, walczyć o coraz lepszą jakość programu, docierać do nowych widzów, szukać nowych sposobów komunikacji z odbiorcami. Chyba nie będziemy się użalać nad swoim losem? Zależy mi na pluralizmie rozumianym realnie, a nie deklaratywnie. Pluralizm to obecność różnych wrażliwości, argumentów i doświadczeń – również takich, z którymi się nie zgadzamy. Wierzę, że konserwatywna telewizja może być przestrzenią do poważnej debaty o Polsce, rodzinie, gospodarce, bezpieczeństwie, kulturze czy sporcie. Bez kompleksów. Z szacunkiem dla tradycji, lecz otwartością na nowe wyzwania. I to wychodzi!

> Nikt nie odmówił mi wzięcia udziału w programie. Jeśli jednak są tacy, którzy nie chcieliby w nim wystąpić ze względów politycznych, ideologicznych czy innych, to ich strata. Powtórzę: Polska jest pełna świetnych ludzi, a tematów jest wiele, dlatego przed nami jeszcze wiele wydań „Nawrockiego w Polsce"

wPolsce24 regularnie wskakuje na podium telewizji informacyjnych pod względem oglądalności, a ostatnio odnosi także sukcesy w internecie. Może się pochwalić posiadaniem jednego z najlepszych kanałów informacyjnych na polskim YouTube.

Mówi pan o nowych kanałach docierania do odbiorców. Pański program można oglądać także na YouTube, jest pan dosyć aktywny w mediach społecznościowych. Czy mówimy o takim kierunku?

Telewizja wPolsce24 już dzisiaj ma świetnie rozwinięte kanały społecznościowe. Na samym YouTube mamy grubo ponad 500 tys. subskrybcji. Regularnie odwiedzam kanał i możemy tam znaleźć wszystko, co najlepsze na naszej antenie. Z tego, co wiem i mogę trochę zdradzić, wkrótce telewizja zagości z nowymi formatami na YouTube! I będą to formaty właściwe mediom internetowym. Korzystając z doświadczeń redakcji i zasięgów, można zrobić wiele dobrego.

Można już zdradzić jakieś szczegóły? Co to będzie?

Nie będę zdradzać szczegółów, ale mam nadzieję, że będzie o nas głośno i będą państwo zadowoleni z efektów.

eprasa.pl a50cb05137

Ali Chamenei

Po co ta wojna?

JAN ROKITA

W tym konflikcie nie chodzi tylko o definitywną denuklearyzację Iranu, lecz także o demilitaryzację państwa, które od pół wieku jest zaciekłym wrogiem Ameryki, Zachodu, państw arabskich i last but not least – Izraela

W piątkowy wieczór, 27 lutego 2026 r., Donald Trump wziął udział w gali charytatywnej, która odbywała się w sali balowej rezydencji Mar-a-Lago na Florydzie, gdzie wedle utrwalonego zwyczaju tańczył w takt patriotycznej piosenki country „Proud to Be an American". Ta melodyjna piosenka skomponowana przez Lee Greenwooda od dawna towarzyszy wiecom politycznym Trumpa, który zwykł pojawiać się na scenie właśnie przy jej dźwiękach. Po tym tańcu prezydent zwrócił się ponoć do zgromadzonych: „Bawcie się wszyscy dobrze, ja muszę teraz iść do pracy".

Już o godz. 1.15 czasu wschodnioamerykańskiego z lotniskowców rozlokowanych na Morzu Śródziemnym i Arabskim, a także z kilku baz lądowych, wystartowała w stronę Iranu przeszło setka amerykańskich samolotów bojowych, tworząc to, co wojskowi nazwali potem „zsynchronizowaną falą uderzeniową".

Fot. Khamenei.ir, Airbus/x.com

eprasa.pl a50cb05137

ATAK NA REZYDENCJĘ CHAMENEIEGO

Dokładnie o tej samej godzinie (w Iranie był już dzień, godz. 9.45) izraelskie pociski spadły na teherański kompleks rezydencjonalny przywódcy Iranu Alego Chameneiego, w którym zaczęła się właśnie tajna narada mułłów i najwyższych oficerów odpowiedzialnych za bezpieczeństwo państwa. Jeśli sądzić po zdjęciach satelitarnych, które zobaczyliśmy w niedzielę rano w sieci, nikt żywy raczej nie mógł wyjść z tego spotkania, bo cały kompleks budynków został zrównany z ziemią.

Pierwszym, który ogłosił komunikat o śmierci Chameneiego, był premier Izraela Binjamin Netanjahu, ale media nie całkiem mu jeszcze dowierzały. Lecz kiedy na Florydzie nastał ranek, tę sensacyjną wiadomość potwierdził Donald Trump. Tak zaczęła się obecna wojna perska.

Wedle przecieków pochodzących z izraelskich służb specjalnych to właśnie owa narada zwołana przez Chameneiego miała zdecydować o terminie ataku. Faktycznie, nadarzała się wyjątkowa okazja: ok. pół setki czołowych mułłów i oficerów perskiego reżimu, wśród nich m.in. minister obrony i dowódca strażników rewolucji, nieoczekiwanie miało się zebrać w jednym miejscu. To był ostatni i niewybaczalny błąd Chameneiego, skutkujący zabiciem niemal całego przywództwa państwa w ciągu pierwszych minut wojny.

Aby zmylić perskich szpiegów, izraelskie dowództwo nakazało oficerom Sztabu Generalnego oraz obu służb wywiadowczych – Mosadu i Amanu – pozostawić w sobotę rano puste miejsca parkingowe, na których zwykle, przyjeżdżając do pracy, zostawiają swoje auta.

Rozpuszczono także pogłoskę o urlopie wziętym na czas szabatu przez szefa sztabu armii gen. Ejala Zamira. W przeciwieństwie do Iranu Żydom udało się zamaskować ostatnie przygotowania wojenne.

W lutym 2022 r. Moskale podjęli podobną próbę zabicia prezydenta Zełenskiego w pierwszych chwilach wojny z Ukrainą, ale ponieśli fiasko. Widzimy tu nowy sposób prowadzenia nowoczesnej wojny: zaczyna się ją od usunięcia ze sceny przywódców zaatakowanego kraju.

Ani w Waszyngtonie, ani w Jerozolimie nikt tego oficjalnie nie przyznaje, ale wiele wskazuje na to, iż moment rozpoczęcia wojny wyznaczył Netanjahu, a Trump go tylko zaakceptował. Podczas ubiegłotygodniowej konferencji prasowej z kanclerzem Friedrichem Merzem w Białym Domu prezydentowi wprost zadano pytanie, czy to Izrael narzucił Ameryce tę wojnę. Trump kategorycznie zaprzeczył, dodając, iż jeśli ktoś kogoś nakłonił do rozpoczęcia działań zbrojnych, to raczej on Netanjahu aniżeli odwrotnie. Wyjaśniał, iż rosnącą nieustępliwość Persów podczas ostatniej fazy negocjacji zinterpretował jako dowód na skrywany plan wyprzedzającego ataku ze strony Teheranu. Dlatego zareagował.

Dwa dni wcześniej sekretarz stanu Marco Rubio sugerował, iż amerykańskie uderzenie na Iran stało się koniecznością, gdy okazało się, iż Netanjahu podjął ostateczną decyzję o zaatakowaniu rezydencji Chameneiego w czasie trwającej tam narady.

Opinia Rubio dała pretekst politycznym wrogom Trumpa, aby dyskredytować go za uległość względem Izraela. Demokratyczny senator Mark Warner ironizował: „Jeśli zagrożenie dla Izraela utożsamiamy z bezpośrednim zagrożeniem dla USA, to wkraczamy na nieznane terytorium". Z polskiej perspektywy warto pamiętać, że respekt dla bezpieczeństwa sojuszników Ameryki nie jest teraz w Partii Demokratycznej szczególnie w cenie.

W każdym razie amerykańskie polemiki wokół okoliczności wybuchu wojny wyglądają bardziej na propagandową rozgrywkę partyjną między republikanami i demokratami niźli spór o realne fakty. Te bowiem – w takim zakresie, w jakim są dziś znane – układają się w spójny i logiczny ciąg zdarzeń. Wszystko wskazuje na to, że Trump podjął decyzję o wojnie z Iranem dość dawno, na co wskazuje choćby jego styczniowa obietnica pomocy dla wolnościowego buntu Persów przeciw reżimowi.

> Jeśli jednak sukces Amerykanów w tej wojnie służy komuś najbardziej, to oprócz bliskowschodnich sąsiadów Iranu wszystkim, którzy czują się zagrożeni przez putinowską Rosję

Pisał wtedy, iż „pomoc jest w drodze", czego na świecie nie potraktowano poważnie. Wkrótce potem wydał rozkazy ściągnięcia dwóch lotniskowców w pobliże granic Iranu i ewakuacji części amerykańskiego personelu z baz na Bliskim i Środkowym Wschodzie. Wojna była już wtedy zdecydowana. A wykrycie przez izraelski wywiad sobotniego zebrania w rezydencji Chameneiego i determinacja Netanjahu, aby wykorzystać tak niezwykłą okazję, zapewne tylko przyspieszyły termin rozpoczęcia operacji.

CELE TEJ WOJNY

Nieco podobnie rzecz się ma z nieustającymi w Ameryce kontrowersjami w sprawie bezpośrednich celów wojny. Światowe media są pełne analiz mających wskazywać na niejasność i wzajemne sprzeczności pomiędzy deklaracjami prezydenta i jego czołowych ministrów. Sam Trump w niedzielnym orędziu w sieci mówił o potrzebie „odzyskania kraju" przez Persów, „wzięcia przez nich kontroli nad swoim losem" i likwidacji „zbrodniczego reżimu". W klasycznym dla Ameryki stylu prezydent postawił zatem w centrum wojny kwestię wolności i obalenia tyranii. Ten typ argumentacji ciągle jest popularny w Polsce, chcielibyśmy bowiem, aby amerykańska potęga pozostawała rzeczywistą ostoją wolności. Jednak w samej Ameryce jest inaczej, gdyż doświadczenia wcześniejszych wojen podejmowanych w celu wyzwolenia różnych ludów kojarzą się raczej ze złymi skutkami dla zwykłych Amerykanów. A sam Trump wielokrotnie krytykował owe dawniejsze konflikty zbrojne.

eprasa.pl a50cb05137

Nic zatem dziwnego, że z upływem kolejnych dni retoryka Trumpa mająca definiować cele wojny ulegała przekształceniom. W trakcie poniedziałkowej ceremonii nadania orderów trzem amerykańskim bohaterom wojennym (gdzie jedynym mówcą oprócz prezydenta był ppłk. Cierpica – polski oficer ocalony przez bohaterskiego Amerykanina w Afganistanie) Trump położył nacisk na definitywne pozbawienie Iranu szans na konstrukcję broni nuklearnej i ogólnie na zniszczenie zagrażającej światu perskiej potęgi militarnej.

Tę argumentację rozbudował potem sekretarz obrony USA Pete Hegseth, wyjaśniając, iż perska broń konwencjonalna stworzyła swoistą „konwencjonalną tarczę dla ambicji szantażu atomowego" ze strony teherańskiego reżimu. Wedle Hegsetha klasyczne siły miały posłużyć jako „pistolet przystawiony do głowy" Ameryce, dzięki któremu Iran mógłby uprawiać szantaż nuklearny, przekonany, że nikt nie odważy się zaatakować jego instalacji jądrowych w obawie przed niszczycielskim odwetem rakietowym. „To nie my zaczęliśmy tę wojnę, ale pod wodzą prezydenta Trumpa ją kończymy" – zręcznym bon motem puentował tę logikę Hegseth.

Amerykańska lewica i antytrumpistowskie media próbują na różne sposoby przekonać Amerykanów, iż wojna z Iranem jest niemal prywatną awanturą Trumpa, z którą ani interes USA, ani świata nie mają nic wspólnego. Ten pogląd jasno wyraził lider opozycji w amerykańskim Senacie, senator z Nowego Jorku Chuck Schumer, mówiąc: „To jest wojna Trumpa, z jego wyboru, bez strategii i bez planu końcowego". Schumer przewodzi też staraniom o uchwalenie w Senacie rezolucji pozbawiającej prezydenta prawa do kontynuowania wojny w Iranie bez explicite wyrażonej zgody Kongresu.

Z perspektywy zewnętrznego obserwatora trudno nie zadziwić się z powodu partyjnej zaciekłości amerykańskiej lewicy, która próbuje zmusić Biały Dom do przerwania rozpoczętych działań wojennych, dążąc w ten sposób do przegrania przez Amerykę trwającej już wojny tylko po to, aby potem móc oskarżyć o tę porażkę Donalda Trumpa.

DEMILITARYZACJA IRANU

Za to gdy idzie o militarne cele wojny, wątpliwości nie mają dowódcy amerykańskiej armii. Szef połączonych sztabów gen. Dan Caine uznał podczas odprawy w Pentagonie, iż cele postawione armii przez prezydenta są „całkowicie jasne". „Naszym zadaniem – mówił – jest całkowite zniszczenie zdolności Iranu do użycia siły poza swoimi granicami, zarówno dziś, jak i w przyszłości".

Tym razem nie chodzi już zatem tylko o definitywną denuklearyzację Iranu, lecz o demilitaryzację państwa, które od pół wieku jest zaciekłym wrogiem Ameryki, Zachodu, państw arabskich i last but not least – Izraela. Zarówno Trump, jak i jego generałowie zakładają, że ten cel powinien zostać osiągnięty w ciągu kilkutygodniowych działań wojennych. Hegseth i Caine mówią o trzech do ośmiu tygodniach, choć jak w przypadku każdej wojny są to rachuby pozbawione pewności.

W każdym razie w ubiegłą środę, czyli w piątym dniu wojny, Pentagon informował, że perski potencjał militarny osłabł na tyle, iż liczba ataków Iranu na państwa arabskie, Izrael i bazy amerykańskie spadła o 83 proc. Hegseth zakłada, że Amerykanie potrzebują tygodnia, aby uzyskać całkowitą kontrolę nad przestrzenią powietrzną Iranu. „Będziemy latać cały dzień i całą noc [...] idziemy na całego" – mówił sekretarz obrony.

Z oczywistych powodów znacznie mniej mówi się w Waszyngtonie o politycznych celach wojny. Po pierwsze, są one o wiele trudniej definiowalne, a po drugie, każda bardziej jawna sugestia na temat politycznych celów wojny prowokuje falę ataków na Trumpa, w Ameryce i poza nią.

Jest jednak najzupełniej jasne, że po wojnie Ameryka chce mieć w Iranie rząd, który poniecha wrogości wobec Zachodu i zaprzestanie utrzymywania zbrojnych bojówek w Libanie, Syrii, Iraku, Jemenie i Izraelu. Oczywiście gabinet Trumpa otwarcie sprzyja demokratycznej rewolucji Persów, która obaliłaby zbrodniczy reżim szyickich mułłów, na powrót czyniąc z Persji normalny kraj, respektujący wolność jednostki. Ale Trump doskonale wie, że taki efekt leży poza sprawczymi możliwościami Ameryki. Nie kryje więc tego, iż jeśli rewolucja w Teheranie nie wybuchnie albo nie okaże się zwycięska, to i tak skończy wojnę, jeśli tylko – podobnie jak stało się w Wenezueli – rozbity i pozbawiony przywództwa reżim skapituluje, przyjmując amerykańskie warunki pokoju.

Nawet jeśli wolnościowa rewolucja nie obaliłaby jednak reżimu mułłów, trwała denuklearyzacja i demilitaryzacja Iranu będzie mieć kolosalne znaczenie dla światowej polityki. Dzisiejszy Iran jest przecież kluczowym ogniwem współczesnej „osi zła", którą przy okazji wojny na Ukrainie scementowali czterej wielcy tyrani współczesności: Xi Jinping, Putin, Kim Dzong Un i Chamenei. Dzisiaj ostatni z nich nie żyje. A wyrwanie Iranu, kraju szachującego groźbą wojny i terroryzmu południowe pogranicze Europy i Azji, będzie istotnym osłabieniem całej tej osi. Zwłaszcza Moskwy, która nie tylko jest odbiorcą perskiej broni używanej przeciw Ukrainie, lecz także z pomocą perskich mułłów buduje swoje wpływy na Bliskim Wschodzie.

Bez Syrii, w której promoskiewski reżim Asada obalili powstańcy wspierani przez Turcję, a teraz także bez perskich mułłów pokonanych przez Amerykę kończą się sny Putina o potędze w tym newralgicznym rejonie świata. Uderzająca jest słabość Moskwy, która w krytycznej sytuacji porzuciła swego najlepszego sojusznika, nie potrafiąc ani go ocalić, ani nawet przyjść mu z pomocą. I to mimo iż Putin ciągle dysponuje największą siłą zgromadzonej broni atomowej na świecie.

Spośród europejskich przywódców ten efekt osłabienia Moskwy najlepiej rozumie kanclerz Friedrich Merz, który jako jedyny Europejczyk natychmiast wyprawił się do Białego Domu, aby tam zamanifestować pełną solidarność z Trumpem i obrzydzenie dla teherańskiego reżimiu.

Jeśli jednak sukces Amerykanów w tej wojnie służy komuś najbardziej, to oprócz bliskowschodnich sąsiadów Iranu wszystkim, którzy czują się zagrożeni przez putinowską Rosję. Ukraina jest tu na pierwszym miejscu, ale zaraz za nią znajdują się kraje bałtyckie, skandynawskie i Europa Środkowa. Z Polską na czele.

eprasa.pl a50cb05137

Geopolityczne tsunami

Amerykańsko-izraelski atak na Iran już po kilku dniach doprowadził do znaczących przetasowań politycznych nie tylko w regionie, lecz także o globalnym charakterze

MAREK BUDZISZ

„Prędzej wam skończą się ajatollahowie niż nam rakiety i bomby” – powiedział Elbridge Colby, człowiek numer trzy w Pentagonie, kierując swe słowa do irańskiej klasy rządzącej. Te deklaracje są nie tylko świadectwem amerykańskiej determinacji, lecz także elementem presji na irański obóz władzy. Mają przekonać jej przedstawicieli, iż opór jest bezcelowy, a wybuch wojny regionalnej, do czego dąży Teheran, będzie oznaczał jedynie większe straty i zniszczenia.

Świadczą też pośrednio, że Amerykanie nie chcą długiej wojny, a zdaniem izraelskich mediów powołujących się na anonimowe opinie dowódców wojskowych bombardowania Iranu potrwają zgodnie z założeniami „jeszcze maksymalnie kilka tygodni”. Z tymi szacunkami korespondują wypowiedzi gen. Dana Caine’a, szefa Kolegium Połączonych Sztabów amerykańskich sił zbrojnych, który piątego dnia wojny powiedział, iż do tego czasu udało się zatopić 20 okrętów irańskiej marynarki wojennej, o 86 proc. zmniejszyć intensywność ostrzałów przy użyciu rakiet balistycznych i o 73 proc. przy użyciu systemów bezzałogowych.

Jeśli zgodzić się z tymi rachunkami – a niezależni eksperci analizujący zdjęcia satelitarne raportują o podobnej liczbie zatopionych jednostek pływających i mówią o wyraźnie spadającej aktywności Iranu w zakresie ataków rakietowych – wydaje się, że bliski jest dzień, kiedy Donald Trump będzie mógł powiedzieć, iż powietrzno-morska operacja osiągnęła swoje cele. Czy zakończy wojnę, zależy jeszcze od wielu czynników, ale wszystko wskazuje na to, że amerykańskie przywództwo nie ma ochoty popełniać strategicznych błędów swoich poprzedników i nie utknie w niekończącym się konflikcie na drugim końcu świata.

Przyjmijmy zatem, że w tym przypadku wojna potrwa jeszcze do końca marca i poszukajmy odpowiedzi na pytanie, czy strategiczne cele, jakie stawiał sobie Trump, mogą zostać osiągnięte i jakie skutki polityczne będzie miała obecna wojna.

CEL: OBIEKTY NUKLEARNE

Jeśli chodzi o Iran, to niezależnie od publicznie składanych deklaracji pierwszym celem amerykańsko-izraelskich uderzeń nie jest obalenie reżimu i zaprowadzenie w tym kraju demokracji.

Fot. -/AFP/East News

eprasa.pl a50cb05137

Chodzi raczej o „zlikwidowanie infrastruktury wojskowej reżimu, w tym korpusu strażników reżimu" – jak powiedział dziennikowi „Financial Times" anonimowy, wysokiej rangi wojskowy izraelski.

Na celowniku są także irańskie obiekty nuklearne, wojskowe zakłady produkcyjne oraz potencjał kosmiczny i cybernetyczny. Jest to tym ważniejsze, że – jak ujawnili rosyjscy eksperci z PIR-Center w raporcie opublikowanym na początku marca – Iran na początku tego roku miał 30 zakładów pracujących dla jego programu nuklearnego i ponad 400 kg wzbogaconego materiału rozszczepialnego, co umożliwia budowę 10 głowic.

Te cele zostaną osiągnięte, ale stabilizacja w regionie zależy od tego, czy w przypadku Iranu uda się zrealizować „opcję Wenezueli". Chodzi o wykrystalizowanie się w obozie władzy opcji opowiadającej się za uczciwymi rozmowami z Amerykanami, a najlepiej takiego nurtu, który gwarantuje geostrategiczny zwrot Iranu. Jeśli to się nie uda, odpowiedzią amerykańsko-izraelskiej koalicji po zakończeniu tej wojny będzie kolejny atak za jakiś czas.

Zastanówmy się zatem, jak obecne uderzenie wpłynie na globalny układ sił, bo już widać, że zmiany będą poważne.

BÓL GŁOWY NA KREMLU

Z pewnością w najtrudniejszej pozycji znalazła się Rosja. Alexander Baunov, analizując reakcję Kremla na zabicie ajatollaha Chameneiego i innych przywódców Iranu, napisał w „Foreign Policy", że specjalne oświadczenie Putina „zostało wyrażone w taki sposób, aby uniknąć formułowania bezpośrednich oskarżeń pod adresem Trumpa i USA". O ile Moskwa mogła przełknąć interwencję w Wenezueli i porwanie Maduro, argumentując na użytek własny i sojuszników, że miała ona miejsce na zachodniej półkuli, w tradycyjnej „strefie amerykańskich interesów", o tyle atak na Iran dotyka już sfery wpływów rosyjskich. I to o znaczeniu strategicznym, bo jak zauważył w dzienniku „Kommiersant" Jurij Łukianow, jeden z dyrektorów klubu wałdajskiego, powodzenie operacji zmiany, a tym bardziej obalenia reżimu w Iranie będzie oznaczać, że w przyszłości „projekty geoekonomiczne i logistyczne, którymi zainteresowane są Chiny, Rosja i Indie, staną się zależne od Amerykanów". Jeśli Trump odniesie sukces, to zdaniem tego analityka „wzrośnie stopień kontroli USA nad ważnymi rynkami, przede wszystkim surowcowymi i współpracy wojskowo-technicznej". Co więcej, spadnie znaczenie nowych formatów w rodzaju bloku państw BRICS, z którym Rosja wiąże takie nadzieje, bo amerykańska interwencja w Iranie pokazuje, że ci „nowi gracze" są znacznie słabsi wojskowo od Amerykanów.

Sukces Trumpa w Iranie pozbawia też Kreml czegoś znacznie poważniejszego – zdolności do manewru strategicznego. Pod koniec ubiegłego roku Andriej Bezrukow, profesor MGIMO, zaprezentował na łamach jednego z rosyjskich periodyków wizję „wielkiej strategii" Federacji po zwycięskiej dla Rosji wojnie na Ukrainie. Niesiona sukcesem Moskwa miałaby przystąpić do konstruowania nowego euroazjatyckiego porządku bezpieczeństwa, którego cel miałoby stanowić równoważenie przewagi Chin i dążenie do uniknięcia dominacji Pekinu. Mowa oczywiście o przyjaznym, a nie wrogim podejściu, zgodnie z zasadą sformułowaną już kilka lat temu przez Siergieja Karaganowa, innego wpływowego rosyjskiego eksperta, który argumentował, że Pekin może iść w kierunku groźnej dla innych państw dominacji w Eurazji lub zaakceptować swą rolę partnera równego innym państwom. Ci inni to przede wszystkim Rosja i Indie, których współpraca miałaby docelowo równoważyć potęgę Chin. To z tego powodu Putin lubi podkreślać znaczenie więzi Północ–Południe i przywiązuje dużą wagę do współpracy z Indiami. Tyle że nie jest ona możliwa bez udziału w tym układzie Iranu, który teoretycznie jest znacznie bezpieczniejszym łącznikiem między obydwoma państwami niż rządzony przez talibów Afganistan.

Gdyby Amerykanom udało się doprowadzić do zmiany w Iranie – czy obalając obecny reżim, czy wymuszając zmianę jego polityki – ta konstrukcja strategiczna Rosji ległaby w gruzach. W nowej sytuacji geostrategicznej po zmianach w Iranie kontynuowanie wojny na Ukrainie oznaczałoby nieuchronny wzrost uzależnienia Rosji od Chin, bez nadziei na równoważenie tych wpływów współpracą z innymi graczami w Azji. Kreml musiałby wówczas uznać, że przedłużanie wojny na Ukrainie nie działa na korzyść Federacji, bo niezależnie od tego, czy uda się ją wygrać, pozycja strategiczna Rosji po zmianach w Iranie uległaby pogorszeniu. Wojna z Ukrainą przekształciłaby się w typowe „pyrrusowe zwycięstwo", lokalny sukces za cenę globalnej degradacji.

Wydaje się, że taką perspektywę miał na myśli Trump, argumentując – co przekazał prezydent Zełenski – iż zakończenie działań wojennych na Ukrainie może zostać wynegocjowane nawet w ciągu najbliższego miesiąca, bo Rosja po zmianach w Iranie „zrozumie", że kontynuowanie konfliktu nie działa na jej korzyść.

Czy tak będzie – nie wiemy, ale warto zwrócić uwagę na propozycję Zełenskiego, adresatem której są bogate w ropę i gaz ziemny państwa Zatoki Perskiej. Deklaruje on gotowość sił ukraińskich do ich obrony przed irańskimi atakami w zamian za wywarcie presji na Rosję, aby ta kończyła wojnę.

ZASKOCZONE CHINY

Pekin stara się zejść z linii strzału, deklarując wsparcie dla negocjacji pokojowych. Shi Yinhong, profesor stosunków międzynarodowych na Uniwersytecie Renmin w Pekinie, napisał, że „popularne w Chinach przekonanie o słabnącej Ameryce" musi „być przemyślane od nowa", bo operacje w Wenezueli i atak na Iran nie tylko pokazują, iż siła wojskowa Stanów Zjednoczonych „jest w dalszym ciągu dominująca", lecz także ilustrują, jak zmienia się sztuka prowadzenia wojny. Najwyraźniej Chiny nie są gotowe na konflikt, dlatego wybrały drogę oświadczeń i dyplomacji. Wang Yi, chiński minister spraw zagranicznych, zapowiedział nawet powołanie specjalnego wysłannika, który w ramach misji dobrych usług miałby rozpocząć rozmowy na temat zakończenia wojny.

eprasa.pl a50cb05137

Gospodarczo Chiny nie stracą wiele, nawet jeśli założyć całkowite wstrzymanie dostaw irańskiej ropy i bliskowschodniego gazu. Z tego państwa pochodzi jedynie 10–12 proc. zakupów, ponadto Pekin w ostatnich latach zgromadził zapasy pozwalające na funkcjonowanie gospodarki przez dwa lata, gdyby nawet wszystkie dostawy zostały wstrzymane.

Geopolityczne straty Pekinu będą jednak znaczące, bo Iran pozostawał jednym z głównych partnerów i sojuszników Państwa Środka. Bliska współpraca z Chinami, nie mówiąc o budowaniu jakichś antyamerykańskich aliansów, dla wielu państw–partnerów będzie w nowych realiach obarczona ryzykiem i zmniejszy swobodę ruchów Xi Jinpinga. Jego zapowiadane na koniec marca spotkanie z Trumpem, jeśli amerykański prezydent dobrze rozegra tę partię, będzie przebiegać po myśli Stanów Zjednoczonych i najprawdopodobniej zakończy się kolejnym, zapewne krótkotrwałym, kompromisem.

EUROPA W ROZKROKU

Zmiany nastąpią także w amerykańskim obozie sojuszniczym. „On nie jest Churchillem" – powiedział Donald Trump o premierze Wielkiej Brytanii. Słowa nagany były związane z odmową Londynu użyczenia Amerykanom brytyjskich baz w pierwszych dniach operacji. W odpowiedzi Keir Starmer zaznaczył, że Waszyngton „nie ma strategicznego planu" tej wojny, nie do końca wie, co chce osiągnąć, a w takim przedsięwzięciu Wielka Brytania nie powinna uczestniczyć. Opozycja jest innego zdania. Nie przebierając w słowach, mówi, że strategia brytyjskiego rządu jest „tchórzliwa", a specjalne relacje amerykańsko-brytyjskie odchodzą do przeszłości właśnie w efekcie kunktatorstwa premiera.

Co gorsze, okazało się, że Royal Navy nie jest w stanie bronić brytyjskich baz na Cyprze, bo nie była przygotowana na taki rozwój wydarzeń i Londyn – o zgrozo – musiał poprosić o wsparcie Francuzów, którzy nie tylko podjęli stosowne decyzje, lecz także byli w stanie wysłać swoje okręty w rejon konfliktu.

Gorzką pigułką, którą musiał przy okazji przełknąć rząd Partii Pracy, były głośne pochwały Trumpa pod adresem Emmanuela Macrona. Ostatnio amerykański prezydent krytykował też decyzję Starmera o przekazaniu przez Londyn Mauritiusowi Wysp Chagos, na terenie których znajduje się amerykańsko-brytyjska baza lotnicza Diego Garcia. Wydaje się, że po wojnie ten spór wróci, i to ze zdwojoną siłą.

Macron nie tylko zdecydował się na wysłanie francuskich okrętów w rejon Zatoki Perskiej i poparł amerykańsko-izraelskie uderzenie, lecz także w drugim dniu wojny zapowiedział rewizję doktryny jądrowej Francji. W swym wystąpieniu podkreślał gotowość do rozpoczęcia współpracy z państwami europejskimi, w tym z Polską, a także zapowiedział rozbudowę potencjału ilościowego, nie precyzując skali tych planów. Warto zwrócić uwagę na to, że francuski prezydent podkreślał komplementarny do amerykańskiego parasola nuklearnego charakter tych propozycji i jednocześnie opisując przyszły „europejski" model odstraszania Rosji, budował wyraźną hierarchię wśród sojuszników.

> O ile Moskwa mogła przełknąć interwencję w Wenezueli, argumentując, że miała ona miejsce na półkuli zachodniej, w tradycyjnej „strefie amerykańskich interesów", o tyle atak na Iran dotyka już sfery rosyjskich wpływów. I to o znaczeniu strategicznym

Niemcy, wspólnie z którymi Francja powoła specjalną radę ds. dialogu nuklearnego, a także budowy zdolności odstraszania konwencjonalnego, są państwem numer jeden we francuskiej geografii strategicznej. Ważnymi, ale nie pierwszej rangi sojusznikami są pozostali partnerzy tego dialogu, czyli Polska, Szwecja, Dania, Belgia i Holandia. Pozostałe kraje, wliczając w to sąsiednie Włochy, z którymi relacje Paryża znacznie się pogorszyły w ostatnim czasie, sytuują się na dalszych pozycjach tego „rankingu". Propozycja Macrona – i to w niej najważniejsze – nie ma na celu zastąpienia amerykańskich zdolności, lecz jest raczej komunikatem adresowanym również do Waszyngtonu, iż Paryż chętnie odegra w Europie rolę najlepszego, bo najlepiej wojskowo przygotowanego, „modelowego sojusznika" Ameryki.

O czymś podobnym myśli Friedrich Merz, który w minionym tygodniu był w Białym Domu. Nie tylko poparł amerykańsko-izraelskie ataki na Iran, lecz także milczał, kiedy w jego obecności Trump ostro krytykował Madryt. Wściekłość amerykańskiego prezydenta, który polecił zerwać z Hiszpanią stosunki handlowe, wywołała nie tylko krytyka uderzenia na Iran ze strony premiera Sáncheza, lecz także odmowa wykorzystania przez Amerykanów hiszpańskich baz lotniczych. Najprawdopodobniej Sánchez zapłaci za swą postawę utratą władzy w zbliżających się wyborach, a Hiszpania staje się pierwszym kandydatem na liście państw, z których Amerykanie mogą się wojskowo wycofać.

Amerykańsko-izraelski atak na Iran już po kilku dniach doprowadził do znaczących przetasowań politycznych nie tylko w regionie, lecz także o globalnym charakterze. Wszystkie państwa zaczęły się pozycjonować, bo pogłoski o zmierzchu amerykańskiej potęgi okazały się przedwczesne.

Można by zapytać, gdzie w tym wszystkim jest Polska. Trudno jednak będzie o jakąkolwiek odpowiedź, gdyż rząd Donalda Tuska jest zajęty forsowaniem programu SAFE, którego jednym z głównych celów jest zablokowanie możliwości zakupu amerykańskiego uzbrojenia. Pozytywny test, który przechodzi ono na polu walki w Iranie, nie ma dla naszego rządu większego znaczenia.

eprasa.pl a50cb05137

Prezes wszystkiego bierze media

Larry Ellison

David Ellison

David Ellison, syn założyciela Oracle, marzył kiedyś o karierze aktorskiej w Hollywood. Zamiast tego wraz z ojcem stał się jedną z najpotężniejszych postaci w branży rozrywkowej. Teraz jest o krok od przejęcia Warner Bros. Discovery, co pozwoli mu zbudować imperium medialne w kontrze do liberalnego mainstreamu

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

21 stycznia 2025 r., dzień po swojej drugiej inauguracji prezydenckiej, Donald Trump wszedł do Sali Roosevelta w Białym Domu w towarzystwie trzech miliarderów. Zamierzał ogłosić ważną inicjatywę w dziedzinie sztucznej inteligencji. Towarzyszącym mu prezesom firm big tech – Samowi Altmanowi z OpenAI, Masayoshiemu Sonowi z SoftBanku oraz Larry'emu Ellisonowi z Oracle – nie szczędził ciepłych słów. „Ci ludzie reprezentują ogromny talent i pieniądze" – zaznaczył Trump. Najwięcej pochwał zachował jednak dla Ellisona, którego talenty – jego zdaniem – wykraczają „daleko poza nowe technologie". „Jest on swego rodzaju prezesem wszystkiego" – dodał prezydent USA.

NOWE IMPERIUM

Trump mógł mieć na myśli to, że Oracle, współtwórcą którego był Ellison w 1977 r., stało się kluczowym dostawcą infrastruktury chmurowej, umożliwiającej rozwój sztucznej inteligencji. Ale jeśli – jak pisze „Columbia Journalism Review" – weźmiemy pod uwagę syna Larry'ego Davida Ellisona, nadany mu przez Trumpa tytuł „prezesa wszystkiego" nabiera proroczego charakteru. W lipcu ub.r. Brendan Carr, mianowany przez prezydenta przewodniczącym Federalnej Komisji Łączności (FCC), zatwierdził wartą 8 mld dol. fuzję

Fot. Field/Shutterstock.com, Ga Fullner/Shutterstock.com

eprasa.pl a50cb05137

Skydance Media i Paramount Global, właściciela CBS. W wyniku tej transakcji David został prezesem nowego giganta medialnego, Paramount Skydance. Ellisonowie kontrolują również amerykańską spółkę zależną TikToka. A teraz nieoczekiwanie pokonali znacznie większego gracza – Netflixa – w zaciętym wyścigu o przejęcie Warner Bros. Discovery, do którego należą m.in. CNN, HBO, Comedy Central oraz polski TVN.

Niecały rok temu David Ellison był szefem wpływowego, choć relatywnie małego studia produkcyjnego. Teraz będzie miał okazję przejąć część Hollywood (w tym uniwersum DC Comics, franczyzy Harry Potter i Star Trek) oraz zbudować prawdziwe imperium medialne i streamingowe. Według samego zainteresowanego ta „historyczna" fuzja stworzy „globalną firmę medialno-rozrywkową nowego pokolenia".

Wśród wpływowych graczy w amerykańskiej polityce i mediach przejęcie przez Ellisonów najpierw Paramount, a teraz Warner Bros. Discovery jest postrzegane jako zwycięstwo prawicy w wojnie kulturowej. Ojciec i syn wielokrotnie odwiedzali Biały Dom podczas drugiej kadencji Trumpa. David, który w przeszłości finansował m.in. kampanię Joe Bidena, według „The Wall Street Journal" miał obiecać prezydentowi, że jeśli kupi CNN, wprowadzi w nim radykalne zmiany.

SKAZANI NA ZAGŁADĘ

Można wręcz powiedzieć, że wycofanie się Netflixa z wyścigu o Warner Bros. wywołało panikę w liberalnych mediach oraz kręgach politycznych i filmowych za oceanem. Sprzeciw wyraził zarówno Amerykański Związek Zawodowy Scenarzystów (Writers Guild of America – WGA), który wezwał do zablokowania transakcji, a także wielu polityków demokratów. Senator Elizabeth Warren stwierdziła, że „garstka miliarderów powiązanych z Trumpem próbuje przejąć kontrolę nad tym, co oglądasz". Według brytyjskiego „The Guardian" pracownicy CBS News oraz CNN „spodziewają się katastrofy". Wielu z nich po przeczytaniu wiadomości o osiągniętym dealu uciekało się do przekleństw. „Wszyscy jesteśmy skazani na zagładę. To jak cmentarz, tyle że wszyscy panikują" – mieli powiedzieć gazecie. Także w rodzimym TVN zrobiło się nieco nerwowo. Nastroje stały się jeszcze bardziej ponure po tym, jak prezes Netflixa Ted Sarandos zadeklarował, że Trump był zainteresowany losem Warner Bros. Discovery głównie „z powodu CNN". Gdy okazało się, że Netflix chce przejąć tylko część filmową i streamingową spółki, „stracił zainteresowanie jakimkolwiek dealem". Trump wielokrotnie podkreślał, że CNN i MSNBC są „politycznymi ramionami Partii Demokratycznej". „Nie sądzę, żeby ludzie, którzy obecnie zarządzają tą firmą i CNN, a są to bardzo nieuczciwi ludzie, powinni móc dalej to robić" – powiedział wówczas Trump. W zeszłym miesiącu zaapelował także do Netflixa o natychmiastowe zwolnienie członkini zarządu giganta streamingowego Susan Rice po tym, jak była urzędniczka administracji Baracka Obamy stwierdziła, że korporacje medialne, które „ugięły się" pod naciskami republikanów, nie powinny oczekiwać łagodnego traktowania od demokratów, jeśli ci powrócą do władzy.

Regulatorzy muszą jeszcze udzielić zgody na fuzję, ale zakłada się, że skoro prezydent ją popiera, to jest ona bardziej niż pewna. Szczególnie oburzeni są tym aktywiści NGO trudzący się obroną wolności słowa. Rzecznik Fundacji Wolności Prasy (Freedom of the Press Foundation) Seth Stern zadeklarował, że „sprzedaż firm medialnych marionetkom Białego Domu jest nie tylko moralnie naganna, lecz także szkodliwa dla ich wyników finansowych". O tym, czy wypada być marionetką demokratów, jak wyżej wymieniona Susan Rice, Stern się nie zająknął.

RONIN Z SILICON VALLEY

Inni wskazywali na obcy kapitał, który ma być zawarty w ofercie Ellisonów, opiewającej na 110 mld dol. Kilka miesięcy temu Paramount poinformował, że pozyskał znaczących sponsorów dla swojego planu przejęcia Warner Bros. Discovery – trzy kraje Bliskiego Wschodu, które wniosą łącznie 24 mld dol. na zakup konglomeratu medialnego: Arabia Saudyjska, która wpłaciłaby 12 mld dol., oraz Abu Zabi i Katar, które wyłożyłyby pozostałą kwotę. Czy tak rzeczywiście się stanie, nie wiadomo. Ale jest to zgodne z polityką Trumpa, który chce zacieśnić więzi biznesowe z państwami Zatoki Perskiej. Ostatecznie jednak to rodzina Ellisonów będzie za chwilę kontrolować jeden z największych na świecie konglomeratów audiowizualnych i informacyjnych.

Ci, którzy śledzili karierę Larry'ego Ellisona, nie są bynajmniej zdziwieni obrotem spraw. Choć zbudował odnoszącą sukcesy firmę technologiczną, znany jest mniej jako wizjoner, a bardziej jako bezwzględny biznesmen, kultywujący wizerunek samuraja (jego jachty nazywają się „Ronin", „Musashi" oraz „Katana"). Osoby z jego otoczenia powiedziały „The New York Times", że lubi cytować Czyngis-chana, zwłaszcza słowa: „Zwycięstwo to za mało. Wszyscy inni muszą przegrać". Byli współpracownicy wspominają jego zamiłowanie do brutalnych metafor w dyskusjach

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl a50cb05137

o biznesie. W pewnym momencie został nawet oskarżony o grzebanie w śmietnikach konkurencji w poszukiwaniu informacji, które mógłby wykorzystać przeciwko niej. 81-letni miliarder tłumaczył to skromnymi i nader trudnymi początkami, które sprawiły, że musiał walczyć o swoje.

Ellison urodził się na Manhattanie jako syn samotnej matki pochodzenia rosyjsko-żydowskiego, która pozostawiła go pod opieką ciotki i wujka w pobliżu jeziora Michigan. W latach 70. przeprowadził się do Kalifornii, aby założyć firmę komputerową. Jednym z pierwszych kontraktów Oracle była współpraca z CIA w zarządzaniu bazami danych w czasach, gdy technologia ta była jeszcze w powijakach. Wówczas firma liczyła 10 pracowników i mniej niż 1 mln dol. rocznych dochodów. Po tym, jak IBM zdecydowało się na współpracę z Oracle, firma krok po kroku stała się gigantem technologicznym, co pozwoliło Larry'emu zgromadzić fortunę szacowaną na prawie 230 mld dol. – według indeksu miliarderów Bloomberga. Jesienią 2024 r. na krótko stał się nawet „najbogatszym człowiekiem świata", po czym spadł na drugie miejsce za Elona Muska.

PRZYJACIELE IZRAELA

W 2018 r. określał się jako centrysta, za którego uważa zresztą także sekretarza stanu Marco Rubio, ale wsparł kampanie kandydatów Partii Republikańskiej milionami. Oracle było także jednym ze sponsorów parady wojskowej prezydenta w czerwcu 2025 r. w Waszyngtonie. Ellison od dawna jest również zwolennikiem Izraela i przyjacielem premiera Binjamina Netanjahu: w 2017 r. przekazał 16,6 mln dol. organizacji Friends of the IDF (Przyjaciele Sił Obronnych Izraela), a po ataku Hamasu z 7 października 2023 r. Oracle tymczasowo podwoiło pensje wszystkich pracowników w Izraelu i zadeklarowało „solidarność z Tel Awiwem" podczas wojny w Strefie Gazy. Ellison wielokrotnie proponował Netanjahu miejsce w radzie nadzorczej Oracle.

Tymczasem jego syn David został opisany na łamach magazynu „GQ" jako „człowiek, który kupił sobie drogę do Hollywood, bo był bogaty, i pozostał tam, bo coś potrafił". Nie było to raczej aktorstwo, bo tu poległ na całej linii. Po raz pierwszy spróbował swoich sił na srebrnym ekranie w 2006 r., produkując i występując w filmie „Flyboys" u boku Jamesa Franco. David prywatnie jest pasjonatem lotnictwa oraz akrobacji lotniczych. Film okazał się jednak komercyjną porażką, ale Ellison nie poddał się i nie zrezygnował z Hollywood. Dzięki wsparciu finansowemu ojca założył firmę produkcyjną Skydance. W ciągu ostatnich dwóch dekad wyprodukowała ona kilka udanych obrazów, w tym filmy z serii „Mission: Impossible" i „Top Gun". Jego siostra Megan również wylądowała w przemyśle filmowym. Dzięki wsparciu finansowemu ojca założyła firmę producencką Annapurna, w której według „Columbia Journalism Review" wykazała się większą wrażliwością artystyczną niż jej brat, produkując kilka uznanych przez krytyków i nagrodzonych Oscarem filmów, takich jak „Ona" i „Wróg numer jeden" (Zero Dark Thirty).

> Wśród wpływowych graczy w amerykańskiej polityce i mediach przejęcie przez Ellisonów najpierw Paramount, a teraz Warner Bros. Discovery jest postrzegane jako zwycięstwo prawicy w wojnie kulturowej

42-letniego Davida trudniej zaszufladkować politycznie niż jego ojca. W 2024 r. przekazał prawie 1 mln dol. na kampanię reelekcyjną Joe Bidena, ale od tego czasu był fotografowany z Trumpem, m.in. na ringu podczas walki UFC. Obejmując stanowisko dyrektora generalnego w CBS, od razu wziął się za ograniczenie polityki DEI (Diversity, Equity, Inclusion – Różnorodność, Sprawiedliwość, Włączanie). Powołał również Bari Weiss, dziennikarkę anty „woke" i proizraelską, na stanowisko redaktor naczelnej CBS News. Ellison zapowiedział także redukcję kosztów w swoim imperium o 6 mld dol., szczególnie po nabyciu Warner Bros. Discovery, a to siłą rzeczy oznacza zwolnienia. Fuzja stworzy bowiem koncern medialny, którego zadłużenie netto będzie wynosić ok. 79 mld dol.

MAGNACI TRUMPA

Złośliwcy twierdzą, że obaj Ellisonowie to oportuniści, którzy „wyczuli pismo nosem" i związali się z Trumpem, bo wiedzieli, że umożliwi im to rozbudowę ich medialnego i filmowego imperium. W 2024 r. Skydance było w poważnych tarapatach finansowych, ale dzięki administracji w Waszyngtonie udała im się ucieczka do przodu poprzez nabycie Paramount, a teraz Warner Bros. Discovery. David Ellison wielokrotnie spotkał się w tej sprawie z prezydentem, aby uzyskać wsparcie polityczne, oraz zatrudnił kilkanaście firm konsultingowych, które lobbowały w jego imieniu.

Media za oceanem z oburzeniem wskazują na kolejnych miliarderów, którzy podobnie jak Ellisonowie „za pomocą koneksji politycznych" realizują swoje osobiste cele. Ich zadaniem w tym gronie obok Ellisonów są Elon Musk, Jeff Bezos i Peter Thiel. Ci miliarderzy z ich niejasną agendą – jak argumentują liberalno-lewicowi krytycy – będą teraz mieli znaczący wpływ na informacje przekazywane Amerykanom w tradycyjnych mediach, a także mediach społecznościowych, które kontrolują Musk oraz Mark Zuckerberg, właściciel koncernu Meta, który zadeklarował w podkaście Joe Rogana, że „Trump chce, by Ameryka wygrała".

Co Ellisonowie zrobią z nowo zdobytą kontrolą nad Warner Bros. Discovery, na razie pozostaje oczywiście kwestią otwartą. Wszystko wskazuje jednak na to, że raczej nie zmienią uznanych marek medialnych w identyczne kopie Fox News, wliczając w to TVN, bo nie miałoby to żadnego biznesowego sensu. Niemniej wahadło wojny kulturowej przesunie się jeszcze bardziej w kierunku prawicowym, co najmniej za oceanem. Jedno jest pewne: Ellisonowie pozostaną z nami na długo – jako główni potentaci medialni ery Trumpa.

eprasa.pl a50cb05137

Globalny fake news jak prawda objawiona

Kościół katolicki w Kanadzie padł ofiarą największej akcji dezinformacyjnej w XXI w. Nikt nie zamierza go jednak przepraszać

GRZEGORZ GÓRNY

Pod koniec lutego w Montrealu spłonął doszczętnie zabytkowy, ponad 100-letni kościół św. Pawła. W momencie powstawania tego tekstu przyczyna pożaru nie została jeszcze ustalona przez śledczych. Do zdarzenia doszło jednak w czasie, gdy podpalenia świątyń katolickich w Kanadzie osiągnęły rozmiary epidemii. Liczba ataków z nienawiści na obiekty chrześcijańskie w tym kraju gwałtownie wzrosła w ciągu ostatnich kilku lat. Od wiosny 2021 r. aż do dziś ponad 120 kościołów, w większości katolickich, zostało spalonych, zdewastowanych lub zbezczeszczonych.

ZAKONNICE JAKO MORDERCZYNIE

By zrozumieć przyczyny tego zjawiska, musimy się cofnąć do maja 2021 r., gdy jedna z lewicowych aktywistek, Sarah Beaulieu, ogłosiła, że za pomocą georadaru odkryła masowy grób 215 dzieci na terenie dawnej katolickiej szkoły z internatem dla Indian w Kamloops w Kolumbii Brytyjskiej. Wkrótce potem pojawiły się wieści o następnym bezimiennym cmentarzysku indiańskich dzieci z plemienia Cowessess, zakopanych obok dawnej katolickiej szkoły rezydencjalnej w Marieval w prowincji Saskatchewan. Tam odnaleziono podobno 751 szkieletów. Potem przyszły podobne doniesienia o kolejnych makabrycznych znaleziskach.

Temat szybko podjęły media, dzięki którym miliony Kanadyjczyków miały możliwość po raz pierwszy dowiedzieć się o czarnej karcie z historii ich kraju. W niezliczonych programach telewizyjnych, audycjach radiowych i tekstach prasowych zaczęto rozpowszechniać informacje, że na przełomie XIX i XX w. indiańskie dzieci w katolickich placówkach wychowawczych były masowo bite, dręczone i mordowane przez swych opiekunów: księży, zakonników oraz siostry zakonne. Liczni dziennikarze, publicyści i komentatorzy wprost mówili o „ludobójstwie", którego dopuszczono się na rdzennej ludności Kanady.

Potworna zbrodnia nigdy nie wyszłaby na jaw, gdyby nie – jak podkreślano – odkrycie masowych grobów ofiar.

Ta narracja poszła w świat. Także w Polsce powtórzyło ją wielu autorów, m.in. Tomasz Terlikowski, który w 2021 r. na łamach „Rzeczpospolitej" pisał: „To, co działo się w szkołach rezydencjalnych w Kanadzie, było zbrodnią. Zbrodnią przeciw kolejnym dzieciom, rodzinie, przeciw lokalnym kulturom. Kościół katolicki – wraz z innymi wspólnotami wyznaniowymi – choć owej zbrodni nie wymyślił, to w niej uczestniczył".

PAPIEŻ PRZEPRASZA ZA ZBRODNIE

Do dyskusji włączyły się najważniejsze osobistości i instytucje kanadyjskiego życia publicznego, potępiając haniebne praktyki Kościoła katolickiego z przeszłości. Rząd nakazał opuszczenie kanadyjskich flag narodowych do połowy masztu. Parlament ustanowił nowe święto – Dzień Prawdy i Pojednania, poświęcony pamięci małoletnich ofiar. Premier Justin Trudeau zorganizował pamiętną sesję zdjęciową – przybył z pluszowym misiem do Marieval w Saskatchewan, gdzie ukląkł na miejscu rzekomej masowej mogiły i przeprosił za chrześcijańskie zbrodnie. Media zignorowały wówczas uwagi Cadmusa Delorme'a, wodza Indian z plemienia Cowessess, który zauważał, że przecież nie jest to żaden grób szkoły rezydencjalnej, lecz zwykły katolicki cmentarz.

Premier Trudeau nie poprzestał na tym geście, wzywając papieża Franciszka, by ten przybył z pielgrzymką pokutną do Kanady i przeprosił za zbrodnie Kościoła dokonane w szkołach rezydencjalnych. W lipcu 2022 r. Ojciec Święty przyleciał do Kanady, gdzie przeprosił za udział chrześcijan w owym dziele zniszczenia. Dla wielu komentatorów wspomniane przeprosiny okazały się jednak niepełne i niewystarczające, ponieważ papież nie wspomniał o ponurej roli instytucji Kościoła w zbrodniczym

eprasa.pl a50cb05137

Rzekome zbrodnie Kościoła katolickiego wstrząsnęły Kanadą

procederze dzieciobójstwa. Niektóre parafie katolickie w geście przeprosin i prośby o przebaczenie wywieszały przy wejściach do świątyń dziecięce buciki, symbolizujące ofiary kościelnych mordów.

Te gesty na nic się jednak zdały, ponieważ kampania medialna, przedstawiająca Kościół jako zorganizowaną grupę przestępczą dokonującą okrutnych zbrodni i ukrywającą ślady przestępstw, wytworzyła atmosferę pogromową. W efekcie ponad 120 kościołów w całym kraju padło ofiarą aktów wandalizmu, zniszczeń lub podpaleń. Żaden ze sprawców nie został zatrzymany przez policję. Co więcej, ich postępowanie było usprawiedliwiane przez kanadyjskich polityków z premierem Justinem Trudeau na czele.

Rezultatem tej kampanii stała delegitymizacja moralna katolicyzmu w oczach opinii publicznej. Wiele osób odeszło wówczas z Kościoła, ponieważ nie chciało mieć nic wspólnego z tą zorganizowaną grupą przestępczą. Każdy, kto próbował kwestionować prawdziwość doniesień o bezimiennych przyszkolnych cmentarzyskach, był z kolei oskarżany o negacjonizm i porównywany do tych, którzy zaprzeczają Holocaustowi Żydów podczas II wojny światowej.

JEDNO WIELKIE KŁAMSTWO

Żeby rozwiać wszelkie wątpliwości, władze Kanady powołały do życia instytucję o nazwie Krajowa Komisja ds. Badania Szkół Rezydencyjnych, Zaginionych Dzieci i Nieoznakowanych Pochówków. Miała ona wyjaśnić wszystkie okoliczności potwornych zbrodni. Po ponad trzech latach pracy rząd Kanady zdecydował się jednak zamknąć wspomnianą instytucję. Dlaczego? Ponieważ w tym czasie nie udało się znaleźć ani jednego grobu indiańskiego dziecka przy dawnej katolickiej placówce edukacyjnej. Ani jednego!

Komisja wydała na poszukiwania takich pochówków aż 216,5 mln dol. Jej członkowie wykazywali dużą determinację, by odnaleźć owe mogiły, ponieważ sami byli przekonani o ich istnieniu, a także chcieli udowodnić sensowność działalności swojej instytucji. Mimo zakrojonych na szeroką skalę poszukiwań nie udało się odnaleźć ani jednego grobu lub choćby śladu indiańskiego dziecka doprowadzonego do śmierci w katolickim ośrodku wychowawczym.

Okazało się, że zamiast 215 rzekomych grobów w Kamloops w Kolumbii Brytyjskiej odkryto 200 „anomalii glebowych". W Marieval z kolei domniemana zbiorowa mogiła ofiar ludobójstwa okazała się (tak jak ostrzegał wódz plemienia Cowessess) zwykłym cmentarzem misji katolickiej, gdzie byli pochowani ludzie różnego wieku i różnego pochodzenia. Ostatecznie Komisja Prawdy i Pojednania nie znalazła ani jednego wiarygodnego dowodu na zamordowanie jakiegokolwiek indiańskiego dziecka w całej historii systemu szkół rezydencjalnych w Kanadzie.

CZY SYSTEM SŁUŻYŁ „LUDOBÓJSTWU"?

Jak wobec tego wyglądała rzeczywistość? System szkół rezydencjalnych, czyli placówek edukacyjnych z internatami dla indiańskich dzieci, działał w Kanadzie przez prawie 130 lat: od 1867 do 1996 r. W tym czasie przeszło przez nie ok. 150 tys. osób. Celem ośrodków było włączenie rdzennych mieszkańców do głównego nurtu kanadyjskiego życia publicznego pod względem ekonomicznym, politycznym i społecznym. Były to instytucje państwowe, lecz zarządzane głównie przez Kościoły, ponieważ rząd nie miał własnej infrastruktury w odległych prowincjach, takich jak Saskatchewan, Kolumbia Brytyjska, Alberta czy Manitoba. Ok. 60 proc. placówek prowadzili katolicy, 25 proc. anglikanie, a pozostałe – prezbiterianie, metodyści, kongregacjonaliści i przedstawiciele innych wyznań protestanckich.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl a50cb05137

Wbrew temu, co utrzymywało wielu publicystów, system nie był przymusowy, lecz dobrowolny. W rzeczywistości do szkół rezydencjalnych uczęszczało tylko ok. 33 proc. indiańskich dzieci – pozostali chodzili do szkół dziennych na terenie rezerwatów lub w ogóle nie korzystali z edukacji szkolnej.

Czy system miał na celu „ludobójstwo" rdzennych mieszkańców Kanady? Okazuje się, że od czasu powstania pierwszych szkół rezydencjalnych w 1867 r. aż do 2021 r. populacja indiańska w kraju wzrosła ze 125 tys. do 1,8 mln mieszkańców, a więc kilkunastokrotnie. W obliczu tych danych trudno utrzymać twierdzenia o eksterminacji rdzennej ludności Kanady.

W tej sytuacji wysuwany jest zarzut „ludobójstwa kulturowego", którego miano dokonywać w szkołach rezydencjalnych. Argument ten dotyczy szerszego problemu asymilacji i integracji kulturowej Indian w anglojęzycznym społeczeństwie. W rzeczywistości system nie był monolitem. Istniały szkoły rezydencjalne, w których zakazywano używania języków plemiennych, były też takie (np. prowadzone przez zakon oblatów), w których do tego nakłaniano. Istnieje wiele świadectw mówiących o tym, że wychowawcy i nauczyciele zachęcali dzieci do pielęgnowania swych rdzennych tradycji, np. sztuki, pieśni czy tańców. Badania z 2017 r. wykazały, że indiańscy uczniowie szkół rezydencyjnych rzadziej sięgali po narkotyki lub alkohol niż dzieci uczęszczające do innych placówek edukacyjnych. Mniejsza była tam też zapadalność na ciężkie choroby, takie jak np. gruźlica. Wiele placówek cieszyło się zresztą uznaniem rdzennej ludności. Gdy w 1970 r. planowano zamknięcie szkoły Blue Quills, miejscowa społeczność indiańska protestowała przeciwko temu. Czy można wyobrazić sobie taką reakcję, gdyby we wspomnianym ośrodku dokonywano ludobójstwa?

BLASKI I CIENIE

Oczywiście w szkołach z internatami zdarzało się wiele nadużyć, takich jak przemoc fizyczna, znęcenie się psychiczne czy molestowanie seksualne. Nie były to jednak działania systemowe. Takie problemy trapiły wówczas wiele instytucji tego typu, także na Wyspach Brytyjskich. By się o tym przekonać, wystarczy przeczytać inspirowane autentycznymi wydarzeniami powieści Charlesa Dickensa „Nicholas Nickleby" czy Charlotte Brontë „Jane Eyre". Także stosowane wówczas kary cielesne wobec uczniów nie były niczym wyjątkowym – w tamtych czasach należały raczej do standardowych rozwiązań.

> Chociaż Komisja Prawdy i Pojednania przez trzy lata nie znalazła żadnego dowodu na choćby jeden mord dokonany na indiańskim dziecku w szkołach rezydencjalnych w Kanadzie, dziś tamtejsi dziennikarze wolą o tym nie mówić. Prawda na ten temat nie przebija się do opinii publicznej

Nic więc dziwnego, że do dziś żyją wychowankowie szkół rezydencjalnych, którzy opowiadają o edukacji w tych placówkach jako o jednym z najwspanialszych okresów w swoim życiu, a są też tacy, którzy wspominają ją jak najgorszy koszmar. Ale czyż nie tak samo niektórzy z nas traktują nasze lata szkolne?

Warto też osadzić omawianą sprawę w jej kontekście historycznym. Jak przypomina kanadyjski pisarz Michael Buhler: „W czasach systemu szkół rezydencjalnych istniał również program British Home Children, w ramach którego ponad 100 tys. biednych dzieci zostało odebranych zubożałym rodzicom w Anglii i wysłanych za granicę do Kanady, gdzie pracowały jako tania siła robocza w gospodarstwach rolnych w całym Dominium. W Nowej Szkocji istniały również Domy Ubogich, gdzie biedne dzieci i dorośli byli praktycznie więzieni do końca życia, uprawiając ziemię, aby zdobyć większość pożywienia, w warunkach pełnych przemocy".

Wspomniana praktyka nie dotyczyła bynajmniej dzieci indiańskich, a jej celem nie była eksterminacja. Taki panował wówczas system społeczny i takie stosowano rozwiązania. Dopiero w tym kontekście można zrozumieć funkcjonowanie szkół rezydencjalnych, które miały zarówno jasne, jak i ciemne strony, ale na pewno nie były instytucjami stawiającymi sobie za cel eliminację jakiejkolwiek grupy społecznej.

CZY KTOŚ POWIE „PRZEPRASZAM"?

Chociaż Komisja Prawdy i Pojednania przez trzy lata nie znalazła żadnego dowodu na chociażby jeden mord dokonany na indiańskim dziecku w szkołach rezydencjalnych w Kanadzie, dziś tamtejsi dziennikarze wolą o tym nie mówić. Prawda o tym, że nie znaleziono ani jednego z tak skrupulatnie poszukiwanych grobów, nie przebija się do opinii publicznej.

Media, które wcześniej poświęcały dziesiątki, a nawet setki tekstów rzekomemu ludobójstwu dokonanemu przez chrześcijan, teraz milczą na temat rzeczywistych ustaleń. A mieliśmy przecież do czynienia z jednym z największych oszustw w historii, które przez kilka lat było powtarzane na całym świecie niemal jak prawda objawiona. Zmuszono nawet papieża, by publicznie przeprosił za grzechy, które nie istniały.

Czy ktoś przeprosi teraz Kościół katolicki za te oszczerstwa? Czy wymiar sprawiedliwości zacznie poszukiwać sprawców podpaleń? Czy powołana zostanie specjalna komisja do zbadania kulis największej kampanii dezinformacyjnej w XXI stuleciu? Oczywiście są to pytania retoryczne. Chrystianofobia kanadyjskich elit jest tak potężna, że raczej nie należy się spodziewać słowa „przepraszam".

eprasa.pl a50cb05137

Polska umiera w biały dzień

Nie mówmy już o kryzysie czy dramacie – to jest katastrofa, czarna dziura powodująca wymieranie i wyludnianie się naszego kraju – mówią dane na temat sytuacji demograficznej Polski

JERZY SZMIT

25 lutego br. w Sali Kolumnowej Sejmu odbyła się Konferencja #DemografiaOdNowa. Organizatorami byli: Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego, Stowarzyszenie OdNowa RP i Związek Dużych Rodzin „Trzy Plus". Konferencję wsparł poseł Andrzej Gut-Mostowy, przewodniczący Parlamentarnego Zespołu ds. Dużych Rodzin. Licznej grupie posłów i senatorów przewodziło dwóch wicemarszałków Sejmu – Krzysztof Bosak i Szymon Hołownia. W konferencji bardzo aktywnie uczestniczyli ministrowie, którzy w poprzednich latach zajmowali się sprawami rodziny. Najliczniejszą grupę uczestników stanowili przedstawiciele ruchów, stowarzyszeń i związków działających na rzecz poprawy warunków życia rodzin, szczególnie posiadających dzieci.

NAJGORZEJ OD 200 LAT

Nie mówimy już o kryzysie czy dramacie – to jest katastrofa, czarna dziura powodująca wymieranie i wyludnianie się naszego kraju – tak wyglądała prezentacja danych na temat sytuacji demograficznej Polski.

W 2017 r. urodziło się w Polsce 404 tys. dzieci, a w 2025 r. – 238 tys. – najmniej od 200 lat! Współczynnik dzietności wynosi obecnie 1,1, co oznacza, że 10 kobiet w wieku rozrodczym ma statystycznie 11 dzieci. Ok. 11 proc. rodzin wielodzietnych wychowuje 30 proc. dzieci w Polsce, co pokazuje, jak nierówno są rozłożone wysiłki rozwoju demograficznego.

Podczas konferencji przede wszystkim zwrócono uwagę na potrzebę działań długofalowych, zmieniających sposób patrzenia na rodzinę – szczególnie wielodzietną – i zauważanie jej roli w społeczeństwie.

Wielu ekspertów wskazywało, że narzucany model kultury kształtują media, internet, reklama, kinematografia, teatr, a nawet malarstwo i muzyka. Promują one zachowania egoistyczne, nastawione wyłącznie na indywidualną przyjemność, życie dniem dzisiejszym, a nawet chwilą. Relacje między ludźmi mają być powierzchowne, bez zobowiązań, budowane na krótkotrwałych i zmiennych emocjach. Dominujący w przekazie model rodziny to otoczenie nakładające na swoich członków bolesne ograniczenia, często środowisko patologiczne, gdzie jednostka, aby przetrwać, musi podejmować próby odrzucenia i wyrwania się z niego.

> W 2017 r. w naszym kraju urodziło się 404 tys. dzieci, a w 2025 r. – 238 tys. – najmniej od 200 lat! Ok. 11 proc. rodzin wielodzietnych wychowuje 30 proc. dzieci w Polsce, co pokazuje, jak nierówno są rozłożone wysiłki rozwoju demograficznego

Oczywiście miejsce spotkania oraz udział polityków najwyższego szczebla skłoniły do przypominania postulatów dotyczących sfery politycznej i ekonomicznej: ustawa o rodzinach wysoko wielodzietnych, głosowanie rodzinne, iloraz podatkowy, emerytura rodziców wsparta składkami dzieci, skończenie z dyskryminacją rodziców wychowujących dzieci w domu.

Zwróćmy uwagę, że w przestrzeni publicznej coraz częściej pada eleganckie sformułowanie „kryzys demograficzny". No cóż, jeszcze jeden kryzys: kryzys autorytetów, kryzys polityczny, kryzys zaufania, kryzys finansów publicznych, kryzys służby zdrowia, kryzys humanitarny, kryzys na Bliskim Wschodzie, kryzys klimatyczny... Kryzysy traktujemy już jako stan normalny. Trudno, żeby było inaczej. Gdybyśmy reagowali na wszystkie próby przestraszenia nas zagrożeniami, jakie atakują nas ze wszystkich stron, normalne życie nie byłoby możliwe. Niestety kryzys demograficzny, a mówiąc konkretniej – dramatyczny spadek liczby urodzin, jest mało spektakularny, choć ilustracją go liczby: 200 tys., 400 tys., współczynniki, wykresy. By dostrzec zagrożenia, trzeba się otworzyć na wiedzę i uruchomić wyobraźnię.

* * *

Jedną z panelistek konferencji w Sejmie była ***Joanna Krupska***, współzałożycielka i przewodnicząca Krajowej

eprasa.pl a50cb05137

Rady Związku Dużych Rodzin „Trzy Plus", która przedstawiła postulaty tego stowarzyszenia. Poprosiliśmy ją o rozmowę.

W czasie konferencji w Sejmie prezentowano wiele propozycji naprawy sytuacji rodzin z dziećmi.

Zacznijmy od ustawy o rodzinach wysoko wielodzietnych. Wśród rodzin wielodzietnych ok. trzy czwarte to rodziny z trójką dzieci, ale nie możemy zapominać, że w pojęciu wielodzietności mieszczą się także rodziny, które nazywamy wysoko wielodzietnymi, mające pięcioro lub więcej dzieci. Największą rodziną, którą spotkaliśmy, była rodzina z 21 dzieci (z jednej matki i jednego ojca). Życie takich rodzin jest szczególnie wymagające. Możliwe obszary wsparcia to obniżenie opłat za śmieci, dopłaty do czynszu, szybki dostęp do opieki medycznej, przedłużenie 800+ do końca studiów dzieci, ułatwienia w powiększeniu powierzchni mieszkania, uregulowanie kwestii transportu dla rodzin z ośmiorgiem dzieci – kierowca 10-osobowego samochodu musi zrobić prawo jazdy na autobus – zwolnienie ze służby wojskowej dla ojców. Rodzin wysoko wielodzietnych jest w Polsce niedużo, więc ich wsparcie nie byłoby bardzo obciążające dla budżetu państwa.

Przypominano postulat dotyczący ilorazu podatkowego, czyli dzielenia dochodów w rodzinie przez liczbę dzieci.

Obecny system podatkowy dyskryminuje rodziny bazujące na formalnie zawartym związku małżeńskim, pozwalając rozliczać się z dziećmi wyłącznie samotnym rodzicom lub rozwiedzionym małżeństwom. Zawieranie związku małżeńskiego przy obecnym systemie (zwłaszcza gdy jest więcej dzieci w rodzinie) jest nieopłacalne. Ten system finansowo zachęca do rozwodów i separacji lub po prostu niezawierania małżeństwa. Wprowadzenie ilorazu podatkowego pozwalałoby na uzależnienie obciążeń podatkowych od liczby osób w rodzinie i zarazem zlikwidowałoby dyskryminację podatkową małżeństw. Dochód byłby opodatkowany po podziale na liczbę osób w rodzinie, dzięki czemu odpowiednio później przechodziłoby się do wyższego progu podatkowego.

Omawiano też ideę głosowania rodzinnego, czyli dodatkowych głosów wyborczych dla rodzin, które wychowują dzieci.

W Polsce będzie coraz większy procent ludzi starszych, a coraz mniejszy rodzin z dziećmi, czyli wpływ tych ostatnich na wybory polityczne będzie się zmniejszał. Głosowanie rodzinne to dodatkowe głosy dla obecnych rodziców proporcjonalnie do liczby wychowywanych dzieci. Wtedy decydenci bardziej będą się z nimi liczyć, podejmując decyzje korzystniejsze dla obecnych i przyszłych pokoleń.

Kolejny postulat dotyczy emerytur.

System emerytalny nie widzi pracy opiekuńczo-wychowawczej wykonywanej przez rodziców w domu. Więcej dzieci to niższa emerytura. Proponujemy, by rodzice otrzymywali świadczenie emerytalne podwyższone o część składek odprowadzonych przez każde z ich dorosłych i pracujących dzieci.

Poruszono też temat równouprawnienia różnych form opieki nad dzieckiem do lat trzech, w tym opieki osobistej.

Świadczenie „Aktywny rodzic" wynosi 1,5 tys. zł miesięcznie, jeśli obydwoje rodzice pracują zawodowo, ale tylko 500 zł, kiedy jedno z rodziców – najczęściej mama – zostaje w domu, by opiekować się dzieckiem. Taka preferencja dla pracy i dla instytucji żłobka nie musi być w Polsce korzystna demograficzne. Badania pokazują również, że większość rodziców chciałaby się osobiście opiekować swoim dzieckiem do ukończenia trzech lat. Należy wyrównać wartość tych trzech rodzajów świadczeń, żeby dać rodzicom realny wybór formy opieki nad dzieckiem.

eprasa.pl a50cb05137

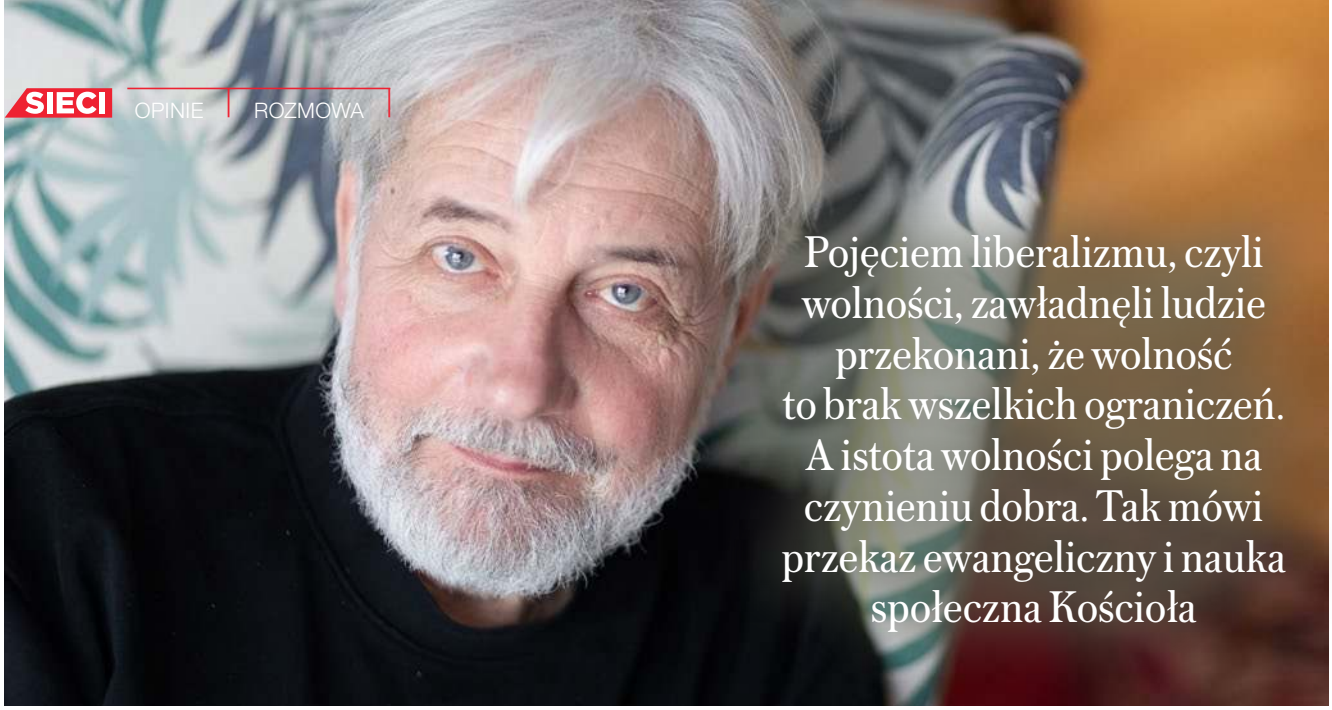

Fot. Andrzej Wiktor

Każdy opór wobec kłamstwa i zła ma sens

Z Pawłem Nowackim, współtwórcą niezależnego ruchu wydawniczego w latach 70. XX w., producentem filmowym, dokumentalistą, rozmawia Jerzy Szmit

Należy pan do wąskiej grupy osób, które w latach 70. XX w. rozpoczęły tworzenie drugiego obiegu wydawniczego w Polsce. Wówczas nielegalnego, łamiącego komunistyczną cenzurę.

Paweł Nowacki: Nie czuliśmy, że robimy coś nielegalnego, lecz raczej, że to komunizm był nielegalny. To było pół wieku temu. Pierwszy powielacz trafił do Lublina 10 albo 11 maja 1976 r. Kupił go w Paryżu Piotr Jegliński i zawiózł do Londynu. Tam występowała Scena Plastyczna KUL. Wit Wojtowicz, członek tej grupy teatralnej, ukrył go w sprzętach teatralnych i i przywiózł do Polski. Wcześniej inicjatorami idei publikacji poza zasięgiem PRL-owskiej cenzury byli studenci historii KUL: Janusz Krupski, Piotr Jegliński i Bogdan Borusewicz. Ich próby fotograficzne były nieudane i postanowili sprowadzić z Zachodu powielacz. Udało się w maju 1976 r. Mieliśmy już wtedy zorganizowaną grupę studentów. Zebrał nas Janusz Krupski. Nadszedł Czerwiec 1976 r. i protesty w Ursusie, Radomiu, Płocku. Drukowaliśmy informacje o represjach, biciu, „ścieżkach zdrowia", procesach wytaczanych robotnikom. Drukowaliśmy na powielaczu pierwsze komunikaty KOR. W styczniu 1977 r., po decyzji Janusza Krupskiego i Antoniego Macierewicza, zaczęliśmy drukować „Zapis" – pismo literackie publikujące to, co zostało zdjęte przez cenzurę lub nie miało szansy na oficjalny obieg. Wtedy padła nazwa Nieocenzurowana Oficyna Wydawnicza, zmieniona później na Niezależną Oficynę Wydawniczą (NOWA).

Potem były „Spotkania".

Tak, „Spotkania" – Niezależne Pismo Młodych Katolików. Dla nas było szczególnie ważne jako ideowy głos naszego pokolenia. Już wtedy zaczynaliśmy rozumieć, że pod hasłem walki z komuną skrywają się bardzo różne wybory ideowe i polityczne. Dlatego „Spotkania" były głosem niezależnych katolików wyznających tradycyjne wartości, ale kierowanym do wszystkich ludzi „dobrej woli". Redakcję „Spotkań" tworzyła kilku-, potem kilkunastoosobowa grupa studentów KUL: Janek Stepek, Maciej Sobieraj, Zdzisław Bradel, Stefan Szaciłowski, Wit Karol Wojtowicz, Wojtek Butkiewicz, Michał Zulauf, Zenek Mazurczak, Krzyś Paczuski. Od drugiego numeru dołączył nieco starszy od nas Janusz Bazydło. W Krakowie współpracowaliśmy z Józkiem Ruszarem i Wojtkiem Oraczem, ale w kolejnych latach dołączyli następni. Jednoznacznym liderem był Janusz Krupski. Jego tekst z pierwszego numeru „Spotkań" „Wolna Polska w wolnym świecie" stał się naszym credo, aktualnym do dziś.

Była jeszcze polska emigracja.

Przedstawicielem „Spotkań" w Paryżu był Piotr Jegliński. Wyjechał

eprasa.pl a50cb05137

oficjalnie na zachód w 1974 r. i zdecydował się zostać. Prowadził działalność na ogromną skalę, organizował siatki przerzutu powielaczy i literatury emigracyjnej. W Editions Spotkania wydawał to, co drukowaliśmy w kraju, wspierał nas na różne sposoby. Kupił pierwszy powielacz i kilkanaście następnych. To te małe, a potem większe urządzenia wywołały „powielaczową rewolucję". Były też słynne spotkania w NRD, gdzie omawiane były sprawy ideowe, a także techniki i kanały przerzutu. Dla SB był na tyle groźny, że próbowali go zamordować w ramach akcji „Reszka". Nie udało im się. Wobec tego postawiono mu zarzut szpiegostwa i próby obalenia ustroju PRL. Cofnięto go dopiero w 2000 r. (sic!).

Janusz Krupski zginął nad Smoleńskiem 10 kwietnia 2010 r. Był szefem Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych. Towarzyszył prezydentowi Lechowi Kaczyńskiemu w delegacji na obchody 70-lecia zbrodni katyńskiej, rocznicy wymordowania 20 tys. polskich oficerów przez Sowietów. Historia zatoczyła koło.

Wróćmy do czasów Solidarności.

To była ciężka praca w drukarni. Technika była już lepsza, ale robota – katorżnicza. Drukowaliśmy wszystko: dla Solidarności, dla Solidarności Rolników Indywidualnych, nasze „Spotkania", książki, czasopisma, gazetki, ulotki. Pierwszą wolną sobotę miałem 12 grudnia 1981 r.

I nastał stan wojenny.

W Lublinie w nocy ZOMO napadło na biura Zarządu Regionu. Pobili ludzi, część aresztowano. Zdemolowali lokal, ale nasze powielacze ocalały. Ukryliśmy je i służyły dalej. Potem ZOMO razem z wojskiem rozbijało w Lublinie strajki.

Pamiętam taki epizod: byliśmy otoczeni w Lubelskich Zakładach Naprawy Samochodów, a przywódcy strajku zalecili, aby wyjść z budynków i śpiewać nabożne pieśni. Tak zrobiliśmy. Była noc i widzieliśmy, że przed nami stanął oddział ZOMO. W pewnym momencie usłyszeliśmy komendę: „Gotuj broń". Koleżanka, która stała obok, zaczęła się trząść. Przytuliłem ją mocno i odruchowo powiedziałem: „Jeśli nas teraz zastrzelą, pójdziemy do nieba". Usłyszeliśmy huk wystrzałów, ale po kilku sekundach zorientowaliśmy się, że nikt nie ucierpiał. Ktoś krzyknął: „Ze ślepaków walą?". Gdyby strzelali ostrą amunicją, polałaby się krew. Wrażenie było mocne. Wtedy postanowiłem, że nie będę wychodził pod lufy karabinów.

Jak dalej się to potoczyło?

Do grudnia 1982 r. ukrywałem się razem z Jankiem Stepkiem i dalej drukowaliśmy. Wielką pomoc otrzymaliśmy od ludzi Kościoła, szczególnie od bp. Ignacego Tokarczuka i kapłanów jego diecezji. Długo mógłbym o tym opowiadać. Dzięki temu opór wobec komuny był tak silny i skuteczny.

Po 1990 r. przyszła wolność, ale promowany model kultury jest zdominowany przez pseudoliberalizm.

Pojęciem liberalizmu, czyli wolności, zawładnęli ludzie przekonani, że wolność to brak wszelkich ograniczeń. A istota wolności polega na czynieniu dobra. Tak mówi przekaz ewangeliczny i nauka społeczna Kościoła.

Czy to jest znak czasu?

Czytam teraz „Breviarium kanonu kultury" Pawła Milcarka, wspaniały wybór ważnych tekstów z dziejów filozofii, literatury, estetyki i etyki. Na wyklejkach książki autor cytuje Katona, to czasy Rzymu republikańskiego, znacznie przed Chrystusem. Katon powiada: „Módl się do Boga, kochaj rodziców, szanuj swoich bliskich, zachowaj co darowane, zwróć, co pożyczysz, zważ, komu dajesz, przystawaj z dobrymi, rzadko ucztuj, bądź czysty". W ludzkich dziejach jedni zawsze formułowali zasady dobra, prawdy i piękna, a inni je kwestionowali.

Czy tak musi być?

Cywilizacja *christianitas* spowodowała, że ludzie w Europie porozumiewali się jasnym dla wszystkich kodem religijnym: „Będziesz miłował Pana Boga swego, a bliźniego swego jak siebie samego". Można było odróżnić chrześcijanina od niechrześcijanina. W renesansie człowiek miał być miarą wszech rzeczy. W oświeceniu zakwestionowano możliwość dotarcia do prawdy. Oczywiście sceptycy powątpiewali już od starożytności, a zapisane w Ewangelii Janowej pytanie, które Piłat zadał Chrystusowi: „Cóż to jest prawda?" – to właśnie ten nurt.

Z czego to wynika?

W ludzkiej naturze jest pragnienie porządku, dobra, poznania prawdy, piękna. Jest też chęć kwestionowania porządku, dekompozycji, dekonstrukcji, burzenia tego, co istnieje. To zwykle wiązało się z odrzuceniem Boga i przyjmowaniem zastępczych bożków filozoficznych, a w konsekwencji etycznych i estetycznych. W tym sporze mamy swoje specyficzne miejsce. Potrafiliśmy po 123 latach odbudować państwo, jednak w jego wewnętrzu działali jego wrogowie albo co najmniej masoni, którzy nie chcieli budować kraju na fundamencie Boga.

Jak to zilustrować?

Nasz hymn „Jeszcze Polska nie zginęła" został wybrany w „konkursie" przez tych, którzy nie chcieli, aby została nim „Rota". „Mazurek Dąbrowskiego" to marsz wojskowy dla Legionów pod dowództwem Napoleona. Niech już będzie „Mazurek", ale wykastrujemy go z dwóch kluczowych zwrotek:

„Niemiec, Moskal nie osiędzie,
gdy jąwszy pałasza,
hasłem wszystkich zgoda będzie
i ojczyzna nasza.

Na to wszystkich jedne głosy:
»Dosyć tej niewoli
mamy racławickie kosy,
Kościuszkę Bóg pozwoli«".

Opatrzność jednak czuwała. Zbudowaliśmy najpiękniejszą przygodę narodową, obywatelską: ruch Solidarności. Powstał rok po papieskim wezwaniu

eprasa.pl a50cb05137

„Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi, tej ziemi". Przetrwaliśmy stan wojenny i jego represje. Ale papieska propozycja budowania ojczyzny na zasadach Dekalogu została zaatakowana z pozycji „liberalnych". „Wolność polega na tym, bym mógł wybrać, czy idę do kościoła, czy do burdelu" – twierdził pewien publicysta. Ale czy możliwość wyboru jest wolnością?

Czy nadal nas to obciąża?

Sami decydujemy, czy opowiadamy się po stronie dobra, piękna i prawdy, czy po stronie dekonstrukcji i twierdzeń, że nie ma żadnej prawdy, dobro zawsze jest niedoskonałe, a „zło" może być pozytywne. Jak to możliwe, że po doświadczeniu Holokaustu słyszymy wezwanie do mordowania wybranej grupy ludzi (nienarodzonych), a hasło „Aborcja jest ok!" krzyczy z okładki „Wysokich Obcasów", tak wyczulonych w kwietniu na żonkile?

Mamy tych, co chcą podlegać Moskwie, inni wolą Brukselę, Berlin czy Paryż. Jeszcze inni chcą stawiać na Chiny (nadal komunistyczne). Ci, którzy uważają, że sojusz ze Stanami Zjednoczonymi jest dla nas gwarantem niepodległości, są atakowani, bo w Ameryce dzieją się straszne rzeczy (jak za czasów Obamy czy Bidena). Opcja polska musi stale walczyć. Zwycięstwo Karola Nawrockiego znów daje szansę na polskość.

Ciągle jesteśmy w tym rozdarciu.

Gdy w latach 70. wkroczyłem na wąską drogę pracy podziemnej na rzecz niepodległej Polski myślałem, że nakład 300, 500 czy 1,5 tys. egzemplarzy nic nie znaczy. „Trybunę Ludu" wydawano w kilku milionach egzemplarzy. Sowiecka „Prawda" była drukowana w nakładzie wyższym niż gazety w Ameryce. A przewrotność w tytule jest kwintesencją bolszewizmu. „Czarny sufit" – jak mawiał Józef Mackiewicz. Jednak każdy, nawet jednostkowy akt oporu wobec kłamstwa, zła, ma sens. Dlatego warto.

Po dojściu komunistów do władzy po wojnie ten wybór stał się dramatyczny.

Ci, którzy stali po stronie prawdy i wierności niepodległej ojczyźnie, byli zabijani, więzieni, wbijani w ziemię, oskarżani o zdradę, współpracę z niemieckim okupantem. Mieli zniknąć. Miał się pojawić nowy człowiek, wierny międzynarodowej komunistycznej ideologii. Pierwsze manifesty socrealizmu tworzyli Tadeusz Kantor i Zbigniew Dłubak – artyści awangardowi. Domagali się dekonstrukcji sztuki, dekonstrukcji rzeczywistości, aby zbudować nową rzeczywistość i nowego człowieka. Jednak Moskwa przez ministra Sokorskiego dała inne wytyczne: socrealizm ma mieć ludzką twarz Stalina, Bieruta, chłopów, robotników, kobiet na traktorach. Klasa robotnicza nie zrozumie waszych pomysłów na dekonstrukcję. Ale idea rewolucyjna, by zburzyć dotychczasowy burżuazyjny ideał piękna i budować hybrydy rzeczywistości bazujące na dekonstrukcji, transgresji, była i jest obecna. Od czasów deklaracji Duchampa (1917 r.) twórca staje się demiurgiem. To on dyktuje światu, co jest sztuką (koło rowerowe, pisuar), albo co nią nie jest („Mona Lisa" da Vinciego – chyba że po domalowaniu wąsów i brody). Piękno można wykreślić ze słownika, bo taka jest wola twórcy.

Jak to możliwe, że po doświadczeniu Holokaustu słyszymy wezwanie do mordowania wybranej grupy ludzi (nienarodzonych), a hasło „Aborcja jest ok!" krzyczy z okładki „Wysokich Obcasów", tak wyczulonych w kwietniu na żonkile?

Jak dziś wygląda dekompozycja?

Dekompozycja w dzisiejszej kulturze trwa. Był marsz przez instytucje neobolszewików włoskich, francuskich i niemieckich. I proszę, w Parlamencie Europejskim wymyślanych jest 49 albo i 200 płci. Do konstytucji krajów europejskich wpisywane jest prawo do zabijania ludzi (nienarodzonych). Tak dekonstruuje się fundamenty człowieczeństwa. Tego w minionym wieku chcieli marksiści-leniniści w wydaniu bolszewików, maoistów czy jakiejkolwiek innej odmianie komunizmu. Ostatecznie chodzi o odrzucenie Boga, także w sztuce. Joyce'owskie *non serviam* [łac. nie będę służył – przyp. red.] – Bogu, ojczyźnie, rodzinie. W dziejach ludzkości były takie akty zaprzaństwa.

Problem powstaje, gdy stają się one przymusem w systemach totalitarnych, modą lub poprawnością polityczną w tzw. wolnym świecie. Gdy człowiek buntuje się przeciwko Bogu, wpada w sidła diabła – ojca kłamstwa i chaosu.

Te zjawiska pozostają znane. Nowe są narzędzia – to one dokonały gigantycznego skoku w dostępie do miliardów ludzi i umożliwiły zniewolenie, jakiego dotąd nie było. List „ekspresowy" szedł kilka dni z miasta do miasta, odpowiedź też kilka dni. Telegramy były wysyłane wyjątkowo, międzymiastowe rozmowy telefoniczne były zamawiane. Teraz komunikacja to sekundy (smsy, maile, posty na platformie X). To już inne tysiąclecie. A jak wyjść z tych zniewoleń? Młodzi muszą to zdiagnozować i znaleźć antidotum.

Wzorem dla pana był ks. Franciszek Blachnicki. Jak wykazało śledztwo, został otruty.

Jako 14-latek byłem uczestnikiem ruchu Światło-Życie (animatorem i lektorem). Ten wielki człowiek i kapłan uczył nas chrześcijańskiej odwagi, niezgody na kłamstwo w życiu codziennym i społecznym. Dlatego był tak niebezpieczny dla totalitaryzmów. Mawiał: „Najwyżej mogą nas zabić". Śmierć ziemska jest czymś naturalnym i nie trzeba się jej bać. Warto się trzymać prawdy, dobra, piękna i wierzyć w Pana Boga. Śmierć nie jest kresem. Jesteśmy tutaj tylko po to, żeby potem żyć wiecznie i chwalić Boga. „Te Deum" jest najpiękniejszym hymnem, który możemy śpiewać na ziemi, ale, da Bóg, zaśpiewamy po tamtej stronie.

eprasa.pl a50cb05137

– W tej rodzinie są różne doświadczenia, nie tylko pozytywne. Opowiadamy o domu, o mieszkaniu, w którym widać ślady kilku pokoleń. Ja też jestem z wielopokoleniowej rodziny – mówi Emi Buchwald, reżyserka filmu „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej", nominowanego do Orłów 2026 aż w 10 kategoriach

Domowe duchy i dusze

Fot. Karol Makurat/REPORTER

eprasa.pl a50cb05137

Z Emi Buchwald, reżyserką i współscenarzystką filmu „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej”, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

10 nominacji do Polskich Nagród Filmowych (w tym dla filmu, za reżyserię i dla odkrycia roku). Zdecydowanie dobre duchy czuwają nad waszym filmem.

Emi Buchwald: Dobre duchy albo ciężka praca wielu zdolnych ludzi, wskazanych do nagrody w różnych kategoriach. Bardzo cieszy, że przy tak niskobudżetowej produkcji zostały docenione też osoby, które zajmują się np. dźwiękiem czy muzyką. Razem z Karolem Marczakiem jesteśmy nominowani w kategorii najlepszy scenariusz. Mamy też nominacje aktorskie: pierwszoplanowe dla Izy Dudziak i Bartka Deklewy oraz drugoplanową dla Karoliny Rzepy.

Liczyła pani, ile nagród zdobyliście od czasu festiwalu w Gdyni, gdzie „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej” zatriumfowało po raz pierwszy, zdobywając m.in. statuetkę za reżyserię i drugoplanową rolę kobiecą?

Nie liczyłam, ale faktycznie dużo się działo i nadal się dzieje.

Film wejdzie do kin tuż po rozdaniu 28. Polskich Nagród Filmowych, Orłów 2026 (gala odbędzie się 9 marca). Czy nie za długo czekaliście na premierę?

Mam wrażenie, że to, co się działo w ciągu minionych sześciu miesięcy, tylko wzmocniło zainteresowanie filmem. Było dużo pokazów przedpremierowych, ludzie oglądali „Nie ma duchów...” i przekazywali sobie wieści, zachęcając kolejnych widzów.

Jak zapewnia tytuł, w mieszkaniu na Dobrej duchów nie ma, ale w filmie jest dużo niezmaterializowanych, niewypowiedzianych, czekających na rozwikłanie spraw i uczuć. Na ile są one ważne?

Zależało mi, by pokazać i opowiedzieć o relacjach między rodzeństwem, między siostrami i braćmi. Napisaliśmy z Karolem Marczakiem scenariusz o młodych ludziach, którzy stoją u progu dorosłości. Dorastają i zmieniają się, więc muszą też zmienić relacje między sobą. Nagle okazuje się, że pewne schematy, w których funkcjonowali, przestają być aktualne. Każde z nich chce się zajmować bardziej sobą, odchodzi od bezpiecznego kręgu najbliższych osób. I muszą się z tym pogodzić, a tym samym dorosnąć.

Kilkoro głównych bohaterów, wiele wątków. Nie za dużo jak na tak mały film?

Mam poczucie, że zmorą dzisiejszego komercyjnego kina jest opowiadanie o jednej rzeczy, i to tak, że każda scena o niej przypomina. My zajmujemy się kinem autorskim, które zostawia przestrzeń na własne myśli. I im więcej słyszę interpretacji naszego filmu, tego, jak ludzie się w nim odnajdują – mając i nie mając rodzeństwa, będąc w różnym wieku, na różnym etapie życia – tym bardziej się cieszę. Bo film jest po to, by widz sam go sobie dopowiedział.

Skąd pomysł na wprowadzenie do rodzinnej historii dusiołka?

Pamiętałam taką postać – podobnie jak nocną marę – z czasów licealnych, kiedy czytałam Leśmiana i oglądałam dużo obrazów, ucząc się historii sztuki. Tamte wrażenia wróciły do mnie w czasie pisania scenariusza. Dusiołek stał się wizualizacją lęków najmłodszego z filmowego rodzeństwa – Benka.

Odbierając nagrody w Gdyni, dziękowała pani rodzeństwu. Na ile „Nie ma duchów...” opowiada o waszych relacjach i jak film został przyjęty w rodzinie?

Większość mojego rodzeństwa też zajmuje się jakiegoś rodzaju sztuką. Dlatego m.in. pojawia się w filmie wystawa Jany (granej przez Karolinę Rzepę). Mój brat jest artystą grafikiem (zaprojektował zarówno oprawę filmu, jak i plakat), siostra projektuje przedmioty, bracia są animatorami. Wychowywaliśmy się, oglądając razem ogromną liczbę filmów, jest w nich więc dużo zrozumienia dla tego, co robię.

Co było na początku tego projektu: ulica Dobra, duchy czy rodzeństwo?

Zdecydowanie rodzeństwo. Od początku pracy z Karolem (który ma brata i siostrę, w filmie też pojawiają się bliźniaki) o tym wiedzieliśmy.

Czy wybór ulicy Dobrej miał jakiś związek z familią Matysiaków i kultowym słuchowiskiem?

Nie kojarzę takiej produkcji.

Cóż, inne pokolenie, ale podobne spojrzenie na rodzinę – nie dysfunkcyjną i opresyjną, jak w wielu współczesnych filmach, lecz wspierającą, budującą więzi.

W tej rodzinie są różne doświadczenia, nie tylko pozytywne. Opowiadamy o domu, o mieszkaniu, które – jak widzimy w pierwszej scenie filmu – nie jest nowe. Widać w nim ślady kilku pokoleń. Ja też jestem z takiej wielopokoleniowej rodziny.

Czy to – jak w filmie – rodzina definiowana przez zamieszkiwane lub opuszczane przez bohaterów przestrzenie?

Dla mnie faktycznie mieszkania i domy są bardzo istotne. Mają swoje duchy i dusze. Kolejny film, nad którym pracuję, też opowiada o różnych metafizycznych przeżyciach związanych z nimi. Myślę, że to jest mój temat, jakaś moja obsesja, opowiadanie o wnętrzach, a także o tym, co – będąc na zewnątrz – określa charakter domu.

Cyzeluje pani na ekranie detale i ujęcia, przyglądając się też wnikliwie twarzom bohaterów.

Tak, bo równie istotne, jak obsadzenie aktorów, którzy pasują do postaci, są ich naturalne twarze. Czymś, o czym jeszcze nie wspominaliśmy, jest charakteryzacja, która w naszym filmie pozostaje bardzo ważna z tego powodu, że prawie w ogóle jej nie ma. Bardzo mi zależało na tym, by „ściągać” z aktorów wszystko i pokazać ich twarze – młodzieńcze, mające w sobie dużo emocji, życia, a także nieoczywistości i niedopowiedzeń.

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl a50cb05137

Podróż do początków

Czytając 12 esejów Béli Hamvasa, zagłębiamy się w metafizyczną tradycję naszej kultury, w pozostawioną nam zbiorową wiedzę ludzkości

MACIEJ WALASZCZYK

Mamy kolejną, czwartą już pozycję autorstwa Béli Hamvasa dostępną w polskim przekładzie za sprawą nieocenionej Teresy Worowskiej. Tej samej, która przez lata przybliżała polskiemu czytelnikowi twórczość innego wielkiego Węgra – Sándora Máraia.

Dyrektor wydawnictwa „Próby" Marek Zagańczyk mówi, że jego przygoda wydawnicza związana z promocją dzieł Hamvasa z pewnością stała się pracą na długie lata, a węgierski pisarz to autor wyjątkowy, którego twórczość wzmacnia także kulturę polską. Praca ta odbywa się przede wszystkim na Węgrzech, gdzie dopiero od lat 90. odkrywane jest dzieło filozofa i pisarza zakazanego w czasach komunizmu. Przy okazji omówienia „Księgi gaju laurowego" wspominaliśmy, że był on ofiarą systemu i jego marksistowskiego hunwejbina Györgya Lukácsa. Zaraz po wojnie jego książki były zakazane, trafiły więc na przemiał, a on sam, pozbawiony możliwości publikacji i pracy w bibliotece, został zmuszony do pracy fizycznej.

Paradoksalnie nowa sytuacja, w jakiej się wówczas znalazł po oblężeniu Budapesztu, kiedy stracił dom wraz z wielką biblioteką i rękopisami, zrodziła w nim jeszcze większe możliwości twórcze. Pracując m.in. jako magazynier na wielkich budowach socjalizmu, tworzył, pisał i uczył się języków starożytnych. Choć to, co wówczas wyszło spod jego ręki, nie miało szansy, by zaistnieć.

Dziś na szczęście sytuacja uległa zmianie. „Archai, czyli początki" jest nie tyle kolejną odsłoną wielkiej eseistycznej spuścizny, którą po sobie pozostawił, ile świadectwem jego głębokiego zaangażowania w opisywanie i badanie najstarszych praźródeł kultury. Nie tylko europejskiej. W połowie lat 30. ub.w. poszukiwania te zostały zainicjowane przez Hamvasa i Károlya Kerényiego. Obaj poznali się pod koniec lat 20., a potem wspólnie powołali do życia czasopismo „Sziget" („Wyspa"). Było ono odpowiedzią na poczucie schyłku kultury i cywilizacji, przekonania, że „odnowę całości" może dać ponowne spotkanie się „ducha i ziemi".

Wtedy analizowano przede wszystkim zjawisko europejskiego kryzysu intelektualnego, kulturowego i społecznego. Na Węgrzech znacznie mocniej odczuwanego po dotkliwej katastrofie Wielkiej Wojny, rozpadzie dawnego porządku politycznego i rewolucji. Hamvas łączył te doświadczenia z przyczynami zdiagnozowanymi w „Zmierzchu Zachodu" przez Oswalda Spenglera, pod wpływem którego znalazł się w tym okresie. Wobec apokaliptycznej atmosfery duchowej starał się również samemu uchwycić sytuację duchową epoki, dostrzec oznaki kryzysu, aby następnie pośród rozbitego, rozdrobnionego świata i psychologicznej izolacji współczesnego człowieka szukać odpowiedzi i „zbawienia" w starożytnych źródłach.

Intelektualiści z kręgu pisma „Sziget" czynili to, podążając m.in. za francuskim orientalistą Reném Guénonem, Juliusem Evolą oraz filozofem Leopoldem Zieglerem. Celem ich badań, także wyrażonych w tych 12 znakomitych tekstach, było rozszyfrowanie tajemnic istnienia, znanych nam i przekazanych w postaci kulturowych archetypów – rzeźbach, budowlach, obrazach.

Hamvas opisuje więc m.in. znaczenie neolitycznego Stonehenge i opowiada, dokąd wiodą zbudowane z megalitycznych skał demoniczne bramy. Dlaczego Apollo z Olimpii jest „doskonałą formą w skończonym chaosie" i idealnym wręcz zobrazowaniem greckiego boga. Pisze o symbolice naczyń będących dziełem peruwiańskich kobiet czy petroglifach z Gór Skalistych. Szczególnie interesujący i pełen męskiej pasji jest szkic na temat paleolitycznej Wenus z Willendorfu. W niej – jak przekonuje – tkwi tajemnica kobiecości, jej życiodajnej płodności, a więc kobiecej wizji nieśmiertelności, jej wszelkiej siły i słabości.

Béla Hamvas, „Archai, czyli początki", Próby 2025

Hamvas zagłębia się w metafizyczną tradycję, w sakralną stronę istnienia, w pozostawioną nam zbiorową duchową wiedzę ludzkości. Zabiera nas w pouczającą podróż, z której on sam wyłania się jako badacz, filozof i filolog. Ułatwia nam to jego sugestywne pisarstwo i specyficzna rola jako eseisty. Znakomicie przechodzi od pojęcia do obrazu, od obrazu do pojęcia, a opis dawnej estetyki – czy to z czasów greckich, czy cywilizacji Majów – staje się w jego tekstach częścią zarówno przeszłości, jak i naszej teraźniejszości.

eprasa.pl a50cb05137

Strata bezpowrotna

ARTUR KOLĘDA

W 2018 r. obejrzeliśmy „Inspekcję" w reżyserii Jacka Raginisa-Królikiewicza. To znakomity spektakl Teatru Telewizji przedstawiający autentyczne wydarzenia. Do obozu jenieckiego w Kozielsku (ok. 250 km na południowy wschód od Smoleńska), gdzie po kampanii 1939 r. trafiło ponad 4 tys. polskich oficerów i cywili, przybywa mjr Wasilij Zarubin, pełnomocnik Zarządu ds. Jeńców Wojennych NKWD. Ma za zadanie przeprowadzenie rozmów z więźniami, by wytypować tych nadających się do wykorzystania przez państwo sowieckie w jego przyszłej polityce wobec Polski. Rolę Zarubina znakomicie zagrał Mariusz Ostrowski.

Ta sama historia jest głównym wątkiem filmu „Pojedynek" w reżyserii Łukasza Palkowskiego („Bogowie", „Najlepszy"), który pod koniec lutego wszedł na ekrany kin. Pomysł na niego narodził się już ponad 20 lat temu w głowach Roberta Glińskiego i nieżyjącej już niestety Dżamili Ankiewicz, wtedy jednak ruszała realizacja filmu Wajdy. W 2017 r. w konkursie Narodowego Centrum Kultury oraz Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego wziął udział scenariusz „Sanatorium imienia Gorkiego" (taki adres nadawcy musieli wpisywać więźniowie Kozielska, którym Zarubin pozwolił pisać listy do rodzin, aby uzyskać ich adresy zamieszkania). Znalazł się w ścisłym gronie nagrodzonych. Teraz wreszcie możemy zobaczyć jego filmową realizację.

GIERSZAŁ I GILLEN

Łukasz Palkowski po raz kolejny pokazał, że wie, o co chodzi w reżyserskim rzemiośle. Jego filmy przykuwają uwagę widza, poruszają emocje, nie pozostawiają obojętnym. Zawsze chce opowiedzieć o konkretnym człowieku i jego losie. Tak jest również w tym przypadku. Główny bohater – Karol Grabowski (w tej roli Jakub Gierszał) ma swój historyczny pierwowzór w postaci Zbigniewa Grzybowskiego – pianisty, który w 1937 r. ukończył ze złotym medalem Wyższą Szkołę Muzyczną w Warszawie, a także zdobył dyplom honorowy III Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina. W kampanii wrześniowej walczył w oddziałach łączności, po czym został uwięziony przez Sowietów w Kozielsku.

Antagonistą Grabowskiego jest wspomniany mjr Wasilij Zarubin, który rozpoznaje go wśród więźniów i postanawia przeciągnąć na stronę komunistów, licząc na to, że pójdą za nim pozostali. Mówiąc po prostu: namawia go do zdrady, owijając jednak wszystko w bawełnę i zastawiając na naszego oficera przeróżne pułapki emocjonalne, aby go złamać.

Dzięki irlandzkiemu komponentowi realizacyjnemu filmu (m.in. dźwięk był nagrywany w Dublinie) oraz determinacji reżysera udało się do tej roli pozyskać Aidana Gillena, urodzonego w Dublinie wyśmienitego aktora, znanego szerokiej publiczności z roli Petyra Baelisha w serialu „Gra o tron". To był strzał w dziesiątkę. Zbudowana przez niego postać jest nieprawdopodobnie wierna oryginałowi, znanemu nam z opisów Polaków, którzy przeżyli Kozielsk. Miły, kulturalny erudyta władający kilkoma językami, o sympatycznej powierzchowności. Przywiózł ze sobą do Kozielska ponad 500 książek, które nawet pożyczał Polakom, aby pozyskać ich życzliwość i uśpić czujność. Decyzją najstarszego w obozie gen. Henryka Minkiewicza-Odrowąża był jedynym enkawudzistą, któremu nasi oficerowie oddawali honory. Kreacja Gillena jest po prostu znakomita, a jego postać na plakatach filmu niewątpliwie będzie kołem zamachowym dystrybucji kinowej i streamingowej. M.in. w Dublinie, gdzie „Pojedynek" jest pokazywany również od 27 lutego.

Osobą niezwykłą w Kozielsku była Janina Lewandowska, z domu Dowbor-Muśnicka, pilotka szybowcowa, która

Fot. JAROSŁAW SOSIŃSKI/BOW AND AXE ENTERTAINMENT

eprasa.pl a50cb05137

Po filmie „Katyń" Andrzeja Wajdy, jednym z najważniejszych obrazów w historii polskiego kina, wydawało się, że nie da się powiedzieć o tej historii niczego więcej, że temat został po prostu wyczerpany. Z czasem okazało się, że w kwestii zbrodni katyńskiej potrafimy odkrywać nowe, ważne wątki i dobrze o nich opowiedzieć

w 1939 r. wraz z personelem polskiej Bazy Lotniczej nr 3 dostała się w ręce Sowietów. Kobieta przetrzymywana z tysiącami oficerów w obozie jenieckim... Nie tylko nie poddała się, lecz także zdobyła swoją postawą wśród więźniów ogromny podziw i sympatię. Nazywana była wprost Matką Boską Kozielską. Wracająca na ekrany Julia Pietrucha świetnie oddała jej kobiecą szlachetność, a jednocześnie siłę i niezłomność. Warto wspomnieć, że kiedy Sowieci odbierali Janinie życie w Lesie Katyńskim, w tym samym czasie Niemcy aresztowali w Warszawie jej młodszą siostrę Agnieszkę i rozstrzelali w jednej z licznych egzekucji w Palmirach w Puszczy Kampinoskiej.

Żywymi, pełnymi emocji postaciami są też ludzie z drugiego planu – Antoni Tucholski (Antoni Pawlicki) i Leon Szein (Wojciech Mecwaldowski), toczący ze sobą mniej lub bardziej żartobliwe utarczki słowne, pogodzeni wspólnym końcem w dole katyńskim.

HISTORIA WARTA OPOWIEDZENIA

Wszystkie te postacie – na czym zawsze Palkowskiemu zależy – nie są pomnikami. Wręcz przeciwnie, to ludzie z krwi i kości, prawdziwi, z życia wzięci. Bardzo autentycznie wyglądają też kostiumy i charakteryzacja, dobrze brzmią dialogi. Wręcz wzorowo odtworzono obóz w Kozielsku (kręcono te ujęcia w Twierdzy Modlin). Współautorka scenariusza Agatha Dominik dotarła nawet do zachowanego planu obozu, zlokalizowanego w przejętej przez Sowietów Pustelni Optyńskiej nad Żyzdrą (monastyr znów tam funkcjonuje). Oglądamy zatem polskich oficerów brodzących w błocie na „Marszałkowskiej", jak nazwali główną obozową aleję, widzimy sklepik i pocztę, gościmy w cerkwi zamienionej w świetlicę. Obóz właśnie tak wyglądał. Prawie czujemy rosyjskie zimno i błoto, zapach sowieckiego spirytusu i papierosów, a nawet smród latryny opróżnianej regularnie przez ukraińskiego woźnicę (Paul Freeman). Ten reżyser potrafi przekroczyć granicę między dziełem a widzem, sprawić, że „przechodzimy" na tamtą stronę ekranu – do oglądanych bohaterów dramatu. Czy to w szpitalu (w filmie „Bogowie"), czy w ruskim obozie na końcu świata.

W rozmowie ze mną Łukasz Palkowski powiedział o „Pojedynku": – Historia wydała mi się wartą opowiedzenia ze względu na straty, jakie wtedy ponieśliśmy i moją tęsknotę za gatunkiem człowieka, jaki odszedł w tamtych czasach – poprzez zbrodnię katyńską i powstanie warszawskie. Nie odbudowaliśmy się z tego do tej pory. Poczułem nie wściekłość, a tęsknotę i trochę o tej tęsknocie chciałem opowiedzieć w tym filmie. Chodziło mi o zakładanie plastrów, a nie rozdrapywanie ran.

Strata istotnie jest dla tej historii kluczowa – chodzi o stratę ludzką, nie do odrobienia. Elita była największym bogactwem II Rzeczypospolitej, nieprzypadkowo niemiecki (nazistowski) i rosyjski (sowiecki) aparat zbrodni zaplanował jej eksterminację jeszcze przed wrześniem 1939 r. Czy wraz z nią bezpowrotnie odszedł w przeszłość typ Polaka niepodległego, prostolinijnego i honorowego, świadomego swojej tożsamości i kultury? Takich Polaków widzimy w obozie kozielskim, mówiących o sobie z przymrużeniem oka, że są elitą. Patrzymy na nich z bólem, ponieważ są osamotnieni, tak jak samotna była Polska 80 lat temu. Napadnięta przez sąsiadów, opuszczona przez przyjaciół i sojuszników, skazana na upokarzanie przez cywilizacyjne wynaturzenia, jakimi byli wyznawcy Stalina i Hitlera. Nasz ból podczas seansu jest tym większy, że wiemy przecież, jaki los czeka tych ludzi – że ich stracimy.

Dzieło Łukasza Palkowskiego pewnie nie uniknie porównań z filmem Andrzeja Wajdy, ale reżyser „Pojedynku" nie musi się ich obawiać. Stworzył film znakomity, kawał dobrego kina, które może opowiedzieć światu bardzo ważny fragment naszej historii. Wielkie brawa należą się również polskiemu dystrybutorowi – firmie Monolith Films – za opatrzenie dzieła bogatym pakietem historyczno-edukacyjnym. Dziękujemy!

Fot. VLAD CIOPLEA

eprasa.pl a50cb05137

HITY i KITY ZAREMBY

Stefan Starzyński jednak z pomnika

Pomysł, by wystawić musical o prezydencie Warszawy Stefanie Starzyńskim, wydaje się karkołomny. Dokonał tego warszawski Teatr Syrena. Spektakl „Starzyński" nie jest idealny, a jednak myślę o nim ciepło. Polskie teatry nieczęsto zajmują się – i to z sympatią – naszą historią

Pretekstem do wystawienia „Starzyńskiego" była rocznica związana z odbudową Warszawy. Przypomnę – ten sanacyjny polityk kreślił przed wojną ambitne plany rozbudowy stolicy. We wrześniu 1939 r. nie wyjechał z polskim rządem, ale kierował dzielnie cywilnym segmentem obrony Warszawy. Jego głos dodawał ludziom otuchy. Pod koniec października aresztowali go Niemcy. Zginął w niejasnych okolicznościach.

Scenarzystą i reżyserem spektaklu jest Konrad Imiela, specjalista od widowisk muzycznych. Powołuje się na książkę Grzegorza Piątka „Starzyński. Prezydent z pomnika", który postawił sobie za cel wyjście poza legendę bohatera, odbrązawianie. Przypomniał kontrowersje wokół niego. Starzyński był urzędnikiem autorytarnej sanacji, początkowo niezbyt popularnym w Warszawie jako prezydent narzucony przez władze bez wyborów. Jako wiecznie zapracowany sztywniak miał niełatwe życie osobiste.

Te fakty komplikowały portret legendarnego prezydenta Warszawy, ale w gruncie rzeczy nie podważyły mitu. Imiela pokazał go w ciągu nocy i następnego ranka przed aresztowaniem. Załatwia ostatnie sprawy jako gospodarz Warszawy, wpada w depresję, zastanawia się nad oferowaną mu możliwością ucieczki, którą odrzuca – w imię etyki odpowiedzialności. I nawiedzają go wspomnienia. Po jego gabinecie krążą postacie z przeszłości: rodzice, obie żony czy polityczny wróg – Władysław Studnicki.

Nie wiem, czy dla widza nieznającego tej biografii wszystko będzie jasne. Sugestywnie wypada jego starcie ze Studnickim, głosicielem postawy proniemieckiej, z którym się procesował. Tyle że istota tego procesu pozostaje mglista. Zarazem jego antagonista głosi pochwałę pragmatyzmu, dostosowania się, podczas gdy Polacy – jego zdaniem – zawsze wybierają beznadziejny opór. Prawdziwy Studnicki był raczej maniakiem niż pragmatykiem, ale rozumiem, że chodziło o postawienie problemu natury Polaków.

Padają inne, trochę niedopowiedziane zarzuty, w tym o nadmierne posłuszeństwo wobec sanacji. Nieprzypadkowo ten sam aktor – Michał Konarski – wyraziście gra ojca Starzyńskiego, a blisko finału stoi na pomniku jako Józef Piłsudski, wobec którego prezydent Warszawy był po wojskowemu uległy. Zarazem nad spektaklem unosi się duch romantycznej poezji. U Starzyńskiego pojawia się aktor Brodziński, który potem jako swoisty mistrz ceremonii przywołuje fragmenty utworów Mickiewicza. Nasuwa się pytanie, czy wszechobecność tych tekstów tylko hartowała Polaków, czy czasem prowadziła na bezdroża. Ale nie dostajemy twardych rozstrzygnięć.

Muzyka Grzegorza Rdzaka mi nie przeszkadzała, w paru momentach wzruszała, choć miotanie się Starzyńskiego wydawało mi się chwilami nazbyt przerysowane. Ale Przemysław Glapiński udźwignął tę rolę – nawet zbyt egzaltowany z woli reżysera przyciągał uwagę widzów. Świetnie wypadł złośliwy Studnicki w wykonaniu Jacka Pluty. Pięknie śpiewał, a czasem mówił poetyckimi strofami młody, znakomity wokalnie Mateusz Tomaszewski jako Brodziński.

Ten spektakl to jednak największy sukces Julii Bielińskiej w roli Syreny. Jej song wzbudzał autentyczne wzruszenie: nieszczęściami, a także hartem ducha Warszawiaków. Myślę zresztą, że ten powracający wątek, trochę kasujący pytania o romantyzm i pozytywizm, to największa wartość tego spektaklu. Coś takiego jak duch Warszawy istnieje. Syrena nam o tym przypomniała.

Piotr Zaremba

Fot. Teatr Syrena

Nowy „Krzyk” – rzeźnia numer 7

„Krzyk” to kolejny cykl filmów grozy, które stały się tasiemcem – jak „Halloween” czy „Piątek trzynastego”. Wciąż wydaje się zgrabniejszy niż tamte, skoncentrowane na coraz wymyślniejszych formach zabijania. Ale doznaję wrażenia coraz większej monotonii

Łączy się to z narastającymi we mnie wraz z wiekiem wątpliwościami: jak dalece można się bawić uśmiercaniem ludzi? Kiedyś byłem kibicem cyklu. Kiedy w 1996 r. pojawił się pierwszy „Krzyk”, został uznany za objawienie. Wydawał się arcysyntezą slasherów, czyli horrorów, w których nie ma sił nadprzyrodzonych, a seryjni zabójcy. Szaloną zabawą konwencjami gatunku.

Zarazem ten produkt mistrza Wesa Cravena miał jakiś związek z rzeczywistością. Pomysł dokonywania zabójstw przez kogoś, kto wzoruje się na filmach, można było uznać za postawienie problemu, w tonie kpiarskim, ale jednak. Co więcej, kiedy morderca w masce (nazywany „Ghostface”) zaczął grasować w miasteczku Woodsboro, miejscowa młodzież zareagowała niezdrową ekscytacją. Mordy były fantazją, ale klimat kibicowania zbrodni miał w sobie coś z ducha epoki.

W dodatku mieliśmy bohaterkę, Sidney Prescott, graną przez Neve Campbell, która od pierwszej części była atakowana przez zabójców, czasem mających związki z jej biografią, czasem przypadkowych, ale zawsze w masce „Ghostface'a”. W „Krzyku 1” Sid była licealistką, więc oglądaliśmy relacje szkolne. W „Krzyku 2” szła na studia, więc zapraszano nas na kampus akademicki.

Mamy tu też zapis przemian mediów i zmian technologiczno-cywilizacyjnych. W „Krzyku 4” poznawaliśmy nowe pokolenie młodzieży, transmitującej swoje życie w internecie. W najnowszym „Krzyku 7” pojawia się temat sztucznej inteligencji pozwalającej kreować dowolne ludzkie tożsamości.

Od piątki, kręconej już nie przez Cravena, Sid traciła status głównej bohaterki na rzecz młodszych. W szóstce nie było jej wcale. Po 30 latach znów jest – jako starsza pani, żona policjanta i matka trójki dzieci. Zabójca(y) zawziął się na nią i jej córkę w kolejnym miasteczku.

Część szósta, której akcja toczy się w Nowym Jorku, odrzucała mnie akcentami poprawnościowymi (najskuteczniejsze są kobiety z problemami i czarni) i niedorzecznościami fabularnymi. To nie jest tak, że horror nie podlega prawom logiki. W siódemce główne bohaterki są białe, za to jeden z wątków znowu mocno zgrzyta. No i wobec tabunu przypadkowych ofiar reżyser Kevin Williamson (scenarzysta pierwszych części) jest wyjątkowo mało empatyczny. Mamy trochę rodzinnych czułości, ale seria zbrodni przypomina bezduszne rzeźnie z kolejnych filmów z serii „Halloween”, już nawet bez humoru. No, ale kiedyś chciałem, to mam.

Fot. Forum Film

DWIE REWOLUCJE WEDŁUG WITKACEGO

Wiadomo, jak mocno przywiązany jest Jan Englert do twórczości Witkacego. Mniej znane „Bezimienne dzieło” z 1921 r. wystawiał już dwukrotnie w różnych teatrach. Teraz zrobił to w Teatrze Telewizji, przekonany, że to wnikliwe społeczno-polityczne proroctwo

Byłem na jego spektaklu z 2013 r. w Teatrze Narodowym. Trójka aktorów gra w wersji telewizyjnej te same role, co tam: Grzegorz Małecki (baron Buffadero), Dominika Kluźniak (malarka Klaudestyna) i Beata Ścibakówna (księżna Barbara). To wytrawni aktorzy, groteskową umowność mają we krwi. Sam reżyser obsadził się w roli płk. Giersa, wytrawnie demonicznego od pierwszej sceny na cmentarzu. Poza tym mamy gwiazdozbiór, m.in. Macieja Stuhra jako rozchwianego malarza Plazmonika i Daniela Olbrychskiego jako jego zdziwaczałego ojca.

Witkacy opowiadał o swoich sztukach jako grze czystej formy. A Englert dowodzi, że to precyzyjne traktaty o ludzkości, wyprzedzające swój czas. „Bezimienne dzieło” jest rozprawką o rewolucji. Najpierw o przewrocie dokonywanym przez sektę, zapowiadającą przemianę świeckich polityków w kapłanów, a potem o buncie motłochu, który dawny grabarz Girtak prowadzi w imię walki z indywidualizmem na rzecz bezkształtnej masy. Ten reżyser zawsze dowodził, że przestroga przed totalitarną uniformizacją stanowi najważniejsze przesłanie Witkacego.

Jan Englert czasem przesadza w odczytywaniu znaczeń. Mówi, że to o wykorzystywaniu artystów przez świat polityki. Trochę, ale bardziej chyba o oderwaniu artystów od realnego życia, co symbolizuje Plazmonik i fascynująca go kompozytorka Róża (Justyna Kowalska). Dostajemy też typowe dla Witkacego potoki erudycyjnych wywodów i teorii. Czasem mocno nieznośnych, jak dyskusje Plazmonika i Róży w więzieniu.

Stary ład jest tu podminowany tuż przed upadkiem, skoro książę pan (świetny Mateusz Tomaszewski, najmłodszy w obsadzie) uznaje za ojca drugiego grabarza (wyśmienity Arkadiusz Janiczek). Mamy obraz totalnego chaosu i pomieszania pojęć. Englert nieco skondensował opowieść w stosunku do wersji teatralnej, czyniąc ją – mimo potoków gadulstwa – lekką przypowiastką do krotochwilnej muzyki Piotra Mossa. W końcu sam Witkacy nazwał ją kryminałem.

Fot. TVP

Wiosna do nas leci

Liczba 100 mln brzmi imponująco. Czy dobrze określa liczbę ptaków przelatujących rocznie ponad Polską w czasie migracji? Nikt nie wie tego dokładnie, ale skoro tylko skowronków gnieździ się w Polsce 10–11 mln par (nie osobników), a przez nasz kraj prowadzą ważne szlaki migracji, być może liczba 100 mln jest nawet zaniżona

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Proste obliczenie (choć proste obliczenia prowadzą czasem na manowce) pokazują skalę ptasiej migracji. Załóżmy, że skowronków gnieździ się w Polsce 10 mln par – taką liczbę, zbliżającą się nawet do 11 mln, pokazują ostatnie badania. Wprawdzie liczebność skowronka polnego (*Alauda arvensis*) spadła w stosunku do poprzednich dziesięcioleci, lecz nadal jest to nasz najliczniejszy ptak lęgowy – w Europie pozostajemy jednym z wiodących krajów w tym aspekcie.

10 mln par to 20 mln osobników. Każdy z nich odlatuje jesienią i przylatuje wiosną, a w zasadzie pod koniec zimy. To znowu uproszczenie, bo jesienią skowronków odlatuje zapewne więcej – więcej o młode, które przyszły na świat w danym roku i dożyły momentu odlotu. W każdym razie uproszczone rachunki skowronków dają liczbę 40 mln przelotów rocznie ptaków tylko tego jednego gatunku, choć co prawda najliczniejszego.

Polska leży na skraju najważniejszego w tej części świata szlaku ptasiej migracji: wschodnioatlantyckiego. Ptaki z rozległych obszarów północnych – od USA i Kanady przez Grenlandię, Skandynawię po Syberię – wędrują nim do Afryki i w te rejony Europy, w których zimą panują warunki umożliwiające komfortowe przezimowanie. Oprócz tego ptaki z północy i północnego wschodu przelatują przez Polskę korytarzem zwanym czasem alpejskim, a inne z kolei – korytarzem wschodnim. Od ogólnych kierunków zdarzają się – jak zawsze w przyrodzie – wyjątki i np. malutka dziwonia udaje się na zimowe leża do Indii (podczas gdy jerzyki z Chin lecą nie do pobliskich Indii czy na Malaje, ale na zimowiska afrykańskie, gdzie spędzają zimę wraz z jerzykami europejskimi – dlaczego się tak dzieje, nie wiadomo).

Jeżeli do naszych ptaków lęgowych, które odlatują na zimę i powracają wiosną, doda się wszystkie, które przez Polskę tylko przelatują – wiosną i pod koniec zimy w drodze na lęgowiska, a późniejszym latem i jesienią na zimowiska – skala tego zjawiska nie tylko zadziwia, lecz także staje się niewiarygodna. A jednak jest prawdziwa. I raczej niedoszacowana niż przeszacowana.

Pamiętajmy, że bardzo wiele ptaków nie przeżywa podróży. To poniekąd skutek naturalnych mechanizmów, które regulują liczebność każdego organizmu w przyrodzie i muszą w ten sposób działać, dostosowując liczebność do możliwości czy też pojemności środowiska. Do tego dochodzą jednak czynniki pochodzenia antropogenicznego. Na pierwszym miejscu zderzenia z szybami (ogólnie mówiąc, ponieważ chodzi o wszelkie obiekty zakłócające światło spolaryzowane i polaryzację światła) i koty domowe, potem kłusownictwo – w niektórych krajach na południu Europy, a także na Bliskim Wschodzie i w Afryce, przy czym nie chodzi o polowania, tylko o metody działające na masową, olbrzymią skalę. Innym czynnikiem przyczyniającym się do zwiększonej śmiertelności ptaków w czasie wędrówek są także przekształcenia środowiska, takie jak osuszanie terenów podmokłych potrzebnych jako miejsca odpoczynku i żerowania, zabudowa dolin rzecznych, nadmierne oświetlenie miast itp.

CUDOWNE ZJAWISKO

Oczywiście spośród zjawisk, procesów i spektakli przyrodniczych trudno jest wybrać najpiękniejsze, najciekawsze i wzbudzające najsilniejsze emocje. Wędrówki ptaków z pewnością znajdują się jednak w czołówce takiej listy: klucz żurawi lecący wysoko na ciemniejącym niebie, a później klangor dobiegający spod lasu, gdzie wśród chłodnych, okrytych niską mgiełką wilgotnych łąk stado zapadło na nocleg, pierwsze jerzyki, które wracając z tropikalnej Afryki, z precyzją niemal co do dnia pojawiają się na początku maja na niebie, wysokie nawoływanie krwawodziobów lecących przez bagna – wszystko to jest niezmiernie czarowne i trudne do wyrażenia słowami.

W odczuciu tego zjawiska – poza wybraniem się w teren oczywiście – może dopomóc sienkiewiczowski opis wybrany z podróży Skrzetuskiego Dnieprem do Kudaku: „Mgła opadła, brzegi zarysowały się wyraźnie. Nad głowami płynących ulatywały miliony ptactwa wodnego, pelikanów, dzikich gęsi, żu-

Fot. Shutterstock

eprasa.pl a50cb05137

rawi, kaczek i czajek, kulonów i rybitew; w oczeretach przybrzeżnych słychać było taki gwar, takie kotłowanie się wody i szum skrzydeł, że rzekłbyś, iż odbywają się tam sejmy lub wojny ptasie".

Dane przyrodnicze pokazują, że „miliony ptaków" Sienkiewicza wcale nie są przesadzone.

PIERWSZY ZJAWIŁ SIĘ KRUTEK

Jednym z symboli ptasich wędrówek jest w Polsce bocian biały nazwany Krutkiem, co roku przylatujący do wsi Krutyń leżącej nad piękną rzeką Krutynią w województwie warmińsko-mazurskim. Krutek przylatuje co roku, lecąc trasą omijającą Morze Śródziemne od wschodniej strony. Tą drogą każdej wiosny wraca do Europy dwieście kilkadziesiąt tysięcy bocianów białych (nią też przyleciały opisane przez Sienkiewicza pelikany).

Krutek przylatuje jednak dużo wcześniej niż inne bociany. Podczas gdy większość tych ptaków dociera do nas pod koniec marca i w kwietniu, on przybył już 23 lutego. Wcześniej leciał przez półwysep Synaj, gdzie spędził część stycznia, następnie poszybował ponad Izraelem, Jordanią, Libanem, Syrią, Turcją, pokonał Bosfor, przeleciał nad Rumunią i Ukrainą.

Osłabiony i zmęczony podróżą o nietypowej porze trafił na krótką – miejmy nadzieję – rekonwalescencję do ośrodka rehabilitacji. Jest to nietypowa pora dla gatunku, lecz nie dla Krutka, ponieważ bocian ten przylatuje tak co roku – tym razem, cierpiąc wprawdzie niedostatki końca zimy, dzięki swojemu zwyczajowi uniknął wojny na Bliskim Wschodzie.

POLA, BAGNA I SKRAJ LASU

Przyloty poszczególnych gatunków nadają przyrodniczemu obrazowi naszej strefy klimatycznej szczególny rys, którego wyróżnikiem jest zmienność. Regularna, pozwalająca przewidywać co i gdzie usłyszymy lub zobaczymy, a jednocześnie zachodząca na tyle szybko, że powtarzając się co roku, nigdy nie traci świeżości.

Nie zapominając o gatunkach nieopuszczających nas nawet na zimę, gdzie i kiedy wybrać się, żeby doświadczyć atmosfery ptasich wędrówek?

Zastrzegając, że to lista subiektywna, o tej porze roku, po pierwsze, na pola. W słoneczny dzień można do woli nasłuchać się skowronków, przy okazji podziwiając kondycję tych niewielkich, brązowo-płowych, obdarzonych niewielkim czubkiem ptaków, które potrafią śpiewać nieprzerwanie, na wdechu i wydechu, jednocześnie lecąc pionowym, bardzo wyczerpującym lotem prosto w górę tak wysoko, że znikają z oczu – słychać je jednak cały czas, nawet z najwyższego punktu. Jeżeli pola są wilgotne, mamy wielkie szanse na spotkanie z czajkami. One również należą do gatunków przylatujących wcześnie. Ich nawoływania i godowy, pełen łamańców lot wykonywany z szumem krótkich, szerokich skrzydeł to również kwintesencja ptasiej wiosny wśród pól.

Czajka, ptak siewkowaty, wybierając pola, należy raczej do wyjątków w swojej grupie. By spotkać więcej gatunków wędrujących siewkowatych, trzeba się udać na tereny podmokłe, bagniste lub stawy rybne, przy czym szczególnie atrakcyjne dla siewkowatych podczas przelotów są zbiorniki ze spuszczoną wodą i mulistym dnem, w którym długimi dziobami właściwymi większości tych ptaków sondują w poszukiwaniu bezkręgowców.

Zapewne już na dniach na skraju lasu w pogodny wieczór, kiedy powietrze jest chłodne, lecz niewątpliwie wiosenne, będzie można posłuchać drozdów śpiewaków – nie bez powodu nazywa się tak ten gatunek.

I jak każdej wiosny (choć na to jeszcze czas), każdy, kto zbudzi się, kiedy jest jeszcze ciemno, może nasłuchiwać, kiedy melodyjną strofą przechodzącą w zgrzytliwe zakończenie da znać o swoim powrocie kopciuszek. Jego niezwykle charakterystyczny śpiew brzmi nieco, jakby chciał naśladować najlepszych ptasich śpiewaków, nie bardzo jednak potrafiąc dokonać tej sztuki, i stanowi dysonans – lecz niewątpliwie sympatyczny. Wywodzi się podobno z pierwotnego środowiska kopciuszków, czyli z gór, w których właśnie takie zgrzytliwe dźwięki wyraźniej przebijają się przez szum wiatru i grzechot kamieni. Teraz jednak większość tych ptaków zamieniła góry na miasta, a skały na budynki, stając się w nowym środowisku liczniejszym. Jeśli wyczuli się wzrok na małą, wykonującą regularne dygnięcia sylwetkę i słuch na jego specyficzny śpiew, przekonamy się, że każde osiedle ma swojego kopciuszka, czasem nawet niejednego. Przylot – na dniach.

> Jednym z symboli ptasich wędrówek jest w Polsce bocian biały nazwany Krutkiem. Podczas gdy większość tych ptaków dociera do nas pod koniec marca i w kwietniu, Krutek przylatuje dużo wcześniej – pojawił się już 23 lutego

eprasa.pl a50cb05137

Fot. Mazurski Park Krajobrazowy

GUILLAUME DUTREIX, LUCIE TOURNEBIZE*

Wenecki zapach kawy i morza

Guillaume Dutreix – zafascynowany architekturą fotograf i podróżnik, tym razem zatrzymał się na dłużej w Pływającym Mieście. W duecie z Lucie Tournebize, dziennikarką i blogerką, która od dekady mieszka w Wenecji, stworzył album pełen uważnych i subiektywnych kadrów. „Wenecja. Mały atlas hedonistyczny" (Znak Koncept) to także przewodnik pełen smaków i aromatów.

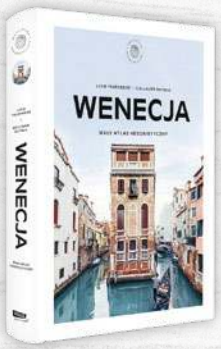

Rankiem, w porze colazione (czyli śniadania, choć nazwa kojarzy się z naszą kolacją), miasto pobudza zapachem i intensywnością kawy, pitej na stojąco przy barze. A także słodyczą cornetto – rogalika wypełnionego miodem, dżemem lub czekoladą.

Przy barowej ladzie spotykają się też wielbiciele słynnego na całym świecie koktajlu Bellini. Ponoć narodził się on w niepozornym Harry's Bar, niedaleko Placu św. Marka.

Jak w innych zakątkach Włoch, także w przesiąkniętym zapachem morza Mieście Kanałów można się raczyć pysznymi daniami z makaronu, a także risotto i polentą, choć w nieco odmiennym wydaniu. Wenecka kuchnia – pokazują zgodnie Dutreix i Tournebize – dowodzi otwartości miasta na świat. Orient zaostrzył jego apetyt na przyprawy. Od XVI w. nie brakuje tu pieprzu i imbiru. Za sprawą niewolników z Bałkanów pracujących w weneckich kuchniach miasto stało się tyglem smaków, wzbogaconych też przez kuchnię żydowską, albańską, niemiecką i grecką.

Sardynki i krewetki podawane są tu z saor, słodko-kwaśnym sosem z orzeszkami piniowymi i rodzynkami korynckimi, wymyślonym przez żeglarzy, którzy właśnie w takiej miksturze marynowali żywność zabieraną w długie wyprawy.

Miejscowym specjałem są również langustynki podawane w formie spaghetti alla busara, a także lekkie potrawy ze smażonymi rybami i warzywami.

Pora aperitivo, choć nie tylko, to czas na cicchetti – niewielkie przekąski (zazwyczaj kawałek chleba lub polenty podawany z owocami morza, wędliną, rybami lub serem), często określane jako „weneckie tapas". Są serwowane w lokalnych tawernach zwanych bacari do kieliszka wina (ómbra) lub spritza.

Podczas karnawału miasto wypełnia słodki zapach frìtoe, małych smażonych pączków, a przez cały rok królują tu maślane ciasteczka zwane busolai. Nuta słodyczy idealnie współgra z goryczą włoskiego espresso.

Jolanta Gajda-Zadworna

**Autorzy albumu „Wenecja. Mały atlas hedonistyczny"*

Przepis na Bellini z Harry's Bar

Składniki: 100 ml prosecco, 50 ml przecieru z białych brzoskwiń, kostki lodu, cytryna.

Wykonanie: Umyj brzoskwinie, pokrój je na ćwiartki. Rozgnieć owoce i przetrzyj przez sitko, usuń skórki. Dodaj kilka kropli soku z cytryny. Do szklanki wrzuć kostki lodu, by ją schłodzić, po czym wyjmij je. Wlej przecier brzoskwiniowy i schłodzone prosecco, wymieszaj łyżką koktajlową. Podawaj z oliwkami odmiany Lucques.

Fot. Oliver Sherwin/Unsplash, materiały prasowe, Shutterstock

eprasa.pl a50cb05137

SŁODKO-SŁONY

Ziemniak mniej znany

ANNA MONICKA

Kiedy zasiadamy przy rodzinnym stole, zwykle zbiera nam się na wspominki. I bardzo często są to opowiastki kulinarne, bo dobre jedzenie zapada w pamięć tak samo jak zapachy, dzięki którym najłatwiej przenosimy się myślami do naszych krain dzieciństwa, kiedy było nam bezpiecznie, a czas spędzaliśmy beztrosko. Ja wspominam np. zebrane w lesie maliny ucierane z cukrem, które zajadałam u babci leśniczyny w Puszczy Goleniowskiej z własnoręcznie zrobionym z mleka twarogiem albo ogórki małosolne, które nastawiałam z mamą. Moje kuzynki – szarlotki z kwaśnych jabłek z własnej jabłonki, a mama i jej siostra – pierwsze wizyty mojego jeszcze wtedy nie taty. Ponieważ uwielbiał ziemniaki, obierało się ich dla niego tyle, ile zjadała cała rodzina. Sam zresztą do dziś, kiedy chce sprawić przyjemność najbliższym, robi kudłate szare kluski albo mistrzowskie placki.

Także ja byłam chowana w kulcie ziemniaka. Muszę przyznać, że cenię to warzywo ponad inne i zawsze chętnie wypróbowuję nowe ziemniaczane potrawy. I oczywiście kupuję książki kucharskie, w których wszystko kręci się wokół pyr. „Planeta Ziemniak" Dominiki „Stewuni" Olejnik wydana przez Newhomers spełniła moje oczekiwania w 100 proc. Jest w niej co poczytać. I nie chodzi tylko o bardzo proste i smakowite przepisy (kilka już wypróbowałam), lecz także związane z nimi historie z całego świata, dowodzące, że to jeden z najcenniejszych darów, jakie zawdzięczamy Inkom – bo to oni je udomowili, a ich potomkowie mają nawet rezerwat tych bulw. W stolicy Peru Limie w banku kartoflanych genów naukowcy przechowują 4 tys. różnych odmian. A u nas na stołach ciągle tylko irgi. Chociaż można kupić różne odmiany: A (typ sałatkowy, najtwardsze i zwięzłe), B (skrobiowe i mniej wilgotne, najlepsze do obiadu), C (najbardziej sypkie i suche, na kopytka, knedle, pyzy) i warto patrzeć na te oznaczenia.

Mnie zauroczyła hinduska, bardzo pachnąca Aloo chokha. 400 g ziemniaków typu C (ugotowanych i odparowanych), trzeba przecisnąć przez praskę lub utłuc i wymieszać z posiekaną cebulą, czosnkiem i papryczką chilli (można je wcześniej podsmażyć). Purée doprawiamy łyżeczką oleju z gorczycy, sokiem z limonki, solą i drobno posiekaną natką kolendry lub pietruszki. Polecam spróbować, jakie to pyszne. Można podawać jako dodatek do mięsa lub ryżu.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Fioletowy spektakl

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

W Tatrach co roku wczesną wiosną rozgrywa się jeden z najpiękniejszych spektakli przyrody: masowe kwitnienie krokusów, czyli szafranu spiskiego (*Crocus scepusiensis*). Te delikatne, kielichowate, fioletowe kwiaty napędzane wiosennym słońcem niemal w jednym momencie wystrzeliwują spod ziemi. Przebijając się nieraz przez resztki śniegu, tworzą efektowne, jedyne w swoim rodzaju kwietne łąki.

Czasami pierwsze pojedyncze egzemplarze pojawiają się już na początku marca – tak jest w tym roku. Pełny, spektakularny, masowy wysyp przypada na przełom marca i kwietnia. Wszystko zależy od pogody: łagodna zima i szybkie topnienie śniegu przyspieszają kwitnienie, chłodny i śnieżny początek wiosny potrafi je opóźnić nawet o 2–3 tygodnie. Najlepsze miejsca do uczestnictwa w tym wiosennym spektaklu to Dolina Chochołowska, gdzie można zobaczyć prawdziwy fioletowy dywan, Dolina Kościeliska, Polana Kalatówki czy okolice Drogi pod Reglami.

Szafran spiski nie jest w Tatrach rdzennym gatunkiem. Prawdopodobnie przywędrował tu w średniowieczu lub później, wraz z wołoskim pasterstwem. Nasiona mogły zostać przyniesione na sierści owiec z rejonu Karpat Południowych. Być może jest więc archeofitem. Polany wypasowe powstałe w Tatrach na przestrzeni wieków w wyniku pasterstwa idealnie mu odpowiadają – dobrze nasłonecznione, przepuszczalne, niezbyt wilgotne, nawożone i wystrzygane przez owce. Obecnie gatunek ten jest uznawany za subendemit zachodnio-karpacki.

Krokusy należą do najwcześniejszych wiosennych roślin miododajnych – pierwsze pszczoły (a wraz z nimi trzmiele i muchówki) dosłownie na nie czekają, by zebrać nektar i pyłek zaraz po zimie, a nasiona tatrzańskich krokusów są roznoszone przez mrówki. Nasz krokus należy do tego samego rodzaju taksonomicznego co *Crocus sativus*, z którego robi się drogą czerwoną przyprawę.

Każdy krok po kwitnącym dywanie niszczy dziesiątki roślin. Podziwiając krokusy, absolutnie nie schodźmy ze szlaku, nie wkraczajmy na polany ani nawet ich skraj. Te kwiaty są pod ochroną, a ich przetrwanie w tak pięknej formie zależy właśnie od nas.

Moja rada: przystańcie na ścieżce w słoneczny dzień, wśród fioletu, nie robiąc maniacko zdjęć telefonem, w ciszy. Posłuchajcie brzęczenia owadów i wdychajcie delikatny, wiosenny zapach. To jedna z tych chwil, dla których warto przyjechać w Tatry poza sezonem.

eprasa.pl a50cb05137

3 MIŁOŚCI

High-tech demonizm

ROBERT TEKIELI

Diablеją z nudów. Tak, to o nas. Z nadmiaru ludzie się bieszą. Zdegenerowane nowożytne elity Zachodu chcą seksu z dziećmi, nie mając zamiaru rodzić i wychowywać swoich. Chcą brukania niewinności, seksu z dziećmi i go mają.

„S żiru biesjatsja" – с жиру бесятся – tego rosyjskiego frazeologizmu użył Czesław Miłosz, opisując kontrkulturową młodzież w swoich „Widzeniach nad Zatoką San Francisco" z 1969 r. Ta młodzież przez ostatnie sześć dekad przeszła przez instytucje zachodniej cywilizacji. Nie został kamień na kamieniu. Żyjemy w świecie odwróconych znaczeń. Odrzucono kulturową, społeczną i antropologiczną mądrość Objawienia. Liberalno-rewolucyjny establishment idzie drogą Lutra, Erazma z Rotterdamu, Kartezjusza, Jana Jakuba Rousseau, Woltera, Kanta, Hegla, Marksa i postmodernistów. Zdegenerowane cywilizacje dążą do samozagłady. Neron pod rękę z Epsteinem, popsatanizm, Petroniusz odwraca wzrok od „flirtującego" z pięciolatkami Daniela Cohna-Bendita.

Czym jest grzech? Jest śmiercią. W dotkniętej zachodnim konsumpcjonizmem Japonii, Wietnamie i Korei Południowej nie rodzą się dzieci. Nie tylko chrześcijaństwo przegrywa z demonem Zachodu.

Czego chce demon? Chce ofiar – aborcja, eutanazja – nie chce życia: antykoncepcja, klimatyzm, antynatalizm, sterylizacja, pochwała rozwiązłości i prostytucji. Chce dziewictwa. Kogo nie poruszyły zdjęcia Epsteina śliniącego się do dziewięcioletniej dziewczynki? Prawo Republiki Islamskiej: w Iranie małżeństwa dziewczynek w wieku dziewięciu lat księżycowych (osiem lat i dziewięć miesięcy) są prawnie możliwe i legalne. Jedni liczą jeszcze czas obiegiem Księżyca, drudzy wracają do bestialstwa i pogaństwa. Zachodnia cywilizacja zatoczyła krąg. Wąż pożera własny ogon w samotności. Technodemonizm.

Degradacja rozumu, atak na prawo naturalne, na naturę, na kulturę, na Kościół... W ich świecie nie ma miejsca na Boga. Nieprzyjaciel życia, ojciec grzechu się cieszy.

Znad Zatoki San Francisco, z Kalifornii, wyszły na świat lucyferyczne wierzenia New Age. Satanista z niemałym sukcesem walczył w 1979 r. o fotel burmistrza San Francisco, ludzie z Doliny Krzemowej tworzący sztuczną inteligencję publicznie ogłaszają, że komunikują się z bezcielesnymi inteligencjami. Channeling, z którego korzystają, jest nowoczesną odmianą demonicznego spirytyzmu. Jednego z nurtów „wiedzy" tajemnej, praktyką, przed którą ostrzegają wszystkie tradycje duchowe. Niesataniczne tradycje duchowe.

O systemie przekonań, na którym zbudowano branżę wysokiej technologii, bardzo ciekawie mówi cyfrowy baron, miliarder Peter Thiel. Wraz z Elonem Muskiem i Maxem Levchinem był współzałożycielem firmy PayPal (1998) i jej szefem. Jest twórcą Palantir Technologies (2003), będącej najpotężniejszym narzędziem inwigilacji na świecie. Peter Thiel twierdzi, że AI nie przyjdzie najpierw po pisarzy. Przyjdzie po ludzi od matematyki. Po koderów, kwantystów, inżynierów. Po ludzi, których Dolina Krzemowa wynosiła na piedestał przez ostatnie dwie dekady.

Jego argument jest dewastująco prosty. W ciągu kilku lat AI rozwiąże najtrudniejsze problemy matematyczne na Ziemi szybciej niż jakikolwiek żywy człowiek.

W lipcu 2025 r. model sztucznej inteligencji Gemini Deep Think firmy Google DeepMind zdobył złoty medal na Międzynarodowej Olimpiadzie Matematycznej, rozwiązując pięć z sześciu problemów sformułowanych w języku naturalnym. W tym samym 2025 r. również modele OpenAI osiągnęły wynik na poziomie złotego medalu.

Thiel udzielił ostatnio wywiadu. Jego przekaz streszczono w sieci w następujący sposób: „Matematyka przez ponad 200 lat była strażnikiem władzy. Zaczęło się podczas rewolucji francuskiej. Zdolności werbalne były dziedziczone w arystokratycznych rodzinach. A matematyka to Wielki Wyrównywacz. Zdolności matematyczne są rozłożone losowo, niemożliwe do dziedziczenia. Dlatego społeczeństwo uczyniło z matematyki test/klucz do wszystkiego".

Szkoły medyczne, inżynieria, finanse, rekrutacja w tech. Chcesz być neurochirurgiem? Najpierw udowodnij, że potrafisz robić rachunek różniczkowy. Thiel zadaje oczywiste pytanie: co rachunek różniczkowy ma wspólnego z operowaniem na czyimś mózgu?

Potem robi się mroczniej. W czasach sowieckich w stawianiu na piedestał geniuszy matematyki i arcymistrzów szachowych nie chodziło o świętowanie inteligencji. Chodziło o kontrolę. „Ludzie od matematyki – mówi Thiel – są

Fot. domena publiczna

wyjątkowo nieświadomi świata. Dowartościowanie, wywyższanie ich sprawia, że wszyscy starają się być tacy jak oni, zamiast kwestionować system".

Brzmi znajomo? W XXI w. Dolina Krzemowa przejęła ten pogląd i go zabsolutyzowała. „Wywiady LeetCode, algorytmiczne selekcje i cały przemysł filtrują na jeden typ umysłu. A ten typ umysłu wkrótce zostanie zreplikowany przez maszynę za grosze.

Thiel widział ten film wcześniej. Pod koniec lat 80. był zawodowym szachistą. Wierzył, że szachy powinny być uniwersalnym testem inteligencji. Potem w 1997 r. IBM Deep Blue zmiażdżyło Garriego Kasparowa. Mistrzostwo w szachach z dnia na dzień przeszło od szczytu ludzkiego geniuszu do sztuczki na przyjęciu. A matematyka jest następna".

Kto więc wygrywa? „Ludzie od słów" – mówi Thiel. „Opowiadacze historii, ludzie od komunikacji, negocjatorzy. Ci, którzy rozumieją kontekst, niuanse i ludzką złożoność. Dane LinkedIn z 2026 r. już to pokazują. Umiejętności komunikacyjne pojawiają się w ogłoszeniach o pracę dwa razy częściej. Zdolności przywódcze, sprawność w wystąpieniach publicznych i opowiadanie historii to najszybciej rosnące potrzeby.

Twórca narzędzia do kodowania Anthropic przyznał, że sam nie napisał ani jednej linii kodu od listopada. Koncerny zwalniają tysiące pracowników technicznych. Firma fintech Block zmniejszyła zatrudnienie z 10 tys. do poniżej 6 tys. ze względu na wykorzystanie AI. Matematyczna fosa nie kurczy się – ona zniknęła.

Przez 20 lat społeczeństwo mówiło absolwentom kierunków humanistycznych, że marnują czas. Kierunki baristyczne – tak je nazywali. Okazuje się, że ci, którzy nauczyli się myśleć słowami, a nie liczbami, być może trenowali właśnie na tę chwilę.

Pytanie brzmi, czy instytucje zbudowane na supremacji matematyki – uniwersytety, firmy technologiczne, procesy rekrutacyjne – zdołają się dostosować, zanim staną się przestarzałe.

Peter Thiel obstawia, że nie zdołają, a wcześniej miał rację". Tyle w jednym z wywiadów powiedział nam twórca Palantir Technologies, multimiliarder nietuzinkowy. Thiel wierzy bowiem, że walczy z biblijnym Antychrystem. Warto poznać system wierzeń, który napędza jednego z najbardziej wpływowych i kontrowersyjnych ludzi na świecie.

Współzałożyciel PayPal i Palantir Technologies opiera swoją wizję świata na starożytnej eschatologii i filozofii Renégo Girarda. Tu dotykamy takich koncepcji jak pragnienie mimetyczne, mechanizm kozła ofiarnego i tajemnicza postać katechona – „siły powstrzymującej", w roli której Thiel obsadza siebie i swoje projekty.

„Czy Palantir, najpotężniejsze narzędzie inwigilacji na świecie, jest bronią w walce z tym nowoczesnym antychrystem, czy może jego ostatecznym wcieleniem?" – pyta autor BaldTV, kanału na YouTube poświęconemu zjawiskom mało

Żyjemy w świecie odwróconych znaczeń. Odrzucono kulturową, społeczną i antropologiczną mądrość Objawienia. Liberalno-rewolucyjny establishment idzie drogą Lutra, Erazma z Rotterdamu, Kartezjusza, Rousseau, Woltera, Kanta, Hegla, Marksa i postmodernistów. Zdegenerowane cywilizacje dążą do samozagłady

znanym i nieomawianym w mainstreamowych mediach.

Cyfrowy baron wieszczy koniec liberalnego, oświeceniowego systemu. Koniec historii nastąpił. Ale dokładnie odwrotnie, niż myśleli autorzy tej propagandy.

Tu od ciekawych obserwacji przechodzimy do mitologii, do wierzeń. Thiel obsadza siebie w roli tego, który powstrzymuje apokalipsę. Choć w sumie dlaczego miałby to robić? Przecież wtedy przyjdzie nasz Pan, Chrystus Jezus z Nazaretu.

Katechon, owszem, daje niewierzącym więcej czasu na nawrócenie się przed końcem świata, lecz jednocześnie oddala ostateczne zbawienie, do dokonania którego nadejście antychrysta jest konieczne. Boję się, że z tych wierzeń Thiel głównie czerpie motywację. Jest człowiekiem niewierzącym, teologicznym ignorantem. Czyta Nowy Testament i błędnie rozumie apokalipsę jako katastrofę. Ale to tylko czas ostatecznej próby dla ostatniego pokolenia. Bo dzieci będą się rodzić do ostatniego dnia. Prawosławny cynik Aleksandr Dugin w roli katechona obsadza Rosję, mającą być Trzecim Rzymem, Świętą Rusią i „geopolityczną arką". To również słabomyślne bredzenie. Czekajmy na Paruzję, robiąc swoje. Pielęgnując wiarę.

Peter Thiel, widząc siebie w kosmicznej roli, ulega gargantuicznej pysze. Stworzył kolejną prywatną zrób-to-sam-religię. Ale posiada wiedzę o świecie, który jest dla mnie zupełnie obcy. A my mamy obowiązek rozumienia dzisiejszego, płynnego świata, Thiel dotyka mocy kształtujących XXI w. Jego tok myślenie zbliża mnie do pojęcia mechanizmów działania Syndykatu. Sojuszu anioła światłości i człowieka, w którym na samym końcu współpracownicy zła, świadomi i nieświadomi, stają się tylko paszą demona.

Czy wiecie, dlaczego dla satanistów takich jak Epstein dziewictwo jest tak cenne? To demon karmi się niewinnością i strachem. Dziewictwo jest celem demona, potem dusza.

Dzieci z nudów diablеją. Pokazał to brytyjski reżyser Peter Brook w swym genialnym filmie „Władca much" z 1963 r. Brook o niebo lepiej rozumiał naturę świata i człowieka od wszystkich Ojców Współczesności. Jan Jakub Rousseau przy nim jest zarozumiałym chłopczykiem, szurającym nóżką przy tablicy.

Bóg ma wszystko w ręku. Jezus przywrócił ustawienia fabryczne Kosmosu. Swą męką, śmiercią i zmartwychwstaniem. Przywrócił sprawiedliwość, pierwotną rzeczy naturę. Każdy cud, każde uzdrowienie jest przywróceniem pierwotnego stanu, stanu raju. Po drugiej stronie technodemonizm, „California über alles", ideologie, ezoteryzm, okultyzm, wierzenia przeciwne wierze.

Thiel walczy z systemem – z systemem kontroli, z władzą. A my walczmy z własnymi słabościami, kultywujmy ludzką naturę. Ludzie Zachodu wariują od dobrobytu, szaleją z nadmiaru. Więc nie Dionizos, raczej Sokrates, najlepiej Chrystus. Służba prawdzie i bliźniemu. Radość.

eprasa.pl a50cb05137

OGNIEM NA WPROST

To nie jest wschód słońca

Andrzej Rafał Potocki

Ponieważ nasza rubryka jest poświęcona teatrowi wojny Moskwa *versus* Ukraina, to z ataku amerykańsko-izraelskiego na Iran staramy się przekazać tylko te informacje, których tłem jest właśnie konflikt za naszą południowo-wschodnią granicą. Zarówno Moskwa, jak i Pekin mają obecnie zagwozdkę. Ani jednych, ani drugich nie stać na utratę Iranu. Dla Pekinu to źródło surowców, przede wszystkim ropy naftowej (swoją drogą, ciekawa jest współpraca reżimu religijnego z systemem ateistycznym). W dodatku po utracie nitki Nowego Jedwabnego Szlaku wiodącej przez Ukrainę alternatywny szlak miał przebiegać właśnie przez Iran. Z kolei dla Moskwy upadek reżimu i przejście Teheranu na stronę Zachodu oznacza *de facto* utratę Kaukazu i Azji Środkowej, a w perspektywie także Afganistanu. Jednocześnie ani jednych, ani drugich na szczęście nie stać na otwarty konflikt z USA, zwłaszcza Moskale są zaangażowani w Europie. W tej chwili trzeba obserwować, co się dzieje. W każdym razie ani Waszyngton, ani Tel-Awiw nie ustępują. Z jednej strony wywierany jest propagandowy nacisk na oba kraje, żeby poluzowały, a z drugiej działania IRGC (lub po polsku KSRI – Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej) powodują, że przeciw Iranowi ustawia się coraz więcej państw chcących zakończyć szyicką łobuzerkę (wszystkim widzącym problem w Izraelu – nie mówię, że jest on bez winy, przypomnę, że to nie Tel-Awiw sponsoruje i kieruje Hezbollahem, Hamasem i Huti i to nie Izrael robi pieprznik w Jemenie). A Kijów na tym korzysta, bo spadnie eksport irańskich dronów, amunicji i technologii dla Kremla.

Z bieżących spraw moskiewsko-ukraińskich warto odnotować zajęcie tankowca floty cieni Ethera (woził lewą ropę dla Federacji Moskiewskiej) przez Belgię i Francję. Z kolei u wybrzeży Libii nagle wybuchł ruski gazowiec floty cieni Arctic Metagaz. Przyczyną pożaru był atak drona. Trochę z innej beczki, ale warto zauważyć przypadek ewidentnego heroizmu ze strony irańskich lotników, połączonego jednak z głupotą. W trakcie działań izraelskiego lotnictwa nad Teheranem grupa izraelskich F-35I Agadir została zaatakowana przez samotny samolot szkolno-bojowy Jak-130. Szacunek dla poległych za odwagę. Naprawdę i szczerze. Ale inni niech tego nie próbują. Iran (ani żaden inny kraj) nie skorzysta na śmierci bohaterskiej, ale bezsensownej.

W Libii operują grupy komandosów ukraińskiego Głównego Zarządu Wywiadu (HUR/GUR). Ich obecność ma się koncentrować wokół działań wymierzonych w interesy Kremla (najemników z Grupy Wagnera/Africa Corps) w ramach szerszej strategii „wojny zastępczej" (proxy war) w Afryce. Dodatkowo ukraiński wywiad wojskowy monitoruje i raportuje przerzucanie przez Kacapów sprzętu wojskowego z Syrii do Libii, co nastąpiło m.in. po upadku reżimu Asada w Syrii pod koniec 2024 r. Działania ukraińskie w Libii są częścią szerszej strategii Kijowa, która obejmuje m.in. wsparcie dla Tuaregów w Mali (co potwierdzono po atakach na wagnerowców w 2024 r.) oraz wsparcie dla sudańskiej armii, co ma na celu uderzenie w interesy Moskwy w Afryce. Wszelkie dane na niebie i na ziemi wskazują, że placówka wywiadu Kijowa w Libii doprowadziła do eksplozji wspomnianego gazowca Artcic Metagaz z floty cieni. Jak przekazały libijskie władze, statek spłonął 240 km od portu w mieście Syrta. Załoga nadała kilka sygnałów SOS. Ministerstwo transportu Kacapii oskarżyło Ukrainę o atak na gazowiec z wykorzystaniem drona morskiego. Według Moskwy statek wypłynął z portu w Murmańsku. Gazowiec palił się jak w piosence: „A tu się pali jak cholera...", co nie umknęło też uwadze dziennikarza „New York Times" Christiana Trieberta, który stwierdził, udostępniając zdjęcia wykonane przez załogę jednego ze statków handlowych, że „to, co widzicie, to nie jest wschód słońca".

Pora na sytuację na froncie. Cały północny odcinek (obwody sumski, charkowski i ługański) bez zmian. Na południe od Dońca Moskale kontynuują marsz na Słowiańsk z pominięciem Kramatorska i Konstantynówki. Pod Konstantynówką w rejonie Stefanówka–Berestok Moskale wyszli na drogę Bachmut–Pokrowsk. Licząc od przełamania pod Piwnicznem i Keramikiem w 2024 r., pokonanie ok. 20 km zajęło im 20 miesięcy. Do granicy obwodu donieckiego mają jeszcze... 70 km. To oznacza 70 miesięcy (co najmniej, walki o miasta twierdze jeszcze spowolnią akcję) czołgania się. Blisko 6 lat. Nie wiemy, czy Moskalom wystarczy kalek, przestępców, Afrykańczyków i Koreańczyków.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl a50cb05137

Michał Korsun prezentuje:
Polska nabita w plastikową butelkę

Wycinki z przeszłości

Błędy zdarzają się każdemu, nawet kuratorom. W 1926 r. „Ilustrowany Kuryer Codzienny" opisywał scenę z matur w Wołkowysku, gdy wizytator zganił nauczycielkę, że nie wychwyciła „błędu" w słowie „czcicieli", które kazał pisać: „czczicieli". Ten sam egzaminator wymyślił nieistniejące województwa i „od godziny 8 rano do 2 w nocy męczył uczniów" ustnymi egzaminami. Prasa nie miała wątpliwości – taka gorliwość zasługiwała na dymisję. ***(sp)***

20 gr. ILUSTROWANY KURYER CODZIENNY

Tragiczny lot pilota francuskiego.

Niesłychana ortografja wizytatora szkolnego.

Jak się powinno pisać: „czcicieli" czy „czczicieli"?

(?) Osobliwych niektóre obszary Polski mają wizytatorów szkolnych, tak osobliwych, że poprostu trudno przypuścić, ażeby to, co n. p. o jednym z takich wizytatorów-okazów pisze w „Myśli Narodowej" **Aleksander Świętochowski**, było istotnie prawdą. A jednak... powołaliśmy się na nazwisko bardzo poważnego pisarza. Więc posłuchajmy:

„Jeden z nauczycieli opisuje nam w liście — **cytujemy słowa Aleksandra Świętochowskiego** — gorszącą scenę wizytatora szkolnego. Do Wołkowyska przyjechał pewien „doświadczony pedagog" dla przewodniczenia w komisji przy **egzaminie maturalnym rocznika gimnazjum.** Przeglądając wypracowania z języka polskiego, zrobił osobą wymówkę nauczycielce, że **nie dostrzegła błędu ortograficznego w wyrazie „czcicieli"**, który według niego powinien być pisany „czczicieli".

„Na uwagę innych członków komisji, że zestawienie głosek „czi" nie istnieje w języku polskim, odpowiedział drwiąco i przytoczył słowo „czczony". „Ten sam mistrz przy egzaminie pewnej uczennicy, objaśniając administracyjny podział Polski, wyliczył województwo wileńskie, którego wówczas jeszcze nie było i **baranowickie, którego niema dotąd.** Ażeby okazać nietylko, co umie, ale co może, **od godziny 8 rano do 2 w nocy męczył uczniów i nauczycieli ustnemi egzaminami".**

Aleksander Świętochowski zastrzyże, czy **widzieliśmy żałobę, gdyby ten wizytator został zrodzkowany?** Oczywiście — nie! Takim **wizytatorom z pod „czapki Monomacha"** należy się dymisja i to — natychmiastowa.

Z WOLEJA

Wolę Puchar Polski niż Ligę Mistrzów...

Ryszard Czarnecki

Mam przesyt futbolu à la Liga Mistrzów plus dwie inne euroligi piłkarskie. Nadmierna podaż zredukowała mój prywatny popyt. Za moich dziecięcych i młodzieńczych lat mecze w europejskich pucharach były świętem. Teraz stały się biznesem. I to na skalę przemysłową. Szmal się zgadza, tylko uroku już brak. Ziewam na kolejne „pojedynki gigantów" na różnych szczeblach. Giganci, owszem, ekonomiczni, ale dla mnie skarlali w wymiarze emocji, przeżywania, radości z meczów. W coraz większym stopniu mam w nosie starcia biznesowo-sportowych potentatów. Coraz bardziej interesują mnie mecze „maluczkich". Mniejszy sztafaż, większa pasja. O ileż mniejsza forsa, o ileż – dla mnie – większa radość z gry (i jej oglądania).

Co mnie obchodzi jakaś Chelsea, niby to już bez ruska Romana Abramowicza – przynajmniej na papierze, choć dalej kontroluje klub (tak mówią). Mam w nosie Bayern Monachium, choć mówię: „Skuś baba na dziada" do angielskiego snajpera Henry'ego Kane'a, który chce odebrać strzelecki rekord Bundesligi naszemu „Lewemu". Nie po to Robert Lewandowski wydarł ten rekord katowi Polaków w „meczu na wodzie" w półfinale mundialu w Niemczech Zachodnich w 1974 r. Gerdowi Müllerowi, aby teraz zabierał mu go jakiś synek Albionu. Co mi tam francusko-katarsko-paryski PSG, który w końcu dopadł euroskalp Ligi Mistrzów, a na loży którego podczas jednego z meczów LM siedziałem tuż obok prezydenta (już wtedy eks) Nicolasa Sarkozy'ego.

Doprawdy wolę ostatnie starcie w ćwierćfinale Pucharu Polski między trzecioligową Zawiszą Bydgoszcz a drugoligową Chojniczanką Chojnice. Pierwszy klub to dziś futbolowy Dawid. Drugi też, choć ciut większy, bo jednak z wyższego szczebla rozgrywkowego. 12 grudnia 1981 r., dosłownie w przeddzień stanu wojennego, w bydgoskim teatrze mój ojciec miał pierwszą próbę „Policji" Mrożka – szlag trafił przedstawienie następnego dnia. Ale parę miesięcy wcześniej po meczu tejże Zawiszy, grającej wtedy w ówczesnej I Lidze, czyli odpowiedniku dzisiejszej Ekstraklasy, 25 tys. kibiców skandowało „Zap...ć komunistów!". Śpiewano też „A na drzewach zamiast liści wisieć będą komuniści". Dziś jacyś „politycznie poprawni", lewicowo-liberalni debile uznaliby to za mowę nienawiści. Wtedy była to reakcja na brutalne pobicie przez ZOMO (próby do „Policji" w teatrze miały się dopiero zacząć) w gmachu Wojewódzkiej Rady Narodowej Janka Rulewskiego, Mariusza Łabentowicza i Michała Bartoszcze na proteście Solidarności. Wtedy w mieście nad Brdą, które potem reprezentowałem w Parlamencie Europejskim, kibice byli głosem narodu. Po latach, już w III RP – też.

A Zawisza w rzutach karnych pokonał Chojniczankę i drużyna z czwartego poziomu rozgrywek sensacyjnie zameldowała się w półfinale Pucharu Polski...

eprasa.pl a50cb05137

OD A DO ZYBERTOWICZ

Maszyna parowa 2.0?

AI, zamiast nas wzmocnić, odtwarza logikę rewolucji przemysłowej: rosnące nierówności, presja wydajności, niepewność pracy

Przeglądając niedawno „Raport płacowy 2026. Trendy rynku pracy", przygotowany przez międzynarodową firmę rekrutacyjną ManpowerGroup, pomyślałam, że rozwój AI... właśnie cofa ludzkość. Do świata rodem z XIX-wiecznej rewolucji przemysłowej: zysk jako nadrzędny cel kapitalistów, czysto instrumentalne traktowanie siły roboczej, rażące niesprawiedliwości, kryzysy moralne.

Według raportu dynamiczny rozwój sztucznej inteligencji oraz zmiany demograficzne prowadzące do narastającego niedoboru talentów to dziś główne czynniki kształtujące rynek pracy. Ale co to w istocie oznacza?

W CYFROWEJ UKŁADANCE

Z raportu: „Zamiast funkcjonować w tradycyjnej, hierarchicznej strukturze, przyszłe zespoły będą obejmować miks pracowników, maszyn i freelancerów, a stanowiska będą elastycznie dostosowywane z myślą o unikalnych mocnych stronach ludzi i AI".

Od XIX w. maszyny w coraz większym stopniu dyktują rytm ludzkiego życia. Ale dziś, dzięki rewolucji cyfrowej, pewnie się od tego uwolniliśmy. Czy wprost przeciwnie?

Pracownicy muszą dostosowywać swe role zawodowe do możliwości sztucznej inteligencji. Przedsiębiorstwa, wdrażając AI, np. w procesie produkcji, traktują pracowników po prostu jako element układanki. Ludzi wstawia się tam, gdzie maszyna jeszcze nie daje rady.

Dla wielu firm automatyzacja stała się najprostszym sposobem cięcia kosztów. Cyfrowe maszyny zawłaszczają coraz szersze obszary zadań, niegdyś wymagających tylko ludzkich umiejętności. Wiedza zdobyta na najlepszych nawet uczelniach dezaktualizuje się w momencie odebrania dyplomu.

NOWE KLASY SPOŁECZNE

Z raportu: „Spadek znaczenia pracy etatowej sprawi, że wielu pracowników wypadnie poza system, nie będąc w stanie zarabiać na poziomie pozwalającym utrzymać rodzinę ani rozwijać swoich kompetencji".

O ile w XIX w. lęk budziły mechaniczne krosna, dziś niepewność potęgują kolejne modele AI. Błyskawicznie tworzą bazy danych, kody do ich analizy, teksty gotowe do publikacji czy wykresy wizualizujące trendy.

A presja rośnie. Firmy mają być przede wszystkim produktywne, a wdrożenie sztucznej inteligencji ma to ułatwiać. Ludzie zatem częściej współpracują z maszynami niż ze swoimi kolegami z pracy. Na naszych oczach rodzi się klasa wyrobników danych, którzy uczą się działać tak, by „pasować" do algorytmów – a nie do ludzkiego świata. Ich praca coraz częściej nie wiąże się z etatem. Jej logika przypomina dawniejsze chałupnictwo: masz wykonać produkt zgodny z zamówieniem, z tego będziesz rozliczony. Kluczowa jest elastyczność kosztowa, a nie człowiek. Coraz bardziej zaawansowane monitorowanie pracowników ma podnosić jakość pracy, ale tworzy raczej presję prowadzącą do wypalenia zawodowego – według raportu tak czuje się dziś ponad 60 proc. pracowników.

PLATFORMY CYFROWE JAK FABRYKI

Z raportu: „Podczas gdy bogactwo i dobrobyt coraz bardziej się koncentrują, wstrząsy gospodarcze, utrzymująca się inflacja oraz rosnąca niepewność zawodowa sprawiają, że większość z nas doświadcza lęku, gniewu i polaryzacji geopolitycznej".

Zamiast zatrudniania na etatach, firmy preferują samozatrudnienie, kontrakty czasowe lub outsourcing. Te tzw. elastyczne formy pracy tworzą nowe rodzaje samotności zawodowej: pracownik bez zespołu, bez wspólnoty kolegów, bez kotwicy instytucjonalnej.

Niebawem ma dominować wykonywanie krótkoterminowych zadań – często jako freelancer lub poprzez platformy cyfrowe typu *Uber*, które łączą usługodawców/wykonawców z klientami. Ekonomia platformowa tworzy dziś własne „fabryki": systemy, w których ludzie pracują pod precyzyjnym cyfrowym nadzorem. Choć praca ta daje pozory wolności, w rzeczywistości bywa równie zrutynizowana, anonimowa i odhumanizowana jak praca przy taśmie.

NOWE STARE

Przełom XX i XXI w. obiecywał, że technologia uczyni ludzi bardziej wolnymi, równymi i szczęśliwymi. Tymczasem sztuczna inteligencja, zamiast nas wzmocnić, nieoczekiwanie odtwarza logikę rewolucji przemysłowej: rosnące nierówności, presja wydajności, niepewność pracy, nowe, nieprzyjazne fabryki, np. nieludzkie centra danych. Historia nie powtarza się dosłownie, ale jest nie mniej okrutna.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja | Reklama 02/0925/FZAL

eprasa.pl a50cb05137

Zbieramy fundusze na mobilne centrum transmisyjne.
Chcemy być jeszcze bliżej widzów
i walczyć o polskie sprawy!

POMÓŻ NAM ODKRYWAĆ PRAWDĘ

wPolsce 24

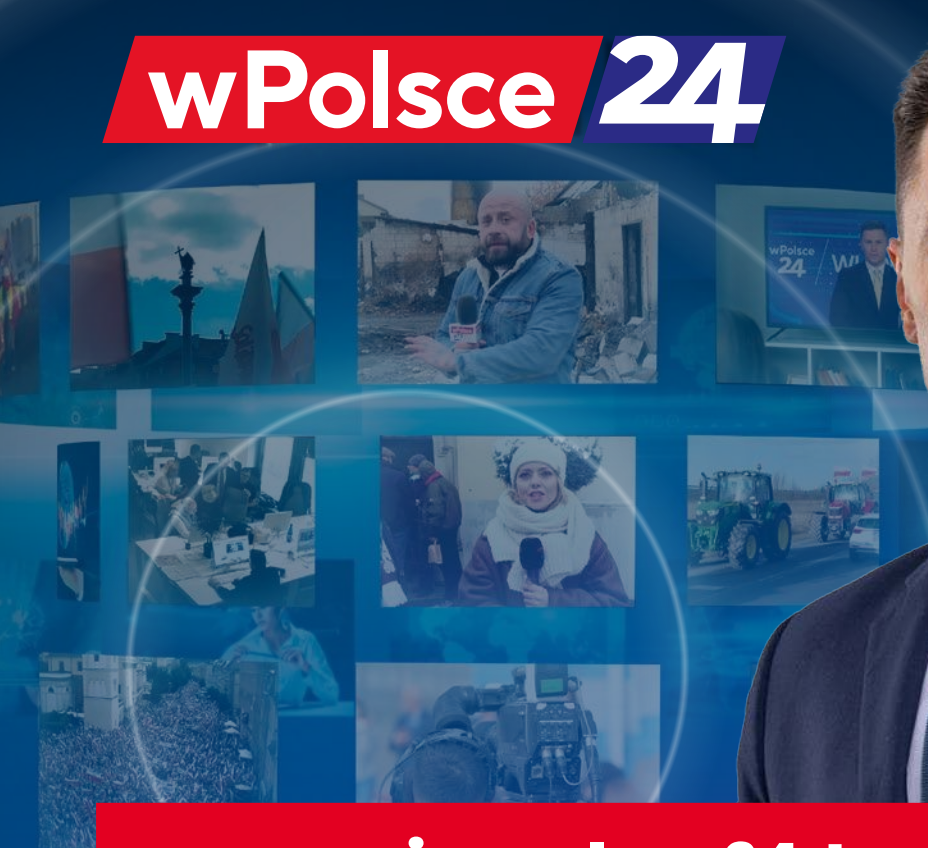

Piotr Pawelec
prowadzący „Wiadomości"

wesprzyj.wpolsce24.tv

WSPIERAJ wPolsce24

Wesprzyj niezależne media

numer konta:

69 1020 4900 0000 8202 3036 2577

tytuł wpłaty:

DAROWIZNA

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

eprasa.pl a50

wPolsce 24

Rozliczasz PIT?

Przekaż 1,5% podatku i pomóż nam tworzyć polskie media

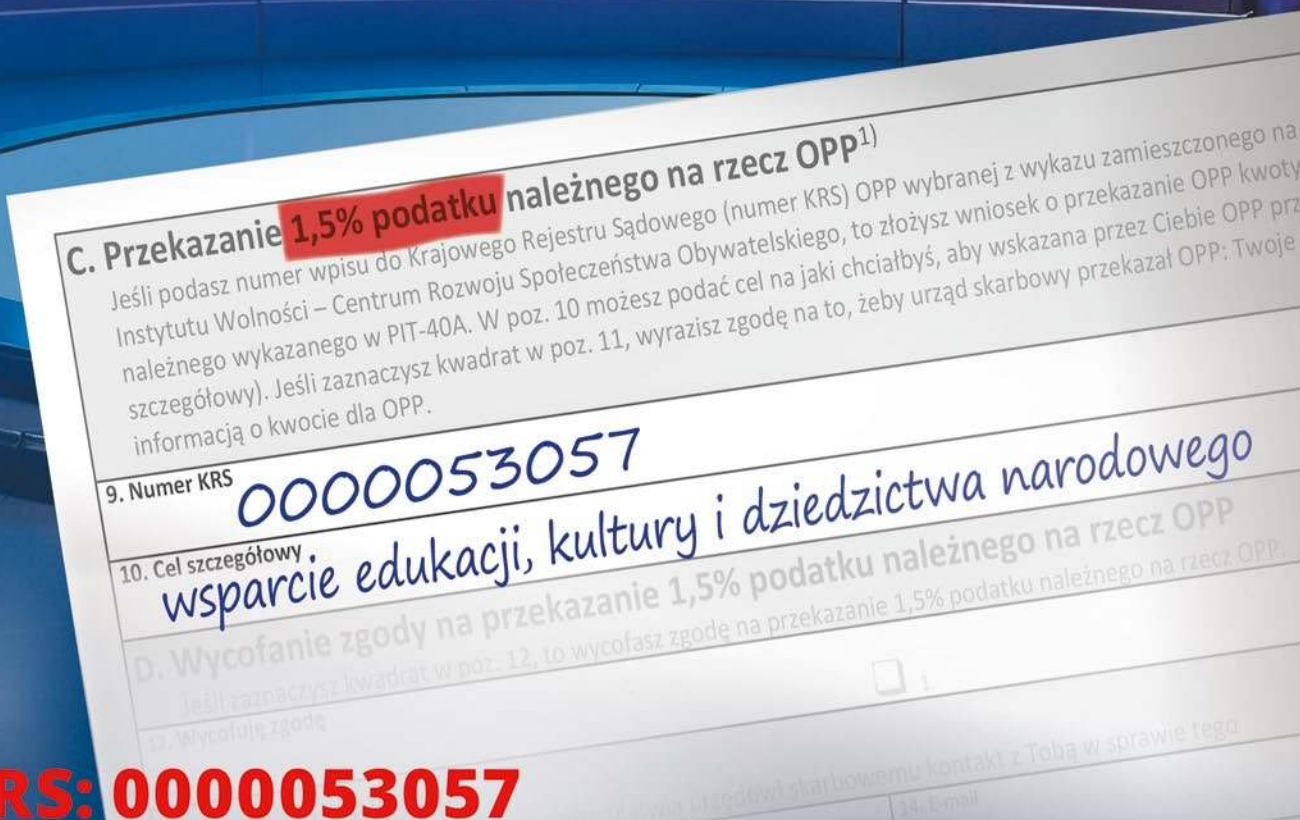
C. Przekazanie 1,5% podatku należnego na rzecz OPP[1)]

Jeśli podasz numer wpisu do Krajowego Rejestru Sądowego (numer KRS) OPP wybranej z wykazu zamieszczonego na stronie Instytutu Wolności – Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego, to złożysz wniosek o przekazanie OPP kwoty należnego wykazanego w PIT-40A. W poz. 10 możesz podać cel na jaki chciałbyś, aby wskazana przez Ciebie OPP przekazała 1,5% (cel szczegółowy). Jeśli zaznaczysz kwadrat w poz. 11, wyrazisz zgodę na to, żeby urząd skarbowy przekazał OPP: Twoje imię i nazwisko oraz informacją o kwocie dla OPP.

9. Numer KRS 0000053057

10. Cel szczegółowy wsparcie edukacji, kultury i dziedzictwa narodowego

D. Wycofanie zgody na przekazanie 1,5% podatku należnego na rzecz OPP

Jeśli zaznaczysz kwadrat w poz. 12, to wycofasz zgodę na przekazanie 1,5% podatku należnego na rzecz OPP.

12. Wycofuję zgodę

KRS: 0000053057

Stowarzyszenie Krzewienia Edukacji Finansowej

Cel szczegółowy: **wsparcie edukacji, kultury i dziedzictwa narodowego**

eprasa.pl a50cb05137